

Żegnamy
Prof. Andrzeja Walickiego

Prof. Stanisław Obirek
Dwie twarze nuncjusza

Prof. Andrzej Szahaj
Inny kapitalizm jest możliwy

Jacek Wasilewski
Mowa ciała Andrzeja Dudy

ZAGRABIONA HISTORIA SOLIDARNOŚCI

**Został
tylko mit**



• TEATR CAPITOL •

A MI TO

RYBKKA!

PREMIERA
WRZESIEŃ 2020

WRZESIEŃ NA WESOŁO



GRAMY BEZPIECZNIE



ANDRZEJ DESKUR

JOANNA KORONIEWSKA

PAWEŁ KOŚLIK

ŁUKASZ NOWICKI

OLGA PASZKOWSKA

WOJCIECH SOLARZ

MICHALINA SOSNA

DARIA WIDAWSKA

• KUP

BILET

• www.teatrcapitol.pl •

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 30d6ae8d1a

CYTATY

DR JAN CIECHANOWICZ,

były działacz polonijny
na Litwie

*Najgorsze, co może
spotkać Białoruś, to
bliska współpraca
z Polską. Wszędzie,
gdzie pojawią się nasi
politycy, zaczynają
się burdy, sprzeczki,
warcholstwo.*

„Angora”

STEPHEN KING,

pisarz amerykański

*Miewaliśmy głupich
przywódców. Ale*

patrzac na Trumpa,

nie jestem pewien,

czy radzi sobie

z czytaniem, a wiem

już, że nie umie pisać.

„Forum”

DOROTA MASŁOWSKA,

pisarka

*Ludzie postrzegają się
nawzajem jako obiekty
do skonsumowania.*

„Tygodnik Powszechny”

MAREK NIEDŹWIECKI,

były dziennikarz Trójki

Podjąłem decyzję

o odejściu, bo nie było

innej możliwości. Jak

mogę procesować się

ze stacją i iść do niej

pracować?

„Polska The Times”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Pożegnania

Żegnając prof. Andrzeja Walickiego, żegnamy giganta myśli i bliskiego człowieka. Postać tak wybitną, że trudno do niej przykładać zwykłą miarę. Dla redakcji był intelektualną busolą i podziwianym autorytetem. Byliśmy dumni z sympatii i życzliwości, jaką nam okazywał. Z wielu rozmów z Nim i tekstów, które publikował na naszych łamach, czerpaliliśmy beczenną wiedzę o historii Polski, o rosyjskiej filozofii i myśli społecznej. A także bardzo trafne oceny bieżących wydarzeń politycznych i zjawisk społecznych.

Profesor do końca był bardzo aktywny i pomocny. Dowód, że w życiu, mimo kłopotów i przeszkód, warto być intelektualnie uczciwym. Sam intelektualnie był niezłomny i bardzo konsekwentny. Świat, który analizował i opisywał, był zawsze wielowymiarowy i pluralistyczny. A swoją powinność wobec tego świata Profesor widział w angażowaniu się w otaczającą rzeczywistość. Nigdy nie było mu obojętne to, co się działo w Polsce. Uczył nas realizmu politycznego.

Żał, że postsolidarnościowe elity nie chciały, bądź nie potrafiły, Go docenić, tak jak to robiły najlepsze uczelnie na świecie.

Pamięć o Profesorze i naszą wdzięczność za lata współpracy wyrazimy, wydając książki z Jego tekstami.

Polacy będący w opozycji do rządów Kaczyńskiego mają coraz bardziej pod górę. A zwolennicy lewicy jeszcze bardziej. Jakby mało było strachu przed zarażeniem koronawirusem, politycy opozycji, przewracając się o własne nogi, dokładają wyborcom frustracji. W większości są to politycy nieudolni, bezmyślni, intelektualnie leniwi. W stulecie Bitwy Warszawskiej pospolite ruszenie posłów, z wyjątkiem Razem i Konfederacji, stoczyło własny bój. O kasę. To, że PO PiS w sprawie zarobków potrafi się dogadać, mniej mnie zaskoczyło niż postawa większości Klubu Parlamentarnego Lewicy. Mam swoje lata, ale nie pamiętam, by politycy spod tego znaku tak głupio, pokrętnie i fałszywie tłumaczyli, dlaczego podwyżki trzeba wprowadzić. A dzień później, dlaczego to był błąd. O reprezentacji lewicy w parlamencie po dwóch latach od wyborów można powiedzieć, że jej większość to nieporozumienie. Mało zborni i nie za mądrzy przebiegacze. Gdyby lewica nie weszła do Sejmu, byłoby już w PO. Tak jak spora gromada z SLD. Naprawdę szkoda życia na zawracanie sobie nimi głowy.

Na szczęście coraz więcej pożytecznych działań oraz wartościowych i ideowych ludzi jest poza strukturami partyjnymi. A w Sejmie są tacy w otoczeniu związanym z Razem i garstką Wiosny.

Pożegnałem tego lata kilka bliskich mi osób. Wartościowych, mądrych i ideowych. Pora też pożegnać się ze złudzeniem, że ekipa Czarzastego może być dla lewicy jakąś wartością. I przyszłością.

Drodzy Czytelnicy, chcecie lewicy, za którą nie będziecie wiecznie się wstydzić, to musicie ją sobie zbudować. I uwierzcie mi, że jest z czego.

BAKOWSKI



**Najciekawsze książki
roku 2020!**

**Złap e-książki
w promocji**

~~29,90 zł~~ 19,90 zł



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

SYLWETKI

8 Andrzej Walicki
– myśliciel zaangażowany
1930-2020

KRAJ

- 12 Męczeństwo braci Szumowskich.**
Akt drugi
Minister krytyki nie przyjmuje
- 18 To będzie bardzo ciekawy rok szkolny**
– rozmowa z Ewą Radanowicz
- 21 Niezbyt doniosła porażka**
Matury 2020
- 22 Od harcerzyka po kaznodzieję**
Siedem wcieleń Andrzeja Dudy
- 32 Pozostałości z Solidarności**
W poszukiwaniu dawnych ideałów

ZAGRANICA

- 15 Co się wydarzy na Białorusi?**
Każdy walczy o co innego
- 46 Na wakacje z wirusem**
Turystyka próbuje żyć z pandemią

HISTORIA

- 26 Zhańbiona Solidarność**
– rozmowa z prof. Brunonem Drwęskim

KOŚCIÓŁ

- 36 Nuncjusz jako zwornik systemu**
Stanisław Obirek o abp. Pennacchiu

OPINIE

- 40 Andrzej Szahaj**
Kapitalizm a natura ludzka

PSYCHOLOGIA

- 42 Kryzys to szansa**
– rozmowa z dr. Mateuszem Zatorskim

KULTURA

- 48 Ciche odejście gwiazdy**
Tajemnice Ewy Demarczyk
- 50 W Łodzi dzieje się**
– rozmowa z Wojciechem Góreckim
i Bartoszem Józefakiem
- 54 Culturalia**
- 66 Kasia Bielska. Ciała nieulożone**

OBSERWACJE

- 58 Z niczego**
Co jest potrzebne, żeby zmieniać świat

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Pożegnania
- 11 Roman Kurkiewicz**
Walickiego Polska niebezpieczna
- 31 Jan Widacki**
Trzecia liga...
- 35 Andrzej Romanowski**
Ojczyzna pograniczna
- 45 Tomasz Jastrun**
Rzeź prusaków
- 57 Wojciech Kuczek**
Widma wolności

42 PSYCHOLOGIA

KRYZYS TO SZANSA

– rozmowa z dr. Mateuszem Zatorskim



50 KULTURA

W ŁODZI DZIEJE SIĘ

– rozmowa z Wojciechem Góreckim
i Bartoszem Józefakiem



58 OBSERWACJE

Z NICZEGO

Co jest potrzebne, żeby zmieniać świat

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. BOGDAN SARWIŃSKI/EASTNEWS



Prof. Bruno Drwęski
Z Solidarności został tylko mit

Krzysztof Kamil Baczyński
– socjalista z przekonania

Zarabianie na zwierzakach

f Walczą z nauką

Atak na naukę trwa już od wielu lat. I o ile nie można przejść nad tym do porządku dziennego, o tyle adresowanie apelu do tak nieostro sprecyzowanego odbiorcy jak „nasza opozycja” – co uczynił w felietonie w 33. numerze PRZEGŁĄDU prof. Andrzej Romanowski – jest niemal równoznaczne z rzucaniem go w próżnię. I nie chodzi mi tylko o fakt, że zawsze warto konkretnie wskazać, do kogo się zwracamy. Problemem jest to, że mianem „naszej opozycji” określane są obecnie środowiska, które niejednokrotnie popierały wykorzystywanie nauki do własnych celów. Wystarczy wspomnieć o środowiskach, z których wywodzą się działacze Koalicji Obywatelskiej. Przecież to głosami koalicji UW-AWS powołano wymieniony w felietonie IPN, który pisze polską historię od nowa. I jakoś nie przypominam sobie, by poza Władysławem Frasyniukiem ktoś z tego środowiska za to przeprosił. A skoro błąd nie popełniono, to co jest do naprawy?

Ernest Mandel

f Kto się nadaje na bohatera?

Widzę, że kroczyście kroczyć w kroczek z kawiarnianą lewicą, dla której liczy się marnej jakości spektakl kolorowego chuligana. Przypominam, że lewica z postem Czarzastym gło-



wała za podwyższeniem zarobków sobie i prezydentowi, a także za nową pensją za bycie żoną prezydenta. W czasie kiedy małe biznesy ledwo wiążą koniec z końcem lub po prostu zbankrutowały. A lewica co ma do zaoferowania? Tak myślałam – tęczyowy cyrk uga-buga, igrzyska dla plebsu.

Alicja Królik

f Ani spokojna, ani wesół

Śmieci można posprzątać, śmiejących ukarać. Wspominam swoje dzieciństwo na wsi. Wydaje mi się, że pamiętam tamte zapachy, choć niekoniecznie za takie je uważaliśmy. I wspomnienie niegdysiejszego obornika czy gnojowicy jest perfumierią w porównaniu do tego wszechogarniającego smrodu dobywającego się ze ściernisk. Chemia! Chwalący się ekologicznymi uprawami robią wszystkim wodę z mózgu. Już chyba nie jesteśmy w stanie wyprodukować, wyhodować czegokolwiek, co na koniec nie zamieni się w smród!

Piotr Mania



Małe miasteczko też otoczone jest przez zdewastowany las ze stertami gabarytów i poremontowanego gruzu, śmieciami różnego rodzaju. Na dodatek las rozjeżdżony jest quadami. Nie wszystko można samemu posprzątać.

Joanna Jakuszyk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Joe Biden przyjął oficjalnie nominację na kandydata Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich. Obok niego żona Jill i senator Kamala Harris, kandydatka na wiceprezydentkę. Milwaukee, Wisconsin, 20 sierpnia.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego tak wielu Polaków nie wierzy w epidemię koronawirusa?

DR ANTONINA DOROSZEWSKA,
socjolożka, Warszawski Uniwersytet Medyczny

Nie zgodzę się, że wielu – badania pokazują, że zdecydowana większość z nas wierzy w epidemię i stosuje się do obostrzeń. Przychodzą mi do głowy trzy przyczyny, dla których część osób odrzuca realność zagrożenia. Pierwszą jest nierealistyczny optymizm, czyli przyjmowanie założenia, że nieszczęście może dotknąć każdego, tylko nie mnie. Po drugie, żyjemy z epidemią już pięć miesięcy i ludzie są coraz bardziej spragnieni informacji, które pozwolą im odzyskać poczucie bezpieczeństwa; część z nich jest podatna na sugestie, że COVID-19 nie jest ciężką chorobą czy wręcz że koronawirusa nie ma. Po trzecie, część społeczeństwa nie ufa autorytetom medycznym. Takie osoby są skłonne wierzyć w teorie spiskowe, zgodnie z którymi pandemia została zmyślona, bo ktoś ma w tym interes lub chce świadomie ograniczyć działania obywateli.

DR GRZEGORZ PIOTROWSKI,
socjolog, Uniwersytet Gdański

Po pierwsze, co najmniej od lat 80. spada zaufanie do naukowego wyjaśniania świata, czego innymi przejawami są

ruchy antyszczepionkowców i płaskoziemców. Drugim powodem wypierania informacji o epidemii jest psychologiczna potrzeba komfortu – bardzo trudno żyć w ciągłym poczuciu zagrożenia. Po trzecie, epidemii za bardzo nie widać. Jesteśmy bardzo zmedykalizowanym społeczeństwem – chorzy są w szpitalach, nikt nie umiera na ulicy. Jeśli ktoś nie zna osobiście nikogo, kto przeszedł zakażenie koronawirusem, może zacząć wątpić, czy sytuacja jest tak straszna, jak to nam się przedstawia. Ostatnim powodem jest słabe zaufanie do rządu, ministerstw, urzędów i mediów, które przekazują informacje o epidemii. Kombinacja powyższych czynników sprawia, że ta i przyszłe pandemie będą kwestionowane przez coraz większą część społeczeństwa.

DR TOMASZ RÓŻEK,
dziennikarz naukowy, popularyzator nauki, autor bloga Nauka To lubię

Zapewne dlatego, że spodziewaliśmy się, że będzie gorzej – a jak się czegoś przestraszymy, a potem nie jest aż tak źle, może się pojawić myśl, że zagrożenie było bujdą. Może gdyby liczba zmarłych była w Polsce tak duża jak w niektórych rejonach Włoch czy Hiszpanii, nikt nie

podawałby w wątpliwość istnienia wirusa? W krajach naszego regionu – z przyczyn, co do których nie ma jeszcze zgody – ofiar pandemii jest znacząco mniej niż na Zachodzie, co niektórych prowadzi do wniosku, że tamtejsze statystyki były zmyślane. Dodatkowym źródłem nieufności może być polityka. Wysoka temperatura sporu politycznego budzi np. pokusę, by kwestionować racjonalne środki bezpieczeństwa wprowadzane przez ekipę rządzącą, byle tylko podważyć jej kompetencje. Temat koronawirusa został wkreślony w tryby walki pomiędzy partiami, przez co dla wielu osób stał się bardziej narzędziem gry politycznej niż rzeczywistym zagrożeniem.

Sprostowanie

W poprzednim numerze PRZEGŁĄDU błędnie zacytowaliśmy fragment wypowiedzi p. Krystyny Skarżyńskiej. Znalazło się w nim sformułowanie: „zwolennicy partii opozycyjnych przypisują obywatelom większą odpowiedzialność za poziom zaraźliwości...”. Właściwy fragment powinien brzmieć: „zwolennicy partii opozycyjnych przypisują władzy większą odpowiedzialność...”. Panią Krystynę Skarżyńską i Czytelników przepraszamy.

Not. Michał Sobczyk

ANDRZEJ WALICKI

– myśliciel zaangażowany

Odszedł światowej sławy historyk idei, autorytet w zakresie badań rusoznawczych, nauczyciel realizmu politycznego i wzór uczciwości intelektualnej

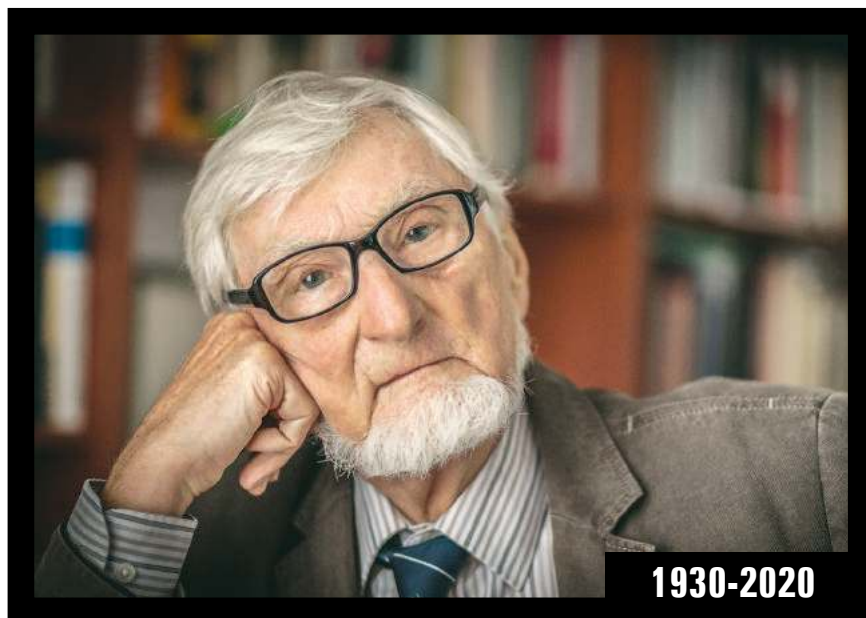
Jarosław Dobrzański

20 sierpnia 2020 r. w Warszawie zmarł Profesor Andrzej Walicki, światowej sławy historyk idei, jeden z największych autorytetów w zakresie badań rusoznawczych oraz intelektualnej historii Polski, oryginalny myśliciel polityczny, obserwator i krytyk rzeczywistości, nauczyciel realizmu politycznego i wzór uczciwości intelektualnej. Zdanie, które w tym miejscu wspomnienia pośmiertnego powinno się pojawić – że humanistyka polska poniosła ogromną i niepowetowaną stratę – w odniesieniu do jego osoby nie będzie tylko kurtuazyjną formułką. Jest dosłownie, a zarazem boleśnie prawdziwe, bo Andrzej Walicki przez ostatnie lata pracowitego i twórczego życia nie został w swoim kraju należycie doceniony i uhonorowany.

Dorobek naukowy Profesora jest imponujący. Spis jego prac obejmuje ponad 400 pozycji. Znajdują się w nim artykuły naukowe, eseje i książki napisane dla czytelnika polskiego oraz dzieła tłumaczone

Przez ostatnie lata pracowitego i twórczego życia nie został w swoim kraju należycie doceniony i uhonorowany.

lub pisane po angielsku dla odbiorców zagranicznych. **Pozycje te zostały wydane przez najważniejsze wydawnictwa akademickie** (Notre Dame, Oxford, Stanford). Jest też na tej liście sporo pozycji przetłumaczonych na inne języki: hiszpański, japoński, rosyjski i włoski. Jednak nie same liczby są tu ważne. Andrzej Walicki nigdy nie pisał na potrzeby kariery, w celu zdobywania punktów



i awansów. Realizował ambitny i idealistyczny plan własnej drogi naukowej, którego zręby ukształtowały się już w latach 50. Jego prace nie są przyczynkami mogącymi obchodzić jedynie wąskie grono zamkniętych w swoich specjalizacjach wyrobników nauki. To pozycje wytyczające

habilitacyjnej autora, **stała się jedną ze sztandarowych pozycji w dorobku tzw. warszawskiej szkoły historii idei, która z kolei była kto wie czy nie największym wkładem polskiej humanistyki w naukę światową**, wkładem znaczącym i możliwym do osiągnięcia w siermiężnych czasach PRL, na długo przed pojawieniem się opozycji, Solidarności i III RP.

Na początku lat 60. Andrzej Walicki omawiał w Oxfordzie z sir Isaiahem Berlinem założenia swojej – jak się potem okazało – najważniejszej książki, a w 1964 r. Berlin zapoznał się z jej angielskim streszczeniem. Wybitny filozof polityki i historyk idei z Oxfordu podjął następnie starania o jej wydanie w Wielkiej Brytanii. Berlin miał w Oxfordzie status nieomal półboga, a dla tamtejszych elit – jako prezydent Akademii Brytyjskiej – był ikoną świata nauki. To, że ktoś taki nie uważał redagowania

nowe paradygmaty – jak choćby **słynna monografia** poświęcona rosyjskim słowianofilom, „**W kręgu konserwatywnej utopii**”, która do swojego przedmiotu, ujmowanego w perspektywie porównawczej na tle myśli europejskiej, zastosowała metodologię socjologii wiedzy Karla Mannheima i kategorie myśli socjologicznej Ferdinanda Tönniesa. Książka ta, powstała z rozprawy

obszernej książki nieznanego wówczas nikomu młodego stypendysty z odległego kraju za stratę czasu, świadczy nie tylko o jego wielkiej skromności i życzliwości, ale przede wszystkim o wysokiej ocenie i szacunku dla pracy jego polskiego kolegi. Książka Walickiego ukazała się pod tytułem „The Slavophile Controversy” w wydawnictwie The Clarendon Press, wymagającym i prestiżowym akademickim oddziale Oxford University Press.

Ale jego pierwszą książką, która wyszła spod prasy tego wydawcy, była rozprawa o narodnictwie rosyjskim, opublikowana w 1969 r. i zatytułowana „The Controversy over Capitalism”. Była efektem seminarium, jakie Walicki prowadził razem z Berliinem na Uniwersytecie w Oxfordzie w latach 1966-1967. Trzecim, lecz nie ostatnim dziełem Profesora wydanym po angielsku była znana wcześniej czytelnikowi polskiemu „Rosyjska filozofia i myśl społeczna”, książka, która zbudowała i utrwaliła pozycję polskiego filozofa w światowej humanistyce. W liście Berlina do Walickiego z 14 marca 1979 r. czytamy: „Cieszę się bardzo, że ukaże się Pana »History of Russian Thought« (...). To naprawdę dużo. Kim są Pana amerykańscy rywale? Żaden z nich nie napisał ani jednej tak świetnej pracy na ten temat. Jak Pan wie, sam kiedyś zastanawiałem się nad napisaniem o tym książki, jednak nie tyle z wewnętrznej potrzeby, ile po prostu dlatego, że potrzebna jest zwykłym studentom”. Książka Andrzeja Walickiego została wydana w 1979 r. przez Stanford, a w 1980 r. przez Oxford i okazała się dziełem referencyjnym, nie tylko wypełniła lukę, o której pisał Berlin, ale również na ćwierć wieku stała się jedynym podręcznikiem z tego zakresu na anglojęzycznych uniwersytetach całego świata i punktem wyjścia dla każdego badacza zajmującego się dowolnym tematem z obszaru rosyjskiej filozofii i myśli społecznej XIX w. Jej rozwinieniem była wydana najpierw w Krakowie, w 2005 r., monumentalna panorama rosyjskiej myśli, skromnie zatytułowana „Zarys myśli rosyjskiej. Od Oświecenia do renesansu religijno-filozoficznego”, przetłumaczona następnie na angielski i opublikowana w 2015 r. we Frankfurcie nad Menem pod tytułem



Z Leszkiem Kołakowskim w Chicago, wiosna 1989 r.

„The Flow of Ideas. Russian Thought from the Enlightenment to the Religious-philosophical Renaissance”. To 900-stronicowy majstersztyk przenikliwej, wielowarstwowej i koherentnej analizy historycznej, w której erudycja i ścisłość wywodu podporządkowane są nadrzędnemu celowi, jakim jest możliwie najbardziej obiektywne empatyczne rozumienie prezentowanych światopoglądów i koncepcji społecznych.

Imperatyw empatycznego rozumienia i związane z nim przekonanie, że świat ludzki – zarówno ten dostępny w doświadczeniu bezpośrednim, jak i ten rekonstruowany

komunikację wewnątrz społeczeństwa oraz komunikację tego społeczeństwa z otaczającym światem i z jego własną kulturą polityczną, pamięcią i przeszłością ponadpokoleniowej wspólnoty politycznej. Wspólnoty, która nigdy nie może być zredukowana do jednej ideologii czy partii, a tym bardziej do prostego zestawu haseł narzucanych przez grupę uzurpującą sobie monopol na patriotyzm, prawdziwą polskość, prawowierność narodową.

Tego rodzaju zaangażowanie wiąże się z odpowiedzialnością i nie wyklucza dążenia do obiektywizmu, które jest powinnością uczonego

Z odrazą odnosił się do odradzającego się, w odpychających, pokracznych kształtach, polskiego nacjonalizmu i klerykalizmu.

w perspektywie wiedzy historycznej – **jest zawsze wielowymiarowy, wieloaspektowy, pluralistyczny, był dwiema naczelnymi maksymami, którymi Profesor Walicki kierował się zarówno w swoim postępowaniu badawczym, jak i w odniesieniu do otaczającej go rzeczywistości**, sytuując się wobec niej jako obserwator zaangażowany. Narażę się na krytykę za posłużenie się oksymorem i powiem klerk zaangażowany. Zaangażowany bowiem to nie znaczy uprzedzony albo stronnicy, lecz taki, któremu nie jest obojętny kształt otaczającego go ładu społecznego, i taki, który zabiega o rozumienie różnych punktów widzenia, wartości i interesów, a także umożliwia

i busołą rzetelnej pracy naukowej. Od tej powinności Andrzej Walicki nigdy się nie uchylił. Jego dorobek naukowy znalazł uznanie w świecie w postaci zaproszeń kierowanych do niego przez najlepsze uniwersytety. **W 1998 r. Profesor został laureatem Nagrody Eugenia Balzana, będącej w humanistyce odpowiednikiem Nobla.**

Na tle dokonań powojennej polskiej inteligencji dorobek Andrzeja Walickiego pod względem wartości i poziomu można postawić tylko obok dzieła Leszka Kołakowskiego. Raz jeszcze przywołam opinię wielkiego mentora i przyjaciela Profesora, Isaiaha Berlina. W liście z 13 lutego 1995 r. pisał do Walickiego: „Ty

► i Kołakowski dokonaliście wspólnie dzieła analizy i oceny marksizmu i jego prekursorów – a w Twoim przypadku również liberalizmu i legalizmu – które niczemu nie ustępują. Gdybym był młodym Rosjaninem lub nawet młodym Francuzem, (...) spędzałbym czas, nie czytając nikogo innego tylko jego i Ciebie”.

W marcu 1994 r. Berlin pisał: „Cieszę się, że przechodzisz na emeryturę – będziesz miał więcej czasu, by robić to, czego ja już nie robię: myśleć, prowadzić badania, pisać o zagadnieniach naprawdę ważnych, a obecnie powszechnie ignorowanych. (...) Dwadzieścia, trzydzieści lat temu wciąż jeszcze istnieli pisarze, artyści, myśliciele, których można było nazwać wielkimi czy też w każdym razie przypisać im pewien



się rozwijać w kierunku twórczym, (...) zakończyć życie na przyjemnej, komfortowej pustyni intelektualnej”.

Nadzieje Berlina nie spełniły się. Profesor Walicki okazał się jednym z ostatnich wielkich intelektualistów.

W maju tego roku obchodził 90. urodziny. Wyczerpany chorobą, zachował ciekawość świata; myślał, rozmawiał i pisał prawie do ostatnich dni. Przestał pisać na krótko przed śmiercią, gdy nie mógł już utrzymać pióra w dłoni.

W ostatnich latach współpracował z PRZEGŁADEM, czego owocem jest znakomity zbiór esejów „O Rosji inaczej”. Efektów swojej ostatniej pracy nie zdążył już

Prezydent Włoch Oscar Luigi Scalfaro wręczył prof. Walickiemu Nagrodę Eugenia Balzana, 28 listopada 1998 r.

zobaczyć, ale wkrótce zobaczą je jego czytelnicy. Przygotowujemy do druku jeszcze jedną książkę Profesora.

Andrzej Walicki był autentycznym patriotą. Mógł na emeryturze pozostać w Ameryce i wieść tam spokojne i komfortowe życie, ale ciągle brakowało mu Polski, której problemami żył nieprzerwanie od wyjazdu z kraju w 1981 r. Nie ukrywał negatywnego stosunku do poziomu całej obecnej klasy politycznej. Z największą odrazą odnosił się do odradzającego się, w odpychających, pokracznych kształtach, polskiego nacjonalizmu i klerykalizmu. Nie mógł znieść mściwej i fałszywej polityki historycznej, zniechęcającej Polskę Ludową i miliony jej obywateli, ani agresywnej rusofobii, spychającej dzisiejszą Polskę na polityczny margines Europy i zagrażającej realnym interesom narodowym.

Do końca okazywał życzliwość ludziom, interesował się ich pracą, nieustannie chciał pomagać. W zakończeniu jednego z ostatnich listów do niego Berlin wyznał: „Z żadnej z moich znajomości nie jestem bardziej dumny”. Bez wątpienia wielu z tych, którzy mieli zaszczyt znać Andrzeja Walickiego, podpisałoby się pod tymi słowami.

Jarosław Dobrzański

Profesor Walicki okazał się jednym z ostatnich wielkich intelektualistów.

atrybut wielkości. (...) [Dzisiaj] nie ma wielkich pisarzy, historyków, poetów, powieściopisarzy, rzeźbiarzy, malarzy, filozofów, krytyków – długo mógłbym tak wyliczać. (...) Upadek tego, co można nazwać kulturą, jest bardzo gwałtowny i jeśli nowe kraje postkomunistyczne nagle nie zaczną

20 sierpnia 2020 r. zmarł

Profesor Andrzej Walicki

Wielki polski uczony

Filozof i historyk idei.

Postać światowego formatu o imponującym dorobku naukowym. Laureat Nagrody Eugenia Balzana, uznawanej za humanistycznego Nobla.

Oryginalny myśliciel polityczny.

Autor docenianych na wszystkich kontynentach prac o myśli filozoficznej i kulturze Rosji.

Czytelnikom „Przeglądu” znany również z książki „O Rosji inaczej”.

Zawsze będzie dla nas autorytetem i intelektualną busolą.

Pani profesor Joannie Schiller-Walickiej oraz całej Rodzinie Profesora

składamy wyrazy głębokiego współczucia
Redakcja i Autorzy „Przeglądu”

Pogrzeb Profesora Andrzeja Walickiego odbędzie się w czwartek, 27 sierpnia, o godz. 9.00 na Cmentarzu Prawosławnym przy ul. Wolskiej 138/140 w Warszawie.

Z żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci naszego Przyjaciela i Mistrza, wielkiego historyka idei i filozofa

Profesora Andrzeja Walickiego,
laureata Kowadła „Kuźnicy”,

który regularnie publikował swoje wybitne teksty na łamach „Zdania”.

*Stowarzyszenie „Kuźnica”,
Redakcja „Zdania”*

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Kiedy umiera ktoś taki jak Andrzej Walicki, profesor, filozof, historyk filozofii, współtworzący realny fenomen intelektualny w historii Polski – warszawską szkołę historyków idei – powracają stare pytania o znaczenie tego typu postaci i ich dzieła w naszym borykaniu się z codziennością. Walicki, czyli *de facto* jego książki i teksty (w tym publicystyczne, wywiady polityczne, bieżące komentarze), przez całe lata były tuż obok, na wyciągnięcie ręki, w odległości przeczytywalnej. Ale to nie jego rozpoznawalny na świecie głos, głos człowieka znającego i rozumiejącego Rosję, liberalizm, marksizm, mesjanizm

prawd. Zapewne dlatego nie do przyjęcia. Adam Leszczyński wspomina swój wywiad o patriotyzmie z Walickim gdzieś za tzw. pierwszego PiS, w którym zapytał: „Dziś polityk PiS, partii rządzącej, mówi bez skrępowania o patriotyzmie genetycznym. Co się stało, że dyskurs wykluczenia powrócił do publicznego języka? Gdzie zwolennicy liberalnej koncepcji narodu – według Pana definicji – popełnili błąd?”.

Walicki: „Zwykle masy zwracają się ku tego typu poglądom z powodu wielkiej frustracji. W »Zniszczeniu narodu« Norwid pisał, że nieoświecony konserwatyzm i nieoświecony patriotyzm

Niestety – i mówię to jako liberał – zaniedbana została wspólnota narodowa, która nie powinna zgadzać się na wykluczenie jakiejś swojej części. W czasach romantyzmu Henryk Kamiński nazwał to »historyczną misją polskiej niedoli«. Pisał, że nie wolno dopuścić do straszliwej sytuacji ludu. Solidaryzm narodowy nie polega na tym, żeby gniewać się na roszczeniowe postulaty tych opuszczonych i wykluczonych. Przeciwnie: wymaga od warstwy panującej, żeby się trochę odsunęła, zrobiła miejsce dla tych, którzy w tej wspólnocie nie są uprzywilejowani, tylko pokrzywdzeni.

Walickiego Polska niebezpieczna

i rewolucję, Polskę z jej skatolizowanym nacjonalizmem, wybrzmiewał w pełni, był głosem stanowiącym o debacie. Nie jego sposób myślenia otwierał nasze oczy na „przekłete problemy” bliskiego, odległego imperium. Nie jego antyrusofobiczne, mądrościowe, wglębne rozumienie świata politycznych idei wyznaczało poziom polskiej debaty, kształtowało stanowiska.

David Ost, amerykański socjolog, który zachował w życzliwym wspomnieniu recenzję Walickiego – ona najprawdopodobniej doprowadziła do polskiego wydania książki „Defeat of Solidarity” („Kłęska Solidarności”) – uznał, że został w Polsce zrozumiany. Został przez Walickiego rozumiany. Bo i sam Walicki był i osobny w myśleniu, i osamotniony w polemicznym dystansie do Polski przetransformowanej po 1989 r. przez neoliberalizm. Niestrudzenie odkrywał meandry poromantycznych figur politycznego myślenia w Polsce i Rosji, porządkował pojęcia, usiłował wprowadzić ład w aintelektualnych dyskursach politycznych toczonych na łamach gazet. Ale to nie jego głos, choć słyszalny, dominował, wyznaczał ton. Był w najgłębszy i merytoryczny sposób antymainstreamowy. A za to dzisiejszy czas wystawia rachunek okrutny i natychmiastowy – przemilcza.

Miał nam tymczasem do powiedzenia bardzo wiele ważnych, bo trudnych

są najlepszą formułą do skompromitowania i zniszczenia patriotyzmu. Że pojawia się zwykle najpierw upokorzenie z powodu porażki, potem reakcja w postaci poczucia dumy – które jest uzasadnione, ale przybiera formy zdegenerowane, śmieszne, pyszałkowane.

Dla znacznej części społeczeństwa polskiego transformacja była traumatycznym doświadczeniem. Liberałowie niedostatecznie brali pod uwagę sytuację tych ludzi, nawet na poziomie retoryki. Głosili niemal darwinizm społeczny: na wolnym rynku najlepiej poradzą sobie najlepiej przystosowani i co więcej, to tak właśnie powinno być, to jest słuszne i moralne. Łączyli to z koncepcją modernizacji, która jest nieunikniona i której koszty trzeba ponieść. Tym, którzy je ponosili, liberałowie nie okazali współczucia – nawet werbalnie. To diagnoza, którą stawia amerykański politolog David Ost w tłumaczonej właśnie na polski książce o latach 90. Całkowicie się z nim zgadzam.

Byłoby lepiej, gdyby powstała wówczas jakaś wiarygodna partia socjaldemokratyczna – która nie byłaby pod nieustannym atakiem, że zbudowali ją komuniści, którzy dążą do restauracji. Ta część ludzi, która traciła na modernizacji, wiedziałaby, że ma sprawdzonych przyjaciół, którzy potrafią jej bronić.

W czasach romantyzmu niemal wszyscy sobie z tego zdawali sprawę, że szlachta zawiniła i za wykluczenie ludu trzeba było zapłacić polityczną klęską. Potem takie myślenie zostało zdyskredytowane przez retorykę systemu komunistycznego, który je uznał za własne.

Można dalej i na zawsze Walickiego czytać; za jego zgodą mamy darmowy dostęp do wielu jego najważniejszych książek na portalu Polona.pl. Nie oddajmy ich niepamięci tylko dlatego, że autor po 90 latach tytanicznego życia i pisanie zmarł. Walicki, wbrew nawykowi, czynił z Polski, polityki, liberalizmu i komunizmu – spór. To bezsporne. Toczmy go dalej albo choć poznajmy.

ROMAN KURKIEWICZ

PONIEDZIAŁEK / 07:00 - 10:00
CZWARTEK / 21:00 - 23:00

SŁUCHAJ NA WWW.HALO.RADIO
LUB PRZEZ APLIKACJĘ MOBILNĄ
HALO.RADIO NA IOS I ANDROID

HALO RADIO
MEDIUM DŁUGIEJ WIEDZY

Marek Czarkowski

Męczeństwo braci Szumowskich

Akt drugi

Jak długo PiS będzie rządziło, tak długo prof. Łukasz Szumowski może spać spokojnie. Jego brat Marcin raczej nie

Ta dymisja nie mogła być zaskoczeniem. Zwłaszcza że wcześniej z funkcji zrezygnował wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński, kojarzony z niezbyt fortunnymi decyzjami zakupowymi resortu. Bez wątpienia do odejścia Łukasza Szumowskiego walenie przyczyniły się media, wielka w tym rola także dwóch postów Koalicji Obywatelskiej, Michała Szczerby i Dariusza Jońskiego, którzy od kilku miesięcy ujawniali niewygodne dla niego fakty. Również Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła duże śledztwo w sprawie nieprawidłowości, do jakich mogło dojść w Ministerstwie Zdrowia w związku z dobrze znanymi wszystkim zakupami. Łukasz Szumowski i jego zastępca stali się wizerunkowym obciążeniem dla rządu premiera Morawieckiego.

Minister krytyki nie przyjmuje

Były minister twierdzi, że chciał się podać do dymisji już w lutym tego roku, ale został, by walczyć z pandemią. Pytany, dlaczego jeszcze kilka dni temu publicznie zapewniał, że nie chce rozmawiać o opuszczeniu okrętu, wyjaśnił z lekkim uśmiechem, że nie mógł inaczej, wstydzi się tych słów i przeprasza za drobne kłamstwo. Chyba jednak mało kto mu wierzy.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła duże śledztwo w sprawie nieprawidłowości, do jakich mogło dojść w Ministerstwie Zdrowia.

Posłowie opozycji są przekonani, że Szumowski z Cieszyńskim i tak zostaliby odwołani w ramach zapowiadanej wrześniowej rekonstrukcji gabinetu, dlatego postanowili uprzedzić wydarzenia.

Takie drobiazgi jak fakt, że spółka OncoArendi Therapeutics, w której funkcję prezesa pełni brat byłego już ministra Marcin, otrzymała z rządowego Narodowego Centrum Badań i Rozwoju łącznie ponad 100 mln zł dotacji unijnych, był oczywiście bez znaczenia. Łukasz Szumowski konfliktu interesów tu nie dostrzegał.

Podobnie jak uznał za rzecz normalną zrobienie przez znajomego instruktora narciarstwa z Zakopanego

kilkumilionowego interesu życia na maseczkach chirurgicznych z wątpliwym atestem, sprzedanych resortowi zdrowia. Minister zapewniał dziennikarzy, że maseczki „kupiłby nawet od diabła”.

W ocenie Łukasza Szumowskiego nie było też nic nagannego w tym, że lubelska spółka E&K, należąca do byłego handlarza bronią, otrzymała od Ministerstwa Zdrowia 200 mln zł za 1,2 tys. respiratorów, które miała dostarczyć, i nie do końca wywiązała się z umowy. Minister zdrowia z olimpijskim spokojem tłumaczył, że kontrahent był sprawdzany przez służby, a podobne sytuacje miały miejsce również w innych krajach. Poza tym pieniądze uda się odzyskać z odsetkami, więc nie ma sprawy. Pewnie

dlatego Szumowski nie uznał za stosowne poinformować o tym prokuratury. Zrobili to za niego posłowie Koalicji Obywatelskiej.

W bardziej cywilizowanych państwach podobne zdarzenia oznaczają natychmiastową dymisję i polityczną śmierć urzędnika. Lecz nad Wisłą obowiązują inne zasady. Dlatego minister, odpowiadając w ubiegłym tygodniu na pytania dziennikarzy o przyczyny dymisji i ocenę swoich dokonań na urzędzie, prezentował niezachwianą wiarę w czystość intencji, a krytyków nazywał dorosłymi Sherlockami. Miał ku temu podstawy. Wiedział, że jak długo Zjednoczona Prawica kontroluje

resort sprawiedliwości i prokuraturę, włos z głowy mu nie spadnie.

Zwłaszcza że wiosną Sejm – w ramach jednej z tarcz antykrzysowych – przyjął regulacje prawne zapewniające bezkarność sprawcom przestępstw z art. 231 i 296 Kodeksu karnego. Pierwszy mówi o nadużyciu uprawnień przez funkcjonariusza publicznego, drugi – o wyrządzeniu szkody majątkowej w obrocie gospodarczym. Normalnie grozi za to do 10 lat więzienia, lecz specustawa stanowi, że jeśli ktoś kupował towary i usługi niezbędne do zwalczania epidemii, działał w interesie społecznym oraz w sytuacji zagrożenia i wyższej konieczności, to odpowiedzialności nie poniesie. Urzędnik, który przekroczy uprawnienia i wyrządzi wielką szkodę majątkową, nie odpowie też

za naruszenie dyscypliny finansów publicznych. Niektórzy politycy i dziennikarze twierdzili, że owe zapisy forsał

wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński, słusznie zakładający, że kiedyś przyjdzie mu stanąć przed surowym obliczem prokuratora.

Musimy poza tym pamiętać, że jeszcze przez pięć lat w odwodzie pozostanie prezydent Andrzej Duda, który z pewnością – gdyby zaszła taka potrzeba – ulaskawi bohaterów walki z pandemią. Apele postów opozycji o powołanie komisji śledczej, która zbadałaby nieprawidłowości w resorcie zdrowia, nie mają zaś w tej kadencji Sejmu najmniejszych szans powodzenia. Być może więc prof. Szumowski i były wiceminister Cieszyński mają nadzieję, że za kilka miesięcy opinia publiczna



Łukasz Szumowski nie ma sobie nic do zarzucenia.

zapomni o sprawie i nikt ich nie będzie niepokoił.

Inwestorzy się nie pchają

Za to problemy mogą dotknąć spółki kontrolowane przez żonę i brata byłego ministra, złośliwie nazywane przez niektóre media rodzinnym holdingiem lub biznesową ośmiornicą. Oczywiście nie stanie się to od razu.

Można uwierzyć, że Łukasz Szumowski, piastując wysokie stanowiska rządowe, nigdy nie zabiegał o dotacje dla OncoArendi Therapeutics SA czy funduszu Life Science Innovations. W ostatnich latach samo nazwisko Szumowski wystarczało, by urzędnicy wiedzieli, co robić. Teraz jako szeregowy poseł profesor będzie miał znacznie mniejsze wpływy. Dlatego z czasem kojarzone z Szumowskimi firmy staną się przedmiotem wnikliwych kontroli, a potem coraz trudniej będzie im przychodziło pozyskiwanie dotacji, bez których kontynuowanie

normalnej działalności gospodarczej będzie niemożliwe. Szczególnie że realizowane bądź finansowane przez te spółki projekty są wysoce ryzykowne.

W roku 2016 wspomniany fundusz Life Science Innovations zaінwestował we wrocławską spółkę LifeFlow (według danych KRS posiada 381 udziałów) specjalizującą się w diagnostyce kardiologicznej. Spółka od kilku lat pracuje nad

W ostatnich latach nazwisko Szumowski wystarczało, by urzędnicy wiedzieli, co robić.

bezinwazyjną identyfikacją miejsc, w których tętnice są zwężone lub całkowicie niedrożne. I szczyty się dotacją unijną w kwocie niemal 13 mln zł przyznaną w listopadzie ub.r. na realizację projektu o nazwie „Platforma chmurowa HEMOFLOW do nieinwazyjnej diagnostyki hemodynamicznej”. Problem w tym, że na ogłoszenie sukcesu przyjdzie trochę poczekać. Może też się okazać, że

projekt to ślepa uliczka. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego.

Zasada jest prosta – im większe ryzyko, tym większe zyski. Do tego musi być dostosowany model biznesowy. Przyjrzyjmy się spółce OncoArendi Therapeutics, dzięki mediom najbardziej znanej opinii publicznej. Jej głównym akcjonariuszem nie jest ani Marcin Szumowski, ani tym bardziej były minister zdrowia, ani jego żona Anna. W marcu 2018 r. prawie 34% akcji spółki kupił fundusz Ipopema 112 FIZ Aktywów Niepublicznych, kontrolowany przez jednego z najbogatszych Polaków, Michała Sołowowa. To on jest największym udziałowcem.

W sprawozdaniu rady nadzorczej OncoArendi za rok 2019, które wkrótce ma zostać zatwierdzone przez walne zgromadzenie wspólników, stwierdzono, że spółka „za rok obrotowy zakończony w dniu 31 grudnia 2019 wykazuje stratę w kwocie 4 222 012 zł”.

Oczywiście dramatu nie ma, aktywa i kapitał własny na koniec roku 2019 wynosiły ponad 85 mln zł. I jak zapewniał jej prezes, spółka ma zapewnione finansowanie do końca 2021 r. Jednak by utrzymać się na rynku – jak każda firma – potrzebuje stałego dopływu gotówki. A ponieważ na razie nie sprzedaje żadnych własnych leków, musi szukać partnerów i inwestorów, by kontynuować badania.

Na początku marca 2019 r. podczas prezentacji planów spółki prezes Marcin Szumowski zapowiedział, że głównym celem jest podpisanie do końca 2020 r. umowy ze strategicznym partnerem o wartości od 200 do 400 mln euro. Wyraził przy tym nadzieję, że może uda

się tego dokonać wcześniej. Byłoby to wybitne osiągnięcie dla firmy wartej dziś, według wyceny rynkowej, ok. 230 mln zł.

W lipcu 2019 r. prezes Szumowski w towarzystwie dyrektora ds. rozwoju biznesu Nicolasa Beuzena oraz dyrektora biologii Pawła Dobrzańskiego odwiedził Chiny. Celem wyjazdu było promowanie dwóch najbardziej zaawansowanych programów ▶

► badawczych prowadzonych przez OncoArendi oraz nawiązanie współpracy biznesowej z chińskimi spółkami biotechnologicznymi i farmaceutycznymi. Szacuje się, że rocznie firmy z Państwa Środka wydają na zakup licencji na produkcję nowych leków kilkanaście miliardów dolarów, więc polska spółka powinna spróbować nad Jangcy swojej szansy.

Minął rok i nadal nic nie wiemy na temat umowy z partnerem strategicznym. Na forach internetowych poświęconych Giełdzie Papierów Wartościowych wyrażana jest opinia, że dymisja Łukasza Szumowskiego może tylko pomóc spółce kierowanej przez jego brata, gdyż znikną podejrzenia o konflikt interesów. Wtedy pojawi się partner z bardzo grubym portfelem.

Marcin Szumowski w wywiadzie udzielonym na początku czerwca br. Polskiej Agencji Prasowej mówił, że ataki na jego brata i rodzinę były spowodowane tym, że minister zdrowia stał się „zbyt popularny”. Przy okazji opisał model biznesowy, który chce realizować w OncoArendi. „W Polsce panuje przeświadczenie, że jeżeli spółka nie generuje przychodu albo nie ma produktu na rynku, który sprzedaje jako gotowy, to znaczy, że nie tworzy wartości i granty na jej rzecz to wyrzucone pieniądze. Tymczasem np. firma Galapagos (holenderska spółka założona w roku 1999, specjalizująca się w badaniach nad lekami na łuszczycę, mukowiscydozę, reumatoidalne zapalenie stawów itp. – przyp. aut.), która działa w naszym obszarze terapeutycznym,

istnieje od 21 lat, nie wprowadziła jeszcze na rynek żadnego leku. A jest w tej chwili wyceniana na ponad 13 mld dol., czyli dwa razy więcej niż Orlen – mówił. – Nie wycenia się tych firm po tym, co sprzedają i jaki mają aktualny zysk netto, tylko po tym, jaki mają potencjał na leczenie ludzi w przyszłości. Bo sprzedają nie gotowe leki, tylko produkt w rozwoju, skumulowane wyniki badań czy patentów. A to jest ogromna wartość. Jako OncoArendi możemy pochwalić się ponad 20 przyznanymi międzynarodowymi patentami i ponad 60 zgłoszeniami patentowymi”.

Słabością tego rodzaju firm jest utrata zaufania. W gruncie rzeczy sprzedają one nadzieje na przyszłość.

Odejście panów Cieszyńskiego i Szumowskiego nastąpiło w optymalnym dla nich momencie. Odpowiedzialność za błędy w walce z pandemią spadnie na ich następców.

zyski. Jeśli inwestorzy stracą wiarę w to, że zarobią, zaczynają się kłopoty. W skrajnych przypadkach dochodzi do spektakularnych upadłości – np. założycielka amerykańskiej spółki Theranos Elizabeth Holmes, o której mówiło się „Steve Jobs w spódnicy”, musi się tłumaczyć przed sądem, co się stało z kwotą pół miliarda dolarów powierzoną jej przez inwestorów. Grozi jej 20 lat więzienia.

Jeśli potencjalni inwestorzy dojdą do wniosku, że OncoArendi Therapeutics nie rokuje na przyszłość, a instytucje takie jak Narodowe Centrum Badań i Rozwoju czy Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości z ostrożności odmówią udzielenia dotacji, smutny koniec nastąpi bardzo szybko. Ciekawe, czy spółka, w której prezesem jest Marcin Szumowski, będzie mogła liczyć na taką uprzejmość jak chociażby Selvita. W marcu 2018 r. państwowy Polski Fundusz Rozwoju objął akcje tej spółki o wartości 40 mln zł, co w praktyce było czystą dotacją. Czas pokaże.

COVID-19 nie zniknie

Dymisja ministra zdrowia nastąpiła w momencie, gdy za kilka tygodni pandemia koronawirusa uderzy w nas ze zdwojoną

siłą. Liczba nowo wykrytych przypadków oscyluje w granicach 600-800 dziennie i może wzrosnąć. Epidemiolodzy zwracają uwagę na niebezpieczeństwo, jakie niesie powrót dzieci i młodzieży do szkół. Pada pytanie, czy system opieki zdrowotnej w Polsce nie załamie się, jeśli liczba chorych wymagających hospitalizacji znacząco wzrośnie. Mieliliśmy bardzo dużo szczęścia, że COVID-19 nie uderzył w Polskę z taką siłą jak we Włoszech, w Hiszpanii czy w Stanach Zjednoczonych. Jesienią to może się zmienić. Liczba wykrywanych przypadków jest dziś znacznie większa niż w kwietniu czy maju, gdy nie można było nawet wchodzić do lasów.

Z tego względu odejście panów Cieszyńskiego i Szumowskiego nastąpiło w optymalnym dla nich momencie. Przestają być obciążeniem wizerunkowym dla rządu premiera Morawieckiego, a odpowiedzialność za ewentualne błędy w walce z pandemią spadnie na ich następców. Nikt też nie będzie miał do nich uzasadnionych pretensji o to, że nie zawalczyli o znaczące zwiększenie nakładów na służbę zdrowia.

W bardziej doświadczonych pandemią, ale i rozwiniętych krajach wszyscy rozumieją, że na służbie zdrowia nie można oszczędzać. Bo to nie koszt, lecz inwestycja w bezpieczeństwo i przyszłość. Minister Szumowski nie upomniał się o podwyżki dla lekarzy, ratowników medycznych, pielęgniarek, techników ani szeroko rozumianego personelu medycznego. Opozycja zresztą także palcem nie kiwnęła. A powinna. Jeśli tym dzielnym ludziom, którym – oby nigdy do tego nie doszło – przyjdzie ratować nam życie w warunkach szalejącej pandemii, zaoferujemy jak dotychczas wyłącznie podziękowania za bohaterstwo, będzie to stanowczo za mało. Zaniedbanie tej sprawy było największym grzechem byłego ministra zdrowia, prof. Łukasza Szumowskiego.

Marek Czarkowski

Odszedł

Redaktor

Witold Strzemiń

Niezwykle profesjonalny sekretarz redakcji „Sztandaru Młodych” i „Razem”.

Mądry i odpowiedzialny.

Życzliwy i koleżeński.

Bardzo dobry człowiek.

Żonie Zofii Szwagulińskiej-Strzemiń i bliskim Witka bardzo współczuję

Jerzy Domański

Co się wydarzy na Białorusi?

Putin, Merkel, Łukaszenka, Białorusini... Każdy walczy o co innego

Robert Walenciak

Białoruś zaczyna się 200 km na wschód od Warszawy. Od kilkunastu dni mamy tam bunt i sytuację absolutnie wyjątkową. A Polska? Dała się zaskoczyć. Mińsk, wybory, protesty – to wszystko, jeśli popatrzymy na reakcję polskich polityków, okazało się dla nich niespodzianką. Wydarzenia na Białorusi pokazują miłą polskiej polityki wschodniej i Polski jako takiej. Bo, po pierwsze, Polska nie miała rozeznania, co się dzieje u jej sąsiada, jakie panują tam nastroje. Po drugie, nie wiemy, w którym kierunku to wszystko może się rozwinąć. I to nie dlatego, że sytuacja szybko się zmienia, po prostu nie wiemy, kto jakimi siłami dysponuje. A po trzecie – nie ma Polski wśród tych, którzy o rozwiązaniu sprawy Białorusi dyskutują.

A kto jest w tym gronie? Najogólniej można powiedzieć, że na tamtejszą sytuację wpływają cztery ośrodki. Dwa zewnętrzne i dwa wewnętrzne. Czyli – Zachód i Rosja oraz białoruska władza i zbuntowane społeczeństwo.

Zachód

Zachód to w tej chwili Niemcy. Bo właśnie Angela Merkel narzuciła Europie agendę prowadzenia sprawy Białorusi. Dobrze to było widać podczas teleszczytu Unii Europejskiej. Jego konkluzje były bardzo jasne. Przywódcy Unii ogłosili, że nie uznają wyników wyborów podanych przez władze Białorusi i uważają, że zostały one sfałszowane. Choć, dodajmy, nie oznacza to, że nie uznają Aleksandra Łukaszenki za szefa państwa.

W tej sytuacji Unia poparła ideę przeprowadzenia nowych wyborów, z zastrzeżeniem, że powinna to być decyzja samych Białorusinów – nie wykluczając z tego grona Łukaszenki. Ogólnie więc Unia poparła demokrację na Białorusi, ale chciała, żeby w tej sprawie dogadali się sami Białorusini.



Zwolennicy opozycji (nz. z lewej) i prezydenta Łukaszenki różnią się nie tylko poglądami, ale i flagami. Mińsk, al. Niepodległości, 20 sierpnia 2020 r.

A co zamierza zrobić, żeby do tego dogadania się ich zachęcić? Otóż planuje w niedalekiej przyszłości nałożyć sankcje (typu zakaz wjazdu oraz zamrożenie majątku na terenie Unii) na „znaczącą liczbę” ludzi z aparatu władzy, którzy odpowiadają za przemoc oraz fałszerstwa wyborcze. Chce też wesprzeć opozycję, dając środki na pomoc dla represjonowanych, na wolne media itd. Ale nie jest to zawrotna suma, bo określono ją na 2 mln euro.

Białoruś zaczyna się 200 km na wschód od Warszawy. A Polska nie miała rozeznania, co się dzieje u jej sąsiada.

No i w apelu do świata przywódcy unijni napisali, że „wszystkie strony, w tym państwa trzecie, powinny wspierać proces pokojowego i demokratycznego dialogu”. Co oczywiście jest apelem (bądź ostrzeżeniem) wystosowanym do Rosji. Żeby w sprawach Białorusi nie interweniowała militarnie. O tym zresztą mówiła na szczycie Angela Merkel, relacjonując swoją telefoniczną rozmowę z Władimirem Putinem – o niedopuszczalności rosyjskiej ingerencji „pod pretekstem zapobieżenia ingerencji zachodniej”.

Jak widać, za wielkimi słowami nie kryje się zbyt wiele treści. Sankcje ludziom Łukaszenki nieszczególnie szkodzą, bo oni i tak rzadko jeżdżą na Zachód. A pomoc dla opozycji jest symboliczna. Skąd ta powściągliwość? Rzecz jest chyba łatwa do wytłumaczenia. Unia nie ma ani siły, ani ochoty rozszerzać swoich wpływów poza wschodnią granicę Polski; interesu w tym również nie ma. „Białoruś to nie Europa”, mówił jeden

z dyplomatów francuskich i to oddaje myślenie wielu Europejczyków.

Unia nie ma też pieniędzy, które trzeba by zainwestować w białoruską transformację w wypadku wygranej demokratów. Nie chce konfliktować się z Rosją, bo i tak jest zmęczona sankcjami nałożonymi na Moskwę w związku z wydarzeniami na Ukrainie.

Europa ma poza tym w pamięci skutki nieudanych rewolucji na Bliskim Wschodzie i w północnej Afryce, męczą ją kłopoty Ukrainy. Innymi

► słowy, idealne rozwiązanie dla Unii byłoby takie, gdyby proces demokratyzacji i otwierania gospodarki na Białorusi odbywał się w sposób kontrolowany. Tak, żeby nie drażnić Rosji. Żeby nie wywoływać turbulencji. Spokojne zmiany, z naciskiem na spokój – to plan Unii.

Rosja

A plan Rosji? Pewne jest w nim jedno – długofalowym zamiarem Władimira Putina jest odbudowa dawnego ZSRR. Czyli ponowne związanie Białorusi z Rosją. Co z punktu widzenia Moskwy istotne, ten proces zachodzi. Gospodarki obu państw są coraz bardziej wspólne, Białoruś stanowi część Euroazjatyckiego Sojuszu Ekonomicznego, jest uzależniona od rosyjskiej ropy i gazu i jest w Rosji zadłużona.

Spokojne zmiany, z naciskiem na spokój – to plan Unii wobec Białorusi.

W dodatku przyjaźnie nastawieni do Rosji są sami Białorusini, aczkolwiek zjednoczenia z Moskwą chciałoby ledwie 7%. Dla większości obywateli (ponad 70%) najlepszy jest obecny format relacji. Ledwie 5-7% ankietowanych chciałoby zrywać więzi z Rosją.

Widać to było zresztą podczas protestów – nie wznoszono na nich, jak np. podczas kijowskiego Majdanu, haseł antyrosyjskich. W tych protestach chodziło o samego Łukaszenkę, a nie o obecną formę relacji Rosja-Białoruś. Dlatego, rozpatrując różne warianty działania, Moskwa te wszystkie elementy musi wziąć pod uwagę. Interwencja militarna i nieuchronnie związane z nią ofiary te dobre stosunki by zmieniły.

Władimir Putin ma na stole dwa przykłady – Ukrainę i Armenię. Gdy w roku 2014 władzę tracił Wiktor Janukowycz, Rosja podjęła działania destabilizujące Ukrainę – zagarnęła Krym, stała za akcjami „separatystów” w Ługańsku i Doniecku. Niewątpliwie srogo pokarała Kijów za samodzielną. Ale co z tego pokarania jej przyszło? Na własne uszy słyszałem, jak podczas dyskusji w MGIMO jeden z oficjeli Rosyjskiej Akademii Nauk mówił: „Zyskaliśmy Krym. Ale straciliśmy Ukrainę. Na wiele, wiele lat”. I te słowa zostały przyjęte bez szemrania.

Rosja zatem wie, że owszem, może militarnie narzucać swoją wolę, jednak to bardzo drogo kosztuje.

O tym, że wie i że wyciągnęła z ukraińskiej awantury wnioski, świadczy przykład Armenii. Tam w 2018 r. protesty uliczne zmusiły do dymisji Serża Sarkisjana (wówczas premiera), polityka rządzącego tak jak Janukowycz i prorosyjskiego. Władzę po nim przejął Nikol Paszynian, jeden z liderów buntowników, mający opinię prozachodniego. Ale Paszynian bardzo szybko przyjął do wiadomości, jakie są międzynarodowe realia, i Armenia utrzymała dotychczasowe więzi z Rosją.

Putin wie, że nie warto bronić upadających dyktatorów. Choć pewnie to wszystko zależy od ceny, jaką można za taką ochronę uzyskać. A Rosji zależy w tej chwili najbardziej na dwóch

bazach wojskowych, które chciałaby założyć na terytorium Białorusi.

Do tych przykładów dorzuciłbym trzeci element. Gdy wybuchł białoruski kryzys, do prezydenta Putina dzwonili Angela Merkel, Emmanuel Macron i przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel. Po tych rozmowach ukazał się komunikat Kremla, w którym czytamy, że prezydent Putin ostrzegał przed niedopuszczalnymi ingerencjami w sprawy Białorusi „z zewnątrz”.

Jeszcze jaśniej stanowisko rosyjskie wyłożył szef MSZ Siergiej Ławrow, który mówił, że w sprawie Białorusi zachodni gracze próbują wznowić rywalizację o obszar poradziecki, jak „wcześniej działo się to na Ukrainie”. I że w działaniach stolic europejskich

ale o władzę. Swoją władzę. Jego kłopot polegał na tym, że w wyniku dyktatorskich działań zamknął sobie drzwi na Zachód. Nie rzuciło go to automatycznie w objęcia Rosji, ale mocno zawęziło jego pole manewru.

Radził sobie z tym dwójako. Mocno rozwinął współpracę z Chinami. Poza tym werbalnie był prorosyjski, dzięki czemu mógł liczyć na rosyjską pomoc dla kulejącej gospodarki, a z drugiej strony bardzo pilnował, by Rosjanie nie mieli wpływów w jego aparacie władzy.

Przykładów jest na to sporo. Chyba najbardziej efektowny pochodzi z kwietnia 2019 r. Najpierw białoruskie KGB aresztowało, oficjalnie pod zarzutem wzięcia 150 tys. dol. łapówki, Andrieja Wtiurina, zastępcę szefa Rady Bezpieczeństwa Białorusi. A tydzień później Władimir Putin odwołał swojego ambasadora w Mińsku, Michaiła Babicza, raptem po kilku miesiącach pobytu. Babicz nie był zawodowym dyplomata, był związany ze służbami specjalnymi, wcześniej był m.in. premierem powojennej Czechenii, a pojechał do Mińska „wyrwać kły Łukaszence”.

Pojechał i zaczął nawiązywać kontakty z białoruską opozycją i strukturami siłowymi. Szybko skończyło się to dla niego mało efektowną porażką. Łukaszenka nie pozwolił, by rosyjski ambasador budował swoje wpływy wśród jego oficerów.

Drugi przykład – pod koniec lipca białoruskie KGB zatrzymało 30 rosyjskich najemników z tzw. grupy Wagnera. Przyjechali oni na Białoruś w zasadzie nie wiadomo po co. Podejrzewano, że po to, by prowokować zamieszki.

Białorusini są przyjaźnie nastawieni do Rosji.

„nie chodzi o Łukaszenkę, prawa człowieka i demokrację, a chodzi o geopolitykę”. Czy Ławrow rzeczywiście bał się, że Zachód wejdzie na Białoruś? Raczej nie, jest wystarczająco rozsądny. A skoro tak, to tymi słowami komunikował światu, że Białoruś to obszar wpływów Rosji i że Rosja poradzi tu sobie sama, świat ma się trzymać od tego z daleka.

Łukaszenka

A Łukaszenka? To już inna sprawa. On gra o co innego – nie o wpływy,

Łukaszenka pokazał więc, że wie, skąd może przyjść zagrożenie – od przyjaciół ze Wschodu i od jego najbliższych współpracowników.

Dla Rosji taki scenariusz, że rządzący już 26 lat prezydent zostaje zastąpiony przez kogoś z podwładnych i Białoruś w płynny sposób zbliża się do Rosji, byłby najlepszy. Zwłaszcza że Putin, niemal rówieśnik Łukaszenki (jeden to rocznik 1952, drugi – 1954, Putin rządzi Rosją od 20 lat), białoruskiego prezydenta nie znosi.

Ale to tylko teoria, bo, po pierwsze, gdzie jest ten „podwładny”?

Systemy dyktatorskie następców nie wychowują. Po drugie, ten scenariusz Łukaszenka dobrze zna i, jak pokazał, potrafi mu przeciwdziałać. Tylko że teraz ma zagrożenie inne – buntujących się obywateli.

Jak więc postąpi? Tu w zasadzie warianty są dwa. Pierwszy, że Łukaszenka spróbuje wziąć demonstrujących i strajkujących obywateli na przeczekanie. Drugi – że rozpocznie kolejną falę represji. Ale co będzie, jeśli ta fala nie przyniesie efektów? Rzuci na demonstrujących wojsko? A gdy wojsko i policja przestaną wypełniać jego rozkazy? Tak przecież w historii upadających dyktatur wielokrotnie bywało. Czy wtedy zrezygnuje z władzy? Czy Rosjanie zaproponują mu jakieś honorowe wyjście?

To jest wielka niewiadoma, bo mało wiemy o nastrojach panujących w gronie współpracowników prezydenta i o jego odczuciach. Możemy tylko zaobserwować, że Łukaszenka jest pełen emocji i chętnie odwołuje się do grózb. Widzimy też, że nastroje w obozie władzy falują, raz mamy wezwanie, by działać ostro, przerywanie

wojska itd., a za chwilę, żeby było spokojnie. Najwyraźniej trwa tam jakiś spór. Wiadomo, że Łukaszenka, choć nie odbiera telefonów od polityków z Zachodu, rozmawiał z Putinem, że w Mińsku był szef rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Ale już nie wiemy, o czym rozmawiali.

Spółeczeństwo

To kolejna niewiadoma. Możemy zachwycać się dyscypliną demonstrujących. Tym, że dość precyzyjnie zdefiniowali swoje cele – nie mówią

rywali, zarówno w obozie władzy, jak i w opozycji. Tylko że to wszystko jest na chwilę. Bo wystarczy, że demonstracje będą trwały, że będą strajki, i po jakimś czasie liderzy się pojawią. Zwróćmy zresztą uwagę – Łukaszenkę demonstracje mało zmarniły, za to strajki w zakładach pracy – znacznie bardziej.

Kluczowym pytaniem jest, czy Białorusini będą trwać w oporze. Czy zakłady pracy będą dalej strajkować? Czy robotnicy ulegną naciskom? Czy demonstrantów będzie więcej, czy mniej? Jak będzie budowała się

Putin wie, że nie warto bronić upadających dyktatorów.

więc nic o Zachodzie, nic o Rosji, chcą tylko zaprzestania represji, przemocy i oszustw oraz powtórzenia wyborów. Ale nie zmienia to faktu, że ten bunt nie ma lidera, bo jeszcze nie jest nim Swiałłana Cichanouska. Przed nią jeszcze wiele prób.

Można zatem powiedzieć, że to sukces Łukaszenki, że zdołał wyeliminować wszystkich potencjalnych

opozycja? Czy obóz władzy zacznie pękać? Ba, można dodać do tego jeszcze jedno pytanie – czy w samej Rosji będą wiece poparcia dla Białorusinów.

To są główne elementy określające, jak sytuacja na Białorusi się rozwinie. I od nich zależą będą inne działania – Łukaszenki, Putina, Zachodu.

Robert Walenciak



62% osób w Sudanie Południowym nie ma dostępu do czystej wody

POMÓŻ NAM TO ZMIEŃĆ
Wpłać: www.pah.org.pl



To będzie bardzo ciekawy rok szkolny

Nadal nie wiem, za co jako dyrektor odpowiadam, który moment powinienam uznać za niebezpieczny i zamknąć szkołę

Rozmawia Beata Igielska

Czego pani się boi najbardziej przed rozpoczęciem roku szkolnego?

– Absurdów. Już widać, że będą nam towarzyszyć w codziennej pracy. Będziemy musieli stosować procedury nieadekwatne do naszego środowiska. Do szkoły w Radowie Małym dzieci dowożone są z 19 miejscowości czterema autobusami. Spędzają w autobusie od 20 do 40 minut. W autobusach trudno zachować dystans społeczny. Dzieci potem wejdą do szkoły, gdzie będzie panował zaostrzony rygor sanitarny: oddzielna pracownia, zakaz większego mieszania się, przemieszczania. Rygor powinien być, ale w naszej szkole część zajęć, np. z matematyki, odbywa się na zasadzie projektu w kuchni szkolnej. Nieunikniona, a wręcz wskazana jest praca w grupach mieszanych wiekowo. Sanepid pewnie nam tego zabroni. Przypominam, że dzieci są wymieszane w autobusie. Tak samo wracają do domu.

Pracujecie w sposób nieszablonowy.

– Według planu lekcji nasze dzieci pracują minimum sześć godzin w tygodniu w różnych pracowniach tematycznych, np. humanistycznej, matematyczno-przyrodniczej. Tam eksperymentują, poszukują wiedzy i w ten sposób są realizowane podstawy programowe kształcenia ogólnego. Robimy też dużo działań teatralnych, przygotowujemy plakaty, produkujemy papier czerpany, mamy lekcje na hamakach. Wczoraj od sanepidu dostałam tabelkę do wypełnienia. Jedno z kluczowych pytań: czy uczniowie byli odizolowani od siebie? Nadal nie wiem, za co jako dyrektor odpowiadam, czy mogę zostać ukarana w przypadku pojawienia się zachorowań lub niespełniania pewnych procedur przez społeczność szkolną. Nie wiem, który moment powinienam uznać za niebezpieczny i zamknąć szkołę. Który



EWA RADANOWICZ

– dyrektorka innowacyjnej Szkoły Podstawowej w Radowie Małym w województwie zachodniopomorskim, członkini społeczności The Global Change Leaders Ashoka. Edukatorka, trenerka, autorka książki „W szkole wcale nie chodzi o szkołę”.

przypadek zachorowania powinienam uznać za kluczowy do podjęcia działań profilaktycznych, by nie dopuścić do większego zakażenia. Nakłada się na nas odpowiedzialność za coś, na co nie mamy wpływu. O pandemii

Ważne, żebyśmy we wrześniu uczyli się, jak prowadzić lekcje po nowemu, jak korzystać ze sprzętu.

nie mamy wiedzy i nie musimy jej mieć, bo dziś nikt jej nie ma. **Wspominała pani nawet o zwolnieniu się z pracy, jeśli nadal będą takie niewiadome.**

– No tak, mogę różne rzeczy robić, mogę eksperymentować w tej nowej sytuacji, ale nie mogę brać odpowiedzialności za zdrowie i życie drugiego człowieka. W pandemii nie da się stworzyć do końca bezpiecznych warunków, bo wiele zależy od rodziców. Czy będą posyłali do szkoły tylko zdrowe dzieci? Pierwsza z wytycznych sanepidu odnośnie do organizacji zajęć w szkole brzmi: do szkoły może uczęszczać uczeń bez objawów chorobowych wskazujących na infekcję dróg oddechowych oraz gdy domownicy nie przebywają na kwarantannie. Możemy tak założyć, ale czy tak będzie? Jedni uznają podwyższenie temperatury za niegroźne, drudzy za groźne.

Na pomiar temperatury musi być zgoda rodziców. Jeżeli w danej szkole wielu rodziców nie wyrazi zgody, może interweniować inspektor sanitarny. Ale nie możecie gromadzić danych o gorączce.

– Mieliliśmy kilka przypadków, że gdy dzieci przyjeżdżały na konsultację, sam fakt mierzenia temperatury przy wejściu do szkoły był dla nich na tyle stresujący, że łapały stan podgorączkowy utrzymujący się dość długo. Termometry bezdotykowe zresztą mierzą temperaturę na powierzchni skóry. Ale też zastanawiam się, kto ma to robić.

Wezwijcie na pomoc Wojska Obrony Terytorialnej, w szpitalach to żołnierze mierzą temperaturę.

– Zabezpieczenie wszystkich działań wynikających z procedur wymaga dodatkowych etatów, a na te nie ma środków. Panie odpowiadające za porządek i higienę w szkole i tak

na bieżąco mają dużo pracy. Którego nauczyciela mam wcześniej zrywać do pracy, by mierzył temperaturę? Ja mam stać od rana? Na jakiej podstawie miałabym wpuścić do szkoły

terytorialna? Łatwo się wydaje rozporządzenia z poziomu centrali. Rozumiem, jest sytuacja kryzysowa, ale dobrze by było, żeby każdy, kto przygotowuje procedury, zarządzenia, rozporządzenia, wskazał nam różne warianty postępowania. Ministerstwo nie dorzuci pieniędzy na działania kryzysowe, a samorządy już cienko przędą. Na nauczycielach i pracownikach nie mogę wieszać

Wręcz wskazana jest praca w grupach mieszanych wiekowo. Sanepid pewnie nam tego zabroni.

kolejnych obowiązków jak bombki na choince i udawać, że jest pięknie. Nie mam takiego prawa. Jeśli rozszerza się zakres obowiązków, powinno się wskazać, w jakim czasie należy je wykonać i za jakie pieniądze.

Wróćmy do „domowników nieprzebywających na kwarantannie”. Jeżeli rodzic skłamię, nic nie możecie zrobić.

– No właśnie, mam podejmować decyzje, działania, a tak naprawdę nie znam swojej odpowiedzialności, nie mam narzędzi. Owszem, jeśli mi się udowodni, że coś zaniedbałam, mogę ponieść przykre konsekwencje.

Kogo wyśle pani na kwarantannę w razie zakażenia: klasę, szkołę? Rozporządzenie nic nie podpowiada.

– To będzie zależało, jak zostanie zorganizowana praca w danej placówce. Bo jeśli szkoła będzie miała warunki, żeby wyodrębnić oddzielne strefy dla poszczególnych grup dzieci i nauczycieli, oddzielne wejście, oddzielną szatnię, żeby nie było mieszania się, wtedy daną strefę można wykluczyć, postać na kwarantannę. A pozostała część pracuje. Ale w większości szkół nie da się tak zrobić. Będzie zmianowość: jedna zmiana pracuje, druga jest w domu

Rodzice powinni pozwolić dziecku samemu pracować nad zadaniami, ale też czegoś nie zrobić, jeśli jest tego za dużo.

– wtedy cała zmiana, bez względu na to, z której klasy jest chore dziecko, trafi na kwarantannę. W części szkół dzieci będą przechodziły z pomieszczenia do pomieszczenia. To indywidualne decyzje. Przymierzamy się, by zapewnić uczniom jedną klasę,

w której będą przebywać cały dzień. To zburzy pracę całej szkoły, a i tak nauczyciele będą się przemieszczać.

Wyobrażam sobie, jak wąskim korytarzem ciągnie 300 osób, by umyć ręce.

– Od wielu lat robimy przerwy dla różnych grup wiekowych. Wszyscy wychodzą u nas obowiązkowo na dwór o określonych porach dnia. Jest to trudne i nie w każdym

warunkach da się zrobić. Znow idziemy w kierunku absurdów – trzeba będzie to organizować i pewne sprawy ukryć, by nie zostać ukaranym przez sanepid. A ten ostro szykuje się do roboty. Wspomniana ankieta zawiera mnóstwo pytań: jakie jest rozlokowanie uczniów w salach, czy są w jednym pomieszczeniu, jak będzie działać zmianowość. Zadzwońłam, by zapytać, w jakim celu są te pytania. No po to, by przygotować arkusze kontrolne. Wszystko rozumiem, tylko nie można nakazać jednego słusznego dla całego kraju postępowania, bo to się nie uda. Podstawowym planem działania powinien

Zalecę nauczycielom prowadzenie jak największej liczby zajęć na zewnątrz.

być... brak jednego, sztywnego planu. To my powinniśmy działać, reagować na to, co dzieje się w danym momencie. Wtedy wdrażać nowe elementy lub rezygnować z niepotrzebnych. Ale oni, tam na górze, potrzebują uwspólnienia tego, potrzebują procedur do swoich ram. Nie oceniam tego, co robią. Zwracam tylko uwagę, że będziemy stosować często absurd, które nie przystają do rzeczywistości, a moglibyśmy

stanie, wszyscy będą bić brawo, bo dzieci są objęte edukacją. Ale w momencie zakażenia to dyrektor odpowie za podjęcie złej decyzji, mimo że rozporządzenie o tym nic nie mówi. Daje zaś możliwości i zalecenia organizowania edukacji hybrydowej, więc dzieci ze strefy czerwonej może od razu kierować do zdalnej edukacji.

Przecież niemożliwe jest otwarcie co drugiej szafki w szatni.

– To zalecenie, przy założeniu, że są szafki w szkołach, w ogóle jest niemożliwe, bo w wielu szkołach szafki stanowią moduł. U nas są boksy, dzieci nie będą zmieniały obuwia, kurtki będą zabierały do klasy. Postawimy wieszaki na kółkach. Zalecę nauczycielom prowadzenie jak największej liczby zajęć na zewnątrz. Wystawimy część regałów, dokupimy tablice. Będziemy też mieli dwie długie przerwy.

Pamięta pani swoją reakcję na rozporządzenia regulujące naukę w czasie pandemii?

– Pomyślałam, że nie chciałam być ministrem edukacji. Sytuacja jest trudna, wymaga przemyśleń, podejmowania odważnych decyzji. Proces konsultowania tych rozporządzeń mógł się odbywać inaczej, bo nie wnosi żadnych nowości i mogły one

być pokazane dużo wcześniej. Sama jednak nie zawsze będę miała czas na przeprowadzenie konsultacji z nauczycielami, rodzicami, choć zazwyczaj wszystko konsultuję. Poza tym jeśli w całym zakładzie pracy jedynie ja będę samodzielnie odpowiadać za wszystko, będę się starała podejmować decyzje w zgodzie ze sobą. Wiosną wyszedł temat noszenia maseczek. Część nauczycieli w czasie konsultacji powoływała się na zapis, że ze względów zdrowotnych maseczek może nie nosić. I musiałam podjąć decyzję, która jednym się spodobała, drugim nie.

Uściślijmy: dzieci do 10. roku życia maseczek ze względów zdrowotnych nie powinny nosić, zbadali to Niemcy w trzech instytucjach.

– Ale ja mówię o nauczycielach. Będę musiała podejmować decyzje, które nie przypadną do gustu ludziom, którymi zarządzam. Dlatego ▶

► naprawdę chciałam wiedzieć, za co odpowiadam. Inaczej oddam paczkę komuś innemu i pójdę uczyć, będę po drugiej stronie. Będę mogła każdej decyzji dyrektora albo przyklasnąć, albo ją podważyć. Potrzebuję też odstępstwa od wytycznych, które są absurdalne. Bo albo będziemy działać według nich, na szkodę dzieci – i wtedy zorganizujemy sobie i im życie w totalnym matrixie – albo będziemy udawać, że je respektujemy, a robimy swoje.

Czy w tym wszystkim egzaminy po ósmej klasie w ogóle mają sens?

– Nie, ale jeśli władze prowadzą taką politykę oświatową, to niech będą te egzaminy. W tak trudnym

świadectwo? Oni sobie poradzą, tylko dajmy im szansę. Nie zamykajmy młodym drogi! Ich maturalna porażka to niczyja wina, choć rząd zamiast szukać rozwiązań, odwraca kota ogonem, mówiąc o winie strajkujących nauczycieli.

Nie oglądając się na MEN, wspólnie z samorządem stworzyliście własne procedury.

– Na terenie naszej gminy mamy dużo dzieci z orzeczeniami bądź opiniami, więc ani przez moment nie zawiesziliśmy pracy pedagogiczno-psychologicznej ani pracy rehabilitantów. Posługiwaliśmy się materiałami interaktywnymi, pracowaliśmy bezpośrednio z rodziną, żeby dziecko

– Bardzo ważna jest dobra komunikacja nie tylko między nauczycielami, ale także między nauczycielami i rodzicami. Najważniejsze jednak jest doprowadzenie dziecka do samodzielności, odpowiedzialności. Nie stawiamy więc zbyt wysoko poprzeczki, nie realizujemy całych książek, nie odtwarzamy zeszytów ćwiczeń. Ważne jest również, żebyśmy we wrześniu spokojnie uczyli się, jak prowadzić lekcje po nowemu, jak korzystać ze sprzętu, jak dziecko ma umieścić w przestrzeni wirtualnej zadanie, jak ma zaplanować samodzielną pracę. Bo przyjdzie potrzeba nauczania hybrydowego. Wtedy dzieci muszą być spokojne, wiedzieć, co mają robić. Dom rodzinny nie jest od wykonywania pracy za nauczyciela ani za dziecko. Rodzice powinni pozwolić dziecku samodzielnie pracować nad zadaniami, ale też pozwolić czegoś nie zrobić, jeśli widzą, że jest tego za dużo. Nauczyciele i rodzice muszą prowadzić dialog, uczyć się zadawać pytania, stawiać wymagania po nowemu. Dużo pracy nas czeka, ale może ona być ciekawa i twórcza, może przynieść nowe rozwiązania.

Wielu rodziców nie rozumie, że COVID-19 pozostanie z nami niczym grypa i musimy nauczyć się z nim żyć. Nie boi się pani wysokiej absencji?

– Wielu rodziców raczej zatrzyma dzieci w domu. Ale i nauczyciele uciekną na L4 albo na urlop dla poratowania zdrowia. Myślę o tym, jak wtedy organizować edukację. Jeśli nie będzie większości dzieci, sięgniemy po edukację zdalną. To będzie bardzo ciekawy rok szkolny. Żebyśmy tylko byli zdrowi.

Nauczycielom też się zdarza narzekać na szkołę, że niebezpieczna.

– Wszędzie jesteśmy narażeni, więc szkoła nie będzie wyjątkiem. W większości krajów, gdzie dzieci powróciły do szkół, nic wielkiego się nie działo, tylko w Izraelu. Teraz są pojedyncze ogniska w Westfalii w Niemczech, ale tam jest wielka gęstość zaludnienia. Z natury jestem optymistką, wierzę, że jutro będzie dobrze. W naszym życiu potrzebna jest poważniejsza zmiana, nie tylko w edukacji.

Beata Igielska

Którego nauczyciela mam wcześniej zrywać do pracy, by mierzył temperaturę?

czasie jednak można je znieść, dać promocję wszystkim, jak zrobili to niektóre państwa, gdzie nauczyciele zajmowali się stanem psychicznym dzieci i realizacją różnych projektów, a nie trzymać się sztywno zasad. Realizacja podstawy programowej była trudna, bo nie każde dziecko jest w stanie samodzielnie pracować, nie każde ma w domu odpowiednie zaplecze, żeby się uczyć, albo kogoś, kto je w tym wesprze. Może dla tych, którzy nie zdali w tym roku matury, wystarczyłyby konkurs

nie zatraciło tego, co z takim trudem osiągnęło, żeby ćwiczyć. Nauczyciele przygotowywali materiały, co zabierało im dużo czasu, potem je dostarczali. W czerwcu opracowaliśmy minima, które każdy nauczyciel powinien posiadać, umiejętności korzystania z platformy, ze sprzętu, więc jestem spokojna o rozpoczęcie roku szkolnego. U nas codzienną praktyką jest dobra współpraca między nauczycielami.

Powtarza pani, że nie oceny w pandemii są ważne. Co więc jest ważne?



Beata Igielska

Niezbyt doniosła porażka

Co czwarty absolwent oblał w tym roku maturę. MEN obciąża winą nauczycieli strajkujących w kwietniu 2019 r.

Bodaj po raz pierwszy w powojennej historii Polski egzamin maturalny został przeprowadzony nie w maju, lecz w czerwcu. Pierwszy też raz na maturze nie było egzaminu ustnego. Zdawali go tylko ci, którym wynik egzaminu ustnego jest potrzebny przy rekrutacji na uczelnię zagraniczną.

Zdecydowanie gorzej wypadli absolwenci techników – zdało zaledwie 62,2%, 24,9% ma prawo do poprawki we wrześniu. Matura zakończyła się kompletną porażką dla 12,9%. W liceach zdało 81,1% abiturientów, 12,5% ma prawo do poprawki, 6,4% będzie mogło przystąpić do egzaminu za rok.

Dariusz Pionkowski, minister edukacji, szybko znalazł winnych. – Być może na te wyniki powinien wpływ mogły mieć dwie sytuacje. Jedną to strajk z poprzedniego roku szkolnego, gdy przez kilka tygodni nie odbywały się zajęcia. Być może część materiału nie została dobrze przyswojona i nie było większego powtórzenia. Być może też część maturzystów w tym roku nie wykorzystała dobrze czasu dodatkowego – mówił szef MEN.

Zaskakujące to tłumaczenie, skoro strajk nauczycieli odbył się w kwietniu 2019 r., a matura 14 miesięcy później. Pionkowski nie dostrzega problemów z nauką zdalną. Wskazał zaledwie „pewien mankament” – nauczyciel ma mniejsze możliwości dyscyplinowania, zachęcania ucznia do nauki, by ten realizował swoje obowiązki. Dlaczego ubiegłoroczny strajk nie odbił się na wynikach ósmoklasistów? – Tam być może rodzice bardziej mobilizowali uczniów – stwierdził minister.

Również dr Marcin Smolik, szef Centralnej Komisji Egzaminacyjnej, przypomniał, że po strajku były trzy tygodnie matur, potem czerwiec, kiedy



szkoły nie pracują już pełną parą. – Tak naprawdę mówimy o dwóch miesiącach zgubionych w ubiegłym roku. I o dwóch miesiącach – dla maturzystów – zupełnie innego kształcenia w tym roku. To niemało.

Szef CKE cieszy się, że matury, egzaminy zawodowe i egzaminy ósmoklasistów się odbyły. Wyniki matur go nie rozczarowały, bo „biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło i w tym roku, i w roku ubiegłym, to nie mam wrażenia jakiejś doniosłej porażki”.

Smolik wyliczył, że 20 tys. osób nie przeczytało „Wesela”, czyli ok. 10% maturzystów przyszło na egzamin bez czytania obowiązkowych lektur. – Jeśli ktoś pisze o bohaterach powieści Reymonta, że tam się pojawiały zjawy i duchy, to jest to brak podstawowej wiedzy i nieprzygotowanie,

a nie efekt pandemii – mówi szef CKE. Jest zaskoczony, że tak dobrze poszła biologia, ale zadziwiają go słabe wyniki z geografii. Zapowiada zmiany podczas kolejnej matury na języku polskim. Będzie jawna pula pytań, które mogą się pojawić na egzaminie ustnym. – Planujemy, żeby maturzyści losowali dwa zagadnienia. I jedno będzie z tej puli publicznej. To będą zadania dotyczące lektur. Drugie pytanie będzie tak jak teraz zupełnie nowe – informował Smolik.

Pandemia wymogła umożliwienie rekrutacji na studia przez internet. Chociaż ostatecznie dokumenty i tak należy złożyć osobiście, liczba wizyt na uczelni zostaje ograniczona do minimum. Wiele szkół zmieniło harmonogram rekrutacyjny. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu opóźnił nawet rozpoczęcie semestru zimowego.

Dr hab. Waldemar Rydzak z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu w styczniu i lutym 2020 r. przebadał pod kątem e-rekrutacji 5406 studentów z 78 uczelni w Polsce. 2332 respondentów z pierwszego roku oceniło dotychczasową rekrutację drogą elektroniczną na 7,27 w 10-stopniowej skali. Ich zdaniem najlepiej poradziły sobie uczelnie humanistyczne.

MATURA 2020 W LICZBACH

W czerwcu do matury przystąpiło 259 272 tegorocznych absolwentów szkół ponadgimnazjalnych. Egzamin ze wszystkich przedmiotów obowiązkowych zdało 74%. Egzamin z języka polskiego zdało 92% absolwentów, z matematyki 79%, z języka angielskiego 92%. 17,2% abiturientów oblało jeden egzamin (20 156 absolwentów liceum i 24 482 absolwentów technikum – mogą przystąpić do egzaminu poprawkowego 8 września). Egzaminu z więcej niż jednego przedmiotu obowiązkowego nie zdało 8,8% (22 900), mogą przystąpić do matury w kolejnych latach. Dla porównania w 2019 r. maturę w pierwszym terminie zdało 80,5%; 12,9% miało prawo do poprawki.

Od harcerzyka po kaznodzieję

Siedem wcieleń Andrzeja Dudy

Jacek Wasilewski

Ciało odzwierciedla to, co się dzieje w umyśle. Rządziej kłamię niż słowa. Kiedy wcielamy się w różne role, ciało je wyraża: albo idziemy z podniesionym czołem, albo jesteśmy przybici i zgarbieni. Rękoma możemy obłaskawiać jakiś problem, wałkować go, przecinać niczym węzeł gordyjski, chwytając w pięść lub precyzyjnie ujmować placami, w zależności od tego, czy jesteśmy wojownikiem, czy aptekarzem.

Andrzej Duda ma dobre warunki, żeby pracować ciałem. Jaką rolę odgrywa? Jak się zmienia?

2011: Harcerz

Przypatrzmy się Andrzejowi Dudzie dekadę temu – gdy w 2011 r. mówi w Sejmie o identyfikacji ciał ofiar katastrofy smoleńskiej. Widzimy go na trybunie sejmowej, gdy zaprzecza Ewie Kopacz – mówi o tym, że był w Moskwie i dowiedział się, że ciała do identyfikacji były nieumyte i dlatego identyfikacja szła z takim trudem, pyta, dlaczego na stronach rządu nikt nie zmienił godziny katastrofy z 8.56 na 8.41. Trzyma ciało w ryzach, ale widać, że w ataku czuje się niekomfortowo. Przesługuje z nogi na nogę, rękoma trzyma się mównicy. Jest jeszcze chłopcem z drugiej linii, dobrze ułożonym, kulturalnym, niemal harcerzem na apelu poległych. Ponieważ ręce i ciało są spokojne, to emocje szukają innego ujęcia – głowa pracuje „w trybie gotębia” – wyraźnie wychyla się w stronę mówiących, co jest typowym gestem wykładowców, którzy muszą mówić do studentów zza szerokich stołów katedr. Duda mimiką, ruchami głowy, oczami pokazuje, że jego



ciało jest jeszcze zbyt skrępowane sytuacją, powagą tematu, by mógł zachowywać się jak samiec alfa. Jako zwykły poseł jest samcem może gamma. Dekadę później będziemy już mieć innego człowieka.

2015: Europejczyk

Cofnijmy się jednak do debaty prezydenckiej w roku 2015. Z dawnego harcerza zwracającego się uprzejmie do premier Kopacz nie zostało nic. Oto mamy Europejczyka, polityka opanowanego, ale zdecydowanego. Duda słucha Komorowskiego, który atakuje go jako przeciwnika in vitro i rodzin starających się o dziecko. Ma lekko wzniesiony podbródek – nie tak wysoko jak Mussolini, ale lekko, przez co wygląda na wyższego, na bardziej dominującego, na kogoś, kogo te strofowania nie dotyczą. Traktuje Komorowskiego trochę z góry. Wie, że strategia mająca na celu przypisanie Komorowskiemu śmieszności i obciachu działa. Pokazuje więc

konsekwentnie, że oskarżenia Komorowskiego, który się dziwi i nadyma w zdziwieniu, są jedynie jego opinią. Jest bardzo spokojny, tłumaczy pewnie, jakby wyjaśniał niejasności komuś, kto się nie przygotował. W porównaniu z Komorowskim, który machaniem rękami komentuje słowa Dudy, krzywi się, a potem nerwowo zaplata palce, Duda prezentuje się jak inteligent nowej ery, który musi coś tłumaczyć zacofanemu emerytowi. Jest jakby bardziej europejski, choć bardziej konserwatywny. Bardziej kompetentny w swoim opanowaniu. Powołuje się zarówno na Jana Pawła II, jak i na konstytucję. Mówiąc o konstytucji, łączy trzy palce – kciuk, wskazujący i duży, jakby precyzyjnie odmierzał szczypty czegoś

– w tym wypadku słowa konstytucji. Komorowski nie ma takich gestów precyzji. Każdy gest Dudy idzie z góry na dół i ma jakby przytłoczyć jego słowa do pulpitu. Jest stanowczy, mówiąc, że każdy projekt musi być zgodny z konstytucją i tylko nią będzie się kierował. Kiedy mówi o tym, jak Komorowski w swoim spocie potraktował go niegodnie jako ojca, mruży oczy z potępieniem; widzowie czują, że kandydat tak mówiący o przyzwoitości, do nieprzyzwoitych rzeczy nie może być zdolny.

W rundzie wzajemnych pytań kandydatów Duda punktuje zmiany poglądów Komorowskiego. Pojawia się już typowy gest „ujęcia” – chwytania czegoś między obie dłonie, który kończy się gestem łączenia punktów – kiedy palce obu dłoni stykają się. To kolejny gest precyzji. Kiedy zaprzecza – tnie dłońmi powietrze w kształcie x. Zarzuca Komorowskiemu chęć zabicia zwykłego milicjanta (takim zwykłym milicjantom obniży

potem emerytury dla sprawiedliwości dziejowej) i sugeruje, że nie świadczy to o zrównoważeniu. Kiedy Komorowski się tłumaczy, Duda uśmiecha się pobłażliwie. Wie, że wyjaśnienia o proponowanej zmianie prawa nie są w stanie konkurować w umysłach słuchaczy z tym, co padło wcześniej. Ćwiczenia przed debatą przyniosły efekt.

Kilka lat później Duda zrezygnuje z bycia Europejczykiem, mówiąc, że nie będą nam tu w obcych językach mówili, jaki mamy mieć system. Ale do przedzierzgnięcia się w obrońcę przed europejskimi miazmatami jeszcze chwila.

2017: Efekt Zeliga

Jest rok 2017, połowa kadencji. Podczas podróży po kraju Duda bywa plastrzem na sfrustrowane polskie dusze, które ciągle goniły Europę i były pouczane, jak to nie trzymają standardów i norm. A każdy potrzebuje trochę akceptacji. Oto Andrzej Duda na spotkaniu na Uniwersytecie w Rzeszowie przyznaje, że ciągle czegoś się uczy. Coś jest nie w porządku z tym uczeniem się, bo głowa lata mu w tę i w tę, oczy przymykają się, jakby potrzebowały przypomnieć sobie te wszystkie miejsca, w których się uczył. Jest w tym coś z grupowego uczenia się przed egzaminem, z bratania się – jestem taki jak wy, ciągle w sesji poprawkowej. Gesty wyprzedzają słowa – Duda rozkręca ręką kolejne zdania, które padają niewprawnie; robi charakterystyczny młynek dłonią, a potem nawija coś na palec wskazujący. Jakby wyciągał z siebie sznurek kolejnych zdań. Duda mówi, że uczy się m.in. tego, co ma powiedzieć. To tylko pokazuje, jaki ogrom pracy wkłada w swoje wystąpienia. Kiedy mówi o tym, że jeżeli nie czyta książki, to uczy się języka, nowych słówek – następuje charakterystyczna pauza z zaciśnięciem ust, jakby coś było z tymi słówkami. Po chwili robi dziwny gest „no co?” – z głową w ramionach i rozłożonymi rękoma, jakby chciał powiedzieć: „To nie moja wina, tak jest”. Duda jest tu nieprzygotowanym studentem, ale robi tym świetną atmosferę. Jesteśmy razem, w życiu trzeba ciągle zakuwać i prezydent nie jest lepszy.

Ten efekt Zeliga jest widoczny w tym, że Duda fantastycznie wchodzi

w środowisko. Ma kondycję, jest narciarzem, i to całkiem niezłym. Kiedy przyszło mu zatańczyć na festynie, potrafił się odnaleźć na parkiecie, mimo że nie znał choreografii. Ale jakoś się wczuł, stał się częścią widowiska.

Duda łatwo szusuje po patriotycznym patosie i łatwo znajduje dlań wroga.

W ten sposób nie mamy wrażenia, że jest na tronie. Kiedy mówi, że troszczy się o lud, ludu słucha i z ludem się bawi, jest to najwyższy wyraz akceptacji: nie jestem lepszy, jestem taki jak wy. *Primus inter pares* – pierwszy wśród równych.

To wrażenie bycia nie w pałacu, ale wśród ludzi, potęgują akcje na wzór rozdawania kawy w warszawskim metrze. Nie chodzi o to, że kawa dobra albo że podróżni spragnieni, ale że to facet, który poda kawę

stając, w końcu wraz z żoną stają po bokach Trumpa i Melanii. Inna sytuacja podczas tej wizyty – rozmowa z Trumpem na fotelach, Trump podaje mu rękę, a Duda po chwili przekazuje ten uścisk żonie, jakby był pośrednikiem dla jakiejś mocy przekazywanej przez gest. W ruchach prezydenta widać podekscytowanie, rozpiętą energię bycia w centrum świata. Podczas konferencji Duda jest bardzo profesjonalny – zwłaszcza kiedy mówi po polsku o naszej historii. Całe wrażenie psuje jedno zdjęcie z Twittera Trumpa, który wrzuca ujęcie stojącego przy stole Dudy, podczas gdy on sam siedzi przy biurku. Samo podpisywanie odbywało się przy dwóch oddzielnych stołach, Trump zatem wybrał dość złośliwie moment, kiedy Duda do niego podszedł. Ważne, że wszystkie przemówienia po angielsku były



o poranku. To ktoś, kto nie jest wyso-ko, z kim łatwo porozmawiać.

2018: Jak to jest grać ogony, czyli kiedy nie ma scenariusza

Duda przez wiele lat żył w cieniu Kaczyńskiego – sam nie był liderem. Jako urzędnik w ministerstwie Ziobry za pierwszego rządu PiS, a potem w Pałacu Prezydenckim nie gromadził ludzi wokół siebie. Nie wszedł także do Sejmu za pierwszym razem. Dla tego to, co nie było przygotowane, stanowiło pewną trudność. Tak było w czasie wizyty w Waszyngtonie. Pora na zdjęcie. Duda nie wie, gdzie

odczytywane z kartki. Wówczas prezydent wchodził w intymny kontakt z kartką i właściwie nie gestykułował. Wystąpienia po angielsku bez kartki – tak jak podczas debaty o przyszłości NATO – cechuje większa gestykulacja i rozpaczliwe poszukiwanie słów. Gesty zdradzają, że myśl się dopiero kształtuje – rece się trzęsą, kręcą młynki, pomagają wyciągać czasem z trudem znalezione pojedyncze słowa. Kiedy te się znajdują, czasami są powtarzane cztery, a nawet pięć razy, zanim wskoczy kolejne słowo. Tak więc Duda na spotkaniach, zwłaszcza zagranicznych, musi grać rozpiętą rolę. Podczas spotkań krajowych gra ▶

► kolejny odcinek serialu, który zna. Ale za granicą jest z tym problem. Trudno grać rolę wobec Trumpa, z którym ma się lubić i cieszyć się na jego widok. Bez indywidualnie rozpisanej roli ciało nie bardzo wie, jak się zachować, więc używa schematu wypracowanego może z Jarosławem Kaczyńskim: za jego przewodem łączy się z narodem. Na pewno nie ma tej swobody przybijania piątki z Trumpem jak Macron na spotkaniu w 2018 r., który miał tyle klasy, żeby uśmiechnąć się szeroko, gdy Trump usiłował zdejmować mu z kłapy marynarki – jak to nazwał – „okruszek łupieżu”.

2019: Obrońca ludu

Duda w Zwoleniu jest już zmieniony. Przestaje być bratem łata, a staje się obrońcą społeczeństwa, który prawi kazania. Kiedy mówi o kaście, która woła o pomstę do nieba, wznosi ręce i wzrok ku górze. Kiedy mówi o tym, jak wstyd słuchać sędziów, drżą mu przedramiona. Podkreśla grzechy elit, niemal umieszcza je na wyciągniętych ku audytorium rękach. Na tę hańbę odpowiedź może być tylko jedna – wieczne społeczne potępienie i Izba Dyscyplinarna. Kiedy Duda mówi, że to on powołuje sędziów, a nie kto inny – palcem wskazującym jakby bił niedobre, domyślne podmioty swoich zdań minipalką po głowie. Chwilę napawa się brawami, a potem, po nabraniu oddechu, kontynuuje walkę o niepodległość wobec sędziowskich elit.

Wystąpienia Dudy w poprzednich kampaniach były tworzone na napięciu, że władza jest wysoko na stołach, oderwana od ludzi, a on blisko, wraz z ludem. W deklaracjach słownych rozpoczynających kampanię ta bliskość i chęć słuchania ludzi została zachowana. Ale dodane zostało zagrożenie: elity są obce, oparte na koleśnictwie i chcą pogłębić niesprawiedliwość właśnie dlatego, że są zagrożone, przyparte do muru. Czarne owce muszą być eliminowane – to jest najistotniejsze. Głos grzmi, a dawny gest precyzyjnego ujmowania czegoś zaczyna się przekształcać w gest wbijania czegoś do głowy – na razie jeszcze dłonie są ustawione w „szczyptę”: palec wskazujący łączy się z kciukiem, ale ruch symetryczny tymi dłońmi odbywa się z góry na dół, jest monotony,



jakby prezydent prał na tarze. Gdyby pięści miał zaciśnięte, byłaby to już agresja. Na razie agresywny jest ton głosu, dłonie zdają się być pomiędzy tłumaczeniem a waleniem ręką w stół. Kiedy prezydent mówi o tym, że nie będą nam w obcych językach narzucali, jaki ustrój mamy mieć w Polsce, pokazuje na siebie jako na obrońcę, który przychodzi po oskarżycielu, jako wybawcę.

To wystąpienie było szczególne, bo zwykle prezydent docenia słuchaczy w małych miastach. Mówi o tym, że to piękne miejsce, potem wzmacnia pamięć narodową, wspominając rolę danego miejsca w walkach o wolną Polskę. Wreszcie snuje

Ciało odzwierciedla to, co dzieje się w umyśle. Kłamie rzadziej niż słowa.

słodką opowieść o tym, jak chodzi po świecie i słucha ludzi. Można ją ująć w paru punktach: „po co przyśzedłem”, „co zrobiłem”, „przed kim wciąż musicie się strzec” oraz „jak tu pięknie!”. Prezydent nie stawia przed ludźmi innych zadań niż to, by byli tacy, jakimi są obecnie. By byli dobrymi ludźmi. Mówi rolnikom: „Dziękuję, że dbacie o ziemię i bohaterów”. Wojskom Obrony Terytorialnej: „Udowodniliście swoją wartość jak polskie rycerstwo”. Każdy czuje się z nim dobrze. Nie ma tego pouczenia o życiu – że trzeba wziąć kredyt i zmienić pracę, jak mawiali klasycy.

2020: Kaznodzieja

15 lutego 2020 r. na konwencji rozpoczynającej kampanię Duda jest

już jak ksiądz, który mówi o tym, jak kochać ludzi – jak ich trzeba słuchać i że to jest jego misją. W pierwszych minutach pozdrawia – niby amerykańskim gestem, ale dłoń nie macha w całości, tylko jakby kropi kropidłem. Dziękując prezesowi i premierowi, trzyma się mównicy, jakby ktoś chciał go od niej oderwać, nie stoi prosto i nie gestykuluje, więc musi często kiwać głową. Prezydent ma być jak peregrynujący święty obraz, do którego można zwrócić swoje troski, a on je uniesie, zajmie się nimi, przekaże, zatroszczy się. Wznosi dłonie symetrycznie, ale też tnie nimi powietrze, jakby coś odcinał, przecinał. Niby to pozycja otwarta, ale ma się wrażenie, jakby miał walić pięścią w pulpit na podkreślenie swoich słów. Czasami bierze coś między palec wskazujący i kciuk,

jakby chciał to uchwycić, ale już rzadziej niż kiedyś. Bo w czasie wojny obronnej nie jest ważne to, by mówić precyzyjnie. Ponieważ jest teraz Katonem Starszym, który powtarza co i rusz, że Kartaginę należy zniszczyć, to mimo deklaracji o trosce ujmuje w dłonie niewidzialne sprawy i trzęsie z góry na dół, jakby chciał naprawić zepsute radio lampowe. W ten sposób, w niby otwartej postawie, wbija niewidzialnym młotkiem do głowy słuchaczy niezgodę na moralną zapasć. Nie jest już tak wystudiowany jak w poprzedniej kampanii. Robi długie pauzy, ciesząc się brawami i okrzykami „Andrzej Duda”. Ponieważ nie gestykuluje naturalnie, męczy mu się nogi. A kiedy jedna się zmęczy, staje na drugiej i tak na zmianę. Ruch rękami jest krótki, szarpany,

w jednej płaszczyźnie, jakby ciało oddawało umysłową binarną opozycję: góra-dół, prawa-lewa. W polskim częściej bywa spotykana triada, np. Polak, Rusek Niemiec itp. Ciało Dudy obsługuje tylko dwie strony: tu i tam, my i oni. Powoduje pewną monotonię, ale działa.

27 marca 2020 r. widzimy go na modlitwie błagalnej o oddalenie wirusa na Jasnej Górze. Duda śpiewa religijne pieśni, ale bez wielkiego zaangażowania – ot, tyle żeby nie można było się przyczepić. Za to najpiękniejsze jest rozmodlone oblicze Dudy, kiedy patrzy na obraz Matki Bożej Częstochowskiej. Zmartwiony, jakby zatroskany, zawiera jej ojczyznę. Jego ciało jest jak ciało dziecka, które nie pozmywało naczyń i prosi pokornie matkę o łaskę. Że nie chciał, że się poprawi. Bardzo charakterystyczna jest poza pokory Dudy. Ale te splecione ręce pokazują zamknięcie – prezydent raczej by działał, raczej by do ludzi wyszedł.

2020: Dobry pan, ale menedżer

Podpisanie ustawy Kolej Plus na peronie dworca w Końskich 4 marca 2020 r. to sytuacja jak ze skeczów Monty Pythona. Stolik na peronie, przy stoliku krzesło, w oddali niczym w korytarzu czekają dostojnicy państwowi. Duda jakby udawał się do niewidzialnego gabinetu i podpisywał ustawę. Ale jest w swoim żywiole – zajmuje całe biurko – futerał na długopis kładzie z boku, z drugiego boku szeroko łokieć, jeszcze uśmiech – będzie podpisywanie! Chowa długopis do futerału i wychodzi z niewidzialnego pokoju, żeby zabrać głos. Jest zimno, przemawia krótko, a po chwili wraca do ustawionych równolegle do torów dostojników. Ci stoją bokiem do przemawiającego – widać, że to pod telewizję. Ale to jakaś metafora tej prezydentury – niewidzialny gabinet, moment chwały przy biurku – i do szeregu. Tam, gdzie jego miejsce, wyznaczone mu wśród partyjnych dostojników.

Drugi raz wciela się w menedżera 3 lipca. Biała koszula, zakasane

rękawy – na kamienistym karkonoskim szlaku na Polanie Jakuszyckiej jest ikoną człowieka działania. Mówi o narciarstwie i o tym, że chciałby mieć obiekty z prawdziwego zdarzenia na duże imprezy. Rzuca liczbami, a jego ręce, gdyby w nie wetknąć pałeczki, wybijająby równy rytm, silny, zdecydowany. W stolicy biegów czuje się dobrze. Ale to się nagle zmienia, kiedy przechodzi do prezentacji ekokarty (plansza z tablicami stoi tuż za nim) – tempo mówienia zwalnia. Czyżby menedżer przewidywał problemy? Wzrok robi slalom do tyłu i błąka się po planszy, jakby szukał potwierdzenia słów, że jest naprawdę za, mimo że nie



chciał się spotkać np. z przedstawicielami Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. Gestykułuje kciukiem i palcem wskazującym, jakby chciał wziąć szczyptę soli – to gest precyzji, której brakuje w słowach, więc chciałby ją chociaż zasygnalizować gestem, że wszystko jest przemysłane. Ale chyba sam czuje i wie, że inni to czują, że rząd górnikom obiecywał co innego i że on sam deklarował, że nie da zamordować polskiego górnictwa. Ciało manifestuje niepewność wobec projektu, a może po prostu ściemę. I tak jak przy słowach o narciarstwie czuć

było przywództwo, tak w ekologii już nie pociąga za sobą jako lider.

Podobny efekt wahania czy wątpliwości widać było, kiedy 10 czerwca mówił o Karcie Rodziny. Przy słowach o wielkiej rodzinie – o dzieciach, ale i dziadkach – głos mu grzęźnie, przetyka ślinę, jakby krótkie pauzy były konieczne, by mimo wewnętrznych emocji (coś w rodzinie?) pchnąć słowa dalej. Grząski grunt ustępuje, kiedy Duda przechodzi do historii i walki rodzin za Polskę – już jest łatwiej, już poszło, już się odblokowało.

Patrząc na przemiany, które przechodzi ciało Andrzeja Dudy, trzeba przyznać – odwołując się do narciarstwa – że potrafi on jechać i slalomem, i pługiem, i tyłem, robić skręty cięte. Wszystko dopóki jest śnieg, dopóki jest narracja, w której może się umiejętnie ślizgać. Moment, gdy ktoś narzuca mu rolę, jak w przypadku Trumpa, gdy ktoś improwizuje, jest trudny. Andrzej Duda nie jest mistrzem komedii dell'arte – co pokazują trudne momenty niewybrednych żartów, jak ten o kanibalizmie studentów z Afryki. To jednak rzadkie wpadki. Na pewno ma w sobie dużo wdzięku, łatwo szusuje po patriotycznym patosie i łatwo znajduje dlań wroga. Jeśli gra rolę w serialu, który pisze mu Jarosław Kaczyński, to jako postać daje się lubić. Bo gra w bajkę o dobrych, gościnnych i dumnych Polakach, nawet jeżeli do podtrzymania tej bajki potrzeba nienawiści, ksenofobii i trochę wstydu za granicą.

12 lipca – wyniki wyborów. Andrzej Duda dziękuje tym, którzy oddali głosy, i obiema dłońmi trzyma się mównicy. Nie wie jeszcze, czy coś się nie zmienia, wygrana jest minimalna. Tak więc trzymanie się mównicy dodaje odwagi i zdaje się sygnalizować: tak łatwo nie dam się stąd ruszyć. Kończy słowami, że pod białą-czerwoną sztandarem musi być miejsce dla każdego i że każdy powinien mieć świadomość, że to miejsce dla niego jest. Ale na drugim krańcu Europy, na Półwyspie Iberyjskim, słowo *duda* oznacza wątpić. Trudno się pozbyć tego skojarzenia.

Jacek Wasilewski

Zhańbiona Solidarność

Strajkujący w sierpniu 1980 r. robotnicy zostali zdradzeni.
Można nawet powiedzieć, że to hańba historyczna

Rozmawia Paweł Dybicz

Po lekturze pana książki zastanawiałem się, dlaczego nie dał pan we francuskim wydaniu tytułu „Zdradzona”, „Zagrabiona”, a może nawet „Zhańbiona Solidarność”.

– Tytuł każdej książki to zawsze jakiś skrót myślowy. Oczywiście, że strajkujący w sierpniu 1980 r. robotnicy zostali zdradzeni. Można nawet powiedzieć, że to hańba historyczna, która najprawdopodobniej coraz bardziej będzie ciążyła nad obrazem kierownictwa Solidarności i komitetów obywatelskich, które latem 1989 r. przejęły władzę w Polsce. We francuskim wydaniu tytuł brzmi „Solidarność, która drogo kosztowała”. Wydawało mi się, że dla francuskiej opinii publicznej ważniejszy jest pewien aspekt, dziś już dość rozpowszechniony, a mianowicie finansowanie liderów kolorowych rewolucji na Wschodzie czy też w krajach arabskich przez obce mocarstwa. I jak ono się ma do wcześniejszego finansowania struktur Solidarności. We Francji może ono budzić niemałe zakłopotanie, bo oddolna pomoc dla tego ruchu na początku lat 80. nadal uchodzi za akt lewicowej solidarności z narodem walczącym o rozszerzenie praw socjalnych i wolności. A teraz wychodzi, że powstanie i działalność Solidarności były po części inspirowane z zewnątrz, przynajmniej na szczeblu elit i doradców, takich ludzi jak Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Taylor, Lech Kaczyński, Jan Krzysztof Bielecki, Wiesław Chrzanowski, Jan Olszewski i jeszcze wielu innych.

Przedstawił pan Solidarność z lewicowej perspektywy, tymczasem w Polsce wciąż w dobrym tonie jest deprecjonowanie lewicowej wizji świata; uważa się, że to jakaś moda, a nawet choroba.

– Ogląd tego, co napisałem, naturalnie zależy od tego, co rozumie



PROF. BRUNO DRWĘSKI

– kanadyjsko-francuski historyk i politolog z polskimi korzeniami, wykładowca w Narodowym Instytucie Języków i Cywilizacji Wschodnich (INALCO) w Paryżu.

się przez pojęcie lewicy. Ja nadal stoję na stanowisku, że obiektywnie funkcjonują sprzeczności klasowe, niezależnie od poglądów poszczególnych ludzi, i że elity posiadaczy korzystają dziś z hegemonii kulturalnej oraz medialnej i wpływają na to, żeby nie można było sobie tego uzmysłowić. Moim zadaniem było pokazanie, że ogromna większość Polaków w latach 70. i 80. wcale nie marzyła o prywatyzacji ani o kapitalizmie, tylko o zdemokratyzowanej Samorządnej Rzeczypospolitej, zgodnej z historycznymi marzeniami nie tylko polskiej lewicy społecznej. Jeśli zaś chodzi o ową modę, to tak mogą mówić ludzie niechętni lewicy. Trzeba mocno podkreślić, że wpływ na to, co nazywają modą, mają ludzie z górnych warstw społecznych, którzy reprezentują interesy bogatszej części społeczeństwa; to oni dyktują wzory postępowania i światopogląd. I robią to, prawie nie mając przeciwwagi ze strony rzeczywistej lewicy.

Powiem więcej, skoro po 30 latach transformacji nadal prowadzi się systematyczne kampanie antykomunistyczne, to moim zdaniem dlatego, że elity obawiają się, że ten trup jest jednak potencjalnie żywy. Zresztą elity światowej burżuazji dbają o to, żeby ich dzieci w elitarnych szkołach dobrze poznały nauki Marksa, jednocześnie pilnując, żeby ta wiedza nie dotarła do „nizin społecznych”.

W Polsce obowiązuje przekaz: Solidarność (wspólnie z Janem Pawłem II) obaliła komunizm, przyniosła wolność. Pan pisze, że realizowała scenariusz nakreślony za Atlantykami.

– Wystarczy przeczytać prasę i ulotki Solidarności sprzed 1989 r. i jeszcze z czasów wyborów w czerwcu 1989 r., żeby się przekonać, że jej liderzy szli do ludu z hasłami przede wszystkim obiektywnie lewicowymi, inaczej byłiby nieprzekonujący, nie znaleźliby posłuchu w społeczeństwie. Wolność należy także do pryncypiów lewicy, wolność w imię równości i sprawiedliwości społecznej, a nie wolnoamerykańka wymarzona przez liberałów. O takiej właśnie wolności marzyli polscy robotnicy, szerzej – polskie masy. I takiej wolności na razie nie wywalczyli. Elity Solidarności, kształcone w dużej mierze za oceanem, jak choćby Leszek Balcerowicz i wielu jej doradców, mieli inny, niedopowiedziany program, który wyszedł na jaw dopiero pod koniec 1989 r. Na ten temat zresztą wiele można się dowiedzieć od uczciwszych i rozczerowanych działaczy Solidarności, takich jak Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Piotr Ikonowicz i wielu innych, mniej znanych.

Wiele słów krytyki, żeby nie powiedzieć potępienia, kieruje pan w stronę elit Solidarności i wokół niej skupionych. Bo to one zdradziły robotników, przeszły na neoliberalizm, który im zaszczepiono w USA.

– Każdy człowiek ma prawo do swoich opinii i do ich zmiany, ale



Wiec stoczniowców w obronie miejsc pracy, Stocznia Gdynia, 17 listopada 2008 r.

elementarna uczciwość nakazuje, by otwarcie przyznawać się do poglądów, do ich zmian, szczególnie gdy jest się osobą publiczną. Wiele liderów Solidarności, zwłaszcza po ogłoszeniu stanu wojennego, obrażało się na „naród”, bo wówczas nie utożsamiał się on z działaniami większości struktur podziemnych. Nie utożsamiał się, bo wcześniej rozczarował się metodami stosowanymi przez nich w drugiej połowie 1981 r. – walką z władzą, a w zasadzie chęcią bycia ponad nią. To nadąsanie się liderów Solidarności różnych szczebli wytworzyło wśród nich poczucie elitarności i wyjątkowości. Byli oni mile widziani i witani w zachodnich, liberalnych mediach. Stąd ucieczka w ich ramiona takich ludzi jak Leszek Balcerowicz, który niczego nie chciał ryzykować dla swojej kariery w Polsce w latach 80., ale który związał się jednocześnie z amerykańskimi kołami neoliberalnymi. Bez sprzeciwu zresztą ze strony kierownictwa zarówno swojej byłej partii, jak i podziemnej Solidarności, co jest znamienne i co większość Polaków odkryła dopiero wtedy, kiedy nie było możliwości odwrótu od wilczego kapitalizmu.

Autentyczni robotnicy w Solidarności stanowili najliczniejszą grupę,

ale czy to, że stali się ofiarami transformacji, było/jest wynikiem tego, że byli bezwolni, ulegali przekonaniu o etosie inteligencji działającej dla dobra narodu?

– Realny socjalizm był dziwnym ustrojem, zbudowanym w Polsce odgórnie w sposób nieco feudalny. Owszem, przyszedł trochę srogi, ale i „dobry pan”, tym razem naprawdę dobry, w tym sensie, że dał chłopom

Ogromna większość Polaków w latach 70. i 80. marzyła nie o prywatyzacji ani o kapitalizmie, tylko o zdemokratyzowanej Samorządnej Rzeczypospolitej.

wymarzoną ziemię, a ich dzieciom masowy awans społeczny. Ów socjalizm wpłynął na rzeczywiste szybkie polepszenie bytu mas ludowych, ale w sumie, w ramach sztywnego i pofeudalnego systemu, oddzielał Polaków od realiów światowego rynku kapitalistycznego. Nie czuli więc, że na świecie toczy się międzynarodowa walka klas. Do tego mieli w dużym stopniu ograniczony krąg widzenia lokalnej tzw. czerwonej burżuazji, korzystającej z poparcia wielu obiektywnie coraz bardziej prawicowych liderów radzieckiej

partii komunistycznej. Rządzący ówczesną Polską (jak również władze innych krajów bloku wschodniego) korzystali z logiki obłąkanej twierdzy, w ramach której przeciętny człowiek nie mógł mieć styczności z kontrolowanymi przez Zachód *terms of trade*, czyli – mówiąc ogólnie – niekorzystnymi dla krajów socjalistycznych warunkami wymiany handlowej, polityką pułapki zadłużenia.

Inteligencja tego nie widziała, nie ostrzegała?

– Rewizjonistyczna, a potem dysydencka inteligencja oraz ekonomiczna nomenklatura partyjna utożsamiały się w tej sytuacji coraz bardziej z globalną burżuazją, podczas gdy robotnicy nie mieli szansy zrozumieć, jak naprawdę wygląda życie pracowników najemnych w krajach kapitalistycznych. Stąd ich złudna wiara, że skoro w Polsce nie ma kapitalistów, to kapitalizm im nie grozi. Nie mieli oni pojęcia, co to jest imperializm, wszechwładza kapitału. W ogromnej

▶ większości elity solidarnościowej nie wykonały swojego zadania – przekazania masom członkowskim wiedzy na ten temat. Odwrotnie, wołały zaproszenia, granty, pochwały, fundusze i dolarowe honoraria hojnie im proponowane i ofiarowywane na zachodnich salonach i w klubach. I to

tej partii, będący w Solidarności, sami w 1989 r. także dorwali się do władzy i nie potępiali wówczas procesu przejmowania zakładów społecznych. Najpierw przez garstkę oportunistów, a potem przez międzynarodowy kapitał, który wkroczył na polską scenę i działał w zasadzie

Liderzy Solidarności szli do ludu z hasłami obiektywnie lewicowymi, inaczej nie znaleźliby posłuchu w społeczeństwie.

już od lat 60., kiedy Solidarności jeszcze nie było. To odróżnia postawę liderów Solidarności od etosu inteligencji z XIX w., która stała po stronie ludu, dokształcała go i walczyła o jego dobro. A ta solidarnościowa lud zdradziła, potem zaś miała do niego pretensje, że nie dorósł do jej oczekiwań.

W książce przypomina pan, że wielu ludzi z kierowniczych gremiów Solidarności wzięło udział w procesie prywatyzacji gospodarki, stało się

bezkarnie, wymuszając na władzy korzystne decyzje. Nie tylko ekonomiczne, ale i prawne. Dopiero wtedy budziło to niechęć „narodowców” i „patriotów” wyrugowanych z procesu przejmowania przedsiębiorstw. W efekcie tamtej polityki w Polsce powstała służebna klasa kompradorska, której trafiają się okruczności z zachodniego pańskiego stołu. Polska pozostaje do dziś krajem gospodarczo peryferyjnym, mało znaczącym w międzynarodowym podziale

kierownictwu z trudem udało się przyciągnąć na jakiś czas niecałe 2 mln członków. Dla porównania powiem, że wtedy OPZZ udało się, mimo stopniowego przejścia go przez zwolenników Rakowskiego, zatrzymać w swoich szeregach jeszcze 5 mln członków z wcześniejszych 7 mln. Dziś Solidarność ma dużo mniej członków i przeważnie odgrywają oni rolę uprzywilejowanych przez pracodawców kombinatorów, rozbijających w zakładach pracy wszelkie ruchy niezadowolonych, a także strażników interesów rządzącej zachowawczej partii, czyli PiS. Solidarność, jak wiele innych związków zawodowych w globalnym kapitalizmie, faktycznie pełni dziś funkcję pasa transmisyjnego interesów właścicieli środków produkcji, zamiast być świadomym rzecznikiem proletariatu i prekariatu.

To kiedy usłyszymy z ust jakiegoś lidera Solidarności: sztandar wprowadzić?

– Nie jestem prorokiem i nie wiem, co się stanie, ale wydaje mi się, że Solidarność jest dziś tak samo ideologicznie pusta i jałowa jak PZPR za czasów ekipy Rakowskiego, z tą różnicą, że Rakowski, cokolwiek o nim sądzić, reprezentował wyższy poziom wiedzy i kultury niż liderzy solidarnościowego chowu. Zarówno ci, którzy nadal kierują Solidarnością, jak i większość tych, którzy odeszli ze związku do partii liberalnych i antyliberalnych.

Co zatem zostało z 21 postulatów? I czy nie jest wymowne to, że właściwie wymazano je z pamięci, nie chcąc pokazać, czym naprawdę była Solidarność, czego się domagała i o co walczyła w latach 1980-1981?

– Z porozumień sierpniowych, poza mszą niedzielą, wyrzucono na śmietnik w zasadzie wszystkie postulaty, a także późniejszą obietnicę Samorządnej Rzeczypospolitej. W Polsce klasa robotnicza w 1989 r. w większości nie wywodziła się z nielicznych środowisk robotniczych sprzed 1945 r. Powstała z popańszczyźnianych warstw drobno- i średniozamożnych, do tego była oddzielona od systematycznego wyzysku istnieniem żelaznej kurtyny. Robotnik polski w 1989 r. był przeważnie w swoich koncepcjach kimś, kogo nazwałbyśmy nie w pełni ▶



Mur Stoczni Gdańskiej z hasłami wypisanymi przez strajkujących, sierpień 1980 r.

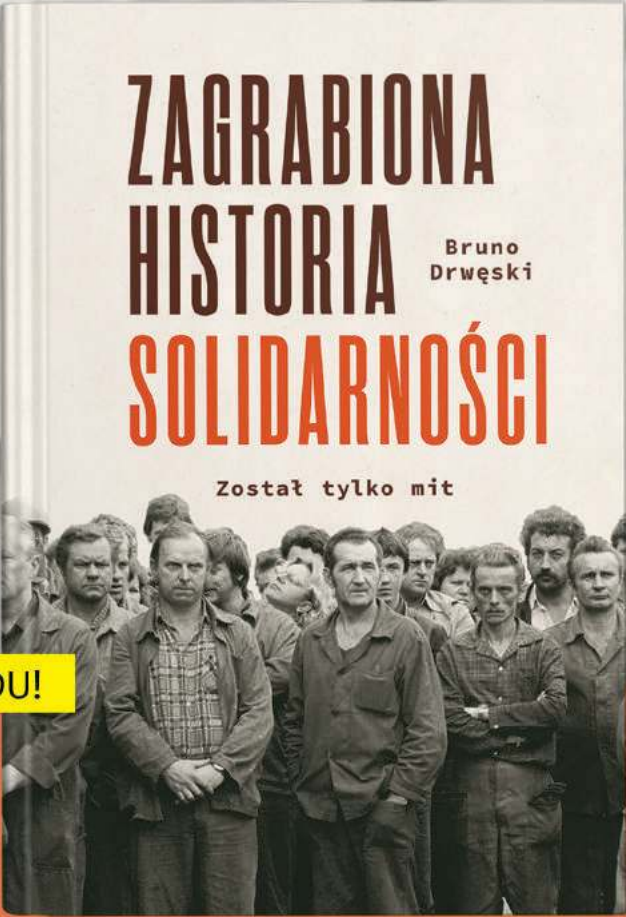
kapitalistami. A i sam związek czerpał korzyści z transformacji ustrojowej, uczestnicząc chociażby w tworzeniu jednego z OFE.

– Można krytykować liderów PiS pod wieloma względami, ale też za założycielską tę partii, o tym, że w 1989 r. doszło do zмовы elit, ma pewne podstawy – kiedy się ją wy-czyści z prymitywnego antykomunizmu i uwzględni pewien fakt. To mianowicie, że przyszli przywódcy

pracy, nie powstała więc, bo powstać nie mogła, prawdziwa polska burżuazja posiadająca.

Z wielkiego zrywu milionów zostali nieliczni, tysiące. Dziś, jak pan pisze, został aparat i jego poplecznicy, a sama Solidarność jest właściwie trupem.

– Po stanie wojennym Solidarność nigdy nie odzyskała tych prawie 10 mln członków z początku 1981 r. Nawet w 1989 r. jej



ZAGRABIONA HISTORIA SOLIDARNOŚCI

Bruno
Drwęski

Został tylko mit

Nowa książka PRZEGLĄDU!

53 zł

Opowieść o Solidarności, która drogo nas kosztowała

Gdyby ludziom pierwszej Solidarności, strajkującym w Stoczni Gdańskiej lub gdzie indziej, ktoś mówił, że celem Solidarności będzie zwracanie pałaców, kamienic czy placów, zostałby uznany za prowokatora. Ludzie pierwszej Solidarności zostali wystawieni do wiatru, do czego wstyd im się przyznać. O tym jest ta książka.

Bronisław Łagowski

Bruno Drwęski – kanadyjsko-francuski historyk i politolog z polskimi korzeniami. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Uniwersytetu Panthéon-Sorbonne. Prezentowana polskiemu czytelnikowi książka ukazała się w 2019 r. we Francji.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 53 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 30d6ae8d1a

► świadomym postfeudalnym socjalistą, bo nie miał warunków, żeby dochodzić do prawdziwej wiedzy na temat naukowego socjalizmu. Obłuda obecnych elit polega na tym, że w dużej mierze dorwały się one do wiedzy i do żłobu na grzbiecie tej właśnie konkretnej klasy robotniczej, ignorując, a potem pogardliwie depcząc jej prawdziwe marzenia. Dziś jest wiele obłudy w antypopulistycznym,

wszystkich krajach europejskiego realnego socjalizmu. I to jest najlepszy dowód, że ten ustrój jakoś im przeszkadzał w rozwijaniu skrzydeł. Wielu Polakom Polska Ludowa otwierała drogę do stabilnych warunków egzystencji, do awansu społecznego i do najdłuższego okresu pokoju, jakiego Polacy zaznali od wielu stuleci i mimo wszystko aż do dziś. Co nie oznacza, że w ramach tamtego

radzieckiego. Warto w tym miejscu przypomnieć, że Mike Pompeo, sekretarz stanu USA, prawa ręka prezydenta Trumpa, powiedział niedawno, że Chiny są groźne nie dlatego, że są kapitalistyczne od czasu ich reform z 1978 r., ale dlatego, że pozostały głęboko „komunistyczne”. Cokolwiek sądzić o tym człowieku i jego opiniach, ta argumentacja potwierdza, że w elitach rządzących światem nadal istnieje strach przed komunizmem. One wiedzą, że obalenie pozostałości po pierwszej rewolucji francuskiej, którego dokonano na kongresie wiedeńskim w 1815 r., nie oznaczało końca idei republikanizmu ani haseł teźże rewolucji i tak samo będzie z dziedzictwem następnych rewolucji.

Bo historia uczy, że żadna rewolucja nigdy naprawdę nie umiera?

– Bo każda z nich otworzyła nowe widnokręgi, nowe spojrzenia na świat, które mocno zagnieździły się w ludzkich umysłach. Można więc sądzić, że tak też się stanie z wciąż dość powszechnym dążeniem do uspołecznienia środków produkcji i wymiany. W przypadku Polski zarówno PRL, jak i Solidarność należą do dziedzictwa doświadczeń społeczeństwa, toteż sądzę, że idea Polski Ludowej, a zarazem Samorządnej, wcześniej czy później odrodzi się w formach, jakich dziś jeszcze nie w pełni sobie wyobrażamy. By się o tym przekonać, radzę oddalić się od salonów i zebrań rad nadzorczych wielkich koncernów obecnych w Warszawie i chodzić po przedmieściach aglomeracji, miasteczkach i wsiach „głębokiej Polski”, bo tam często można usłyszeć tęsknotę za jakimś „normalnym ustrojem”, który na pewno w oczach „prostego ludu”



Elity i doradcy Solidarności, kształceni często za oceanem, jak wicepremier Leszek Balcerowicz (nz. z premierem Tadeuszem Mazowieckim), mieli zupełnie inny program, niż oczekiwali robotnicy. Ujawnili go dopiero w 1989 r.

antypisowskim dyskursie elit liberalnego reżimu globalnego, bo za nim kryje się często pogarda wobec ludu prostego i zdradzonego, a więc siłą rzeczy zagubionego ideologicznie. I to w imię demokracji, czyli po polsku mówiąc, ludowładztwa, którym to pojęciem posługiwano się w PRL. **W Polsce w oficjalnej propagandzie mówi się o nim jako o państwie totalitarnej dyktatury, obok wojny najczarniejszym okresie w naszej najnowszej historii. Traktuje się jako okupację sowiecką, zrównując z okupacją hitlerowską. Dlatego nie da się nic dobrego powiedzieć o tym państwie.**

– Te tezy są tak skrajne i prymitywne, że nawet nie warto z nimi polemizować, wystarczy je ośmieszać, co robi większość tzw. prostych ludzi. PRL, z różnym natężeniem, na pewno była państwem autorytarnym, lecz nie totalitarnym. Funkcjonowała czasem, nawet częściej, na korzyść interesów szerokich mas, a czasem na korzyść interesów bardziej prywatnych. Elity nomenklatury partyjnej same obalały tę władzę we

ustroju nie powstały nowe struktury klasowe, które szybko obróciły się przeciwko interesom szerokich mas pracujących.

Powiedział pan, że Solidarność jest już trupem. Tymczasem w Polsce mówi się, że trupem jest lewica, socjalizm. Można już ogłosić, że socjalizm na świecie to przeszłość?

– Socjalizm realny, jaki znaliśmy, na pewno jest trupem, bo ten historyczny etap został zamknięty. Dowodem

Z porozumień sierpniowych, poza mszą niedzielą, wyrzucono na śmietnik w zasadzie wszystkie postulaty.

na to jest fakt, że ta była forma socjalizmu nie ma miejsca w nieomal żadnym istniejącym na świecie ugrupowaniu odwołującym się w takiej czy innej formie do socjalizmu naukowego i klasowego. Nawet w państwach, które uważają się za socjalizujące, od Kuby po Chiny, od Wenezueli po Wietnam, od Korei Północnej po Nikaragwę itd. Te kraje oficjalnie dążą do budowy socjalizmu na zupełnie już innych zasadach niż te z lat obozu

nie jest kapitalistyczny. Dlatego rola społecznie postępowych i oddanych sprawie ludu intelektualistów jest nie tylko dostrzeganie jego tęsknot, ale także formułowanie w wiarygodny sposób metod i dróg realizacji tego, co tkwi w jego świadomości. Po to, abyśmy wszyscy mogli godnie żyć – w Polsce, we Francji i na całym naszym wspólnym przeciwieństwie.

Paweł Dybicz

Z Galicji



Jan Widacki

Nie wiem, co bardziej denerwuje – bezczelność Zjednoczonej Prawicy czy głupota opozycji. Cała nadzieja w tym, że Zjednoczona Prawica, której jedyne spoiwo stanowią władza i profity z niej, pożre się między sobą. O władzę i wpływy oczywiście. Morawiecki, kłamca i mitoman stulecia, pożre się z Ziobrą, który z łaski (i nieostrożności!) prezesa – naczelnika Polski skupił w ręku taką władzę, że każdego może zamknąć i wyeliminować z gry, nawet jeśli sąd zbierze się na odwagę i czegoś odmówi. Aresztu lub skazania. Tego ostatniego zresztą dopiero po kilku latach. Do tego czasu niesłusznie podejrzany może się pocieszać, że służy mu domniemanie niewinności, które jednak nie działa ani na wyborców, ani na kontrahentów w działalności gospodarczej. Podejrzany, aresztowany – w opinii publicznej równa się skazany. A dysponując dwoma konfidentami lub tzw. skruszonymi przestępcami, którzy za złagodzenie kary albo nawet za poprawę warunków jej odbywania gotowi są zeznać wszystko, o co się ich poprosi, można doprowadzić do

A lewica? Obawiam się, że jeszcze gorzej. Właśnie zmarnowała kolejną szansę. Nadchodzi kryzys gospodarczy, PKB spadł o ponad 8%, inflacja w lipcu przekroczyła 3%, plajtują rozmaite firmy, nie tylko w branży gastronomicznej, turystycznej czy hotelarskiej, a to, jak wszystko wskazuje, dopiero początek. To, że właśnie teraz chciano podnieść uposażenie posłów i najwyższych urzędników państwowych, jest napluciem w twarz społeczeństwu. Niegdyś Urbana z czasów stanu wojennego, że „rząd się sam wyżywi”, miała zostać wcielona w życie, niestety także głosami większości posłów lewicowych.

Oczywiście prawdą jest, że posłowie, ministrowie, premier czy prezydent w relacji do innych państw zarabiają mało. To prawda, że „konfitury” dla zwycięskiej partii są nie w Sejmie, ale w spółkach skarbu państwa, więc najlepsi zabiegają raczej o stanowiska prezesów i członków rad nadzorczych, a do Sejmu idą często ci „mniej kumaci” spośród wiernych. To prawda, że przy takich zarobkach do Sejmu ani do rządu nie garną się ci,

Trzecia liga...

skazania każdego. Aż dziw bierze, że ten mechanizm jest wykorzystywany stosunkowo rzadko. Ale w każdej chwili może się stać częstszy! Przeciwnicy Ziobry dobrze to wiedzą. Także przeciwnicy w obozie władzy. Pozycja Ziobry w obozie prawicy jest niepodważalna. Taki hamletyzujący (a naprawdę błaznujący) Gowin to dla Ziobry żaden przeciwnik. Chyba że sam Kaczyński przestraszy się potęgi Ziobry i sprytnie we właściwym momencie go wyeliminuje. Ale będzie mu coraz trudniej. Dobrze wie, że w ręku Ziobry jest sprawa dwóch srebrnych wień. A niechby tak wszczął, jak zresztą prawo tego wymaga, śledztwo w tej sprawie...

Jeśli Zjednoczona Prawica nie załatwi się sama, na opozycję nie ma co liczyć. To do jej liderów adresowane mogą być słowa marszałka Piłsudskiego sprzed ponad 100 lat: „Wam kury szczać prowadzić, a nie politykę robić!”.

Platforma nie może znieść, że Rafał Trzaskowski chce tworzyć swój ruch poza jej strukturami, i rzuca mu kłody pod nogi. Nie zrozumiała nic z tego, że wyborcy ją i jej styl polityki odrzucili w 2015 r., a stanowisko swoje podtrzymali w 2019. Nie zrozumiała, że Trzaskowski bliski był zwycięstwa nie dzięki poparciu Platformy, ale dzięki temu, że miliony wyborców, również takich, którzy na Platformę nigdy by nie zagłosowali, udzieliły mu w wyborach prezydenckich poparcia, bo w nim (a nie w Platformie!) widziały szansę na wyzwolenie Polski spod panowania PiS i uratowanie demokracji. Stąd wynik Trzaskowskiego – prawie 50%, podczas gdy Platforma w ostatnich latach nigdy nie przekroczyła 30%! Teraz, zamiast przyklasnąć pomysłowi Trzaskowskiego, a później ewentualnie wejść w koalicję z jego ruchem, chce go koniecznie zgarnąć pod swoje skrzydła i zdusić do swoich 30%. Ambicje partyjnych liderów przesłaniają im dobro Polski. Naprawdę polityczna trzecia liga, jeśli nie gorzej. Wstyd!

którym się powiodło w biznesie lub w wolnych zawodach, bo pobyt w Sejmie to dla nich strata finansowa, w efekcie poziom Sejmu jest taki, jaki jest. Większość posłów, gdyby miała żyć z pracy własnych rąk (a już nie daj Boże z pracy własnej głowy!), zapewne cierpiałaby nędzę. A wynagrodzenie dla pierwszej damy? Za co? Za lata absolutnej bierności, milczenia, prezentowania jakichś mundurków dla stewardes, które za państwowe (to jest nasze!) pieniądze ktoś jej projektuje i szyje. To prawda, że mundurki stewardes są o klasę wyżej od mundurków konduktorki Warszawy lansowanych przez Beatę Szydło, gdy była premierem, ale czy za ten wątpliwy pokaz mody naprawdę ma płacić podatnik?

To prawda, że niedawno prezes, ze względów populistycznych i demagogicznych, kazał obniżyć im uposażenia. Ale podnoszenie tych uposażeń akurat w tym momencie, w czasach pandemii, recesji i nadchodzącego kryzysu gospodarczego, to ruch świadczący o absolutnej arogancji władzy, o jej bezczelności. Jakże piękne pole do popisu miała tu lewica! Niestety, i tego momentu nie wykorzystała. Można było w Sejmie zdemonstrować solidarność z tymi, którzy teraz tracą pracę, którzy bankrutują lub po prostu zwiijają interesy. Ile można było się nakrzyć przeciwko tym podwyżkom! Ile na ten temat można było powiedzieć z trybuny sejmowej, na konferencjach prasowych. I – powiem cynicznie – finansowo nie stracić, bo skoro PiS wymyśliło podwyżki, a prezes, jak widać, je zaakceptował, to pewnie i tak by je uchwalono. O ileż od lewicy mądrzejsza była Konfederacja! Chwała tym posłom lewicy, którzy wierni swoim ideałom głosowali przeciw. Ale lewica jako formacja nie tylko nie wykorzystała szansy, lecz także, mówiąc kolokwialnie, d... dała. I to za ile? Za 40% uposażenia? Trudno będzie teraz lewicy przekonywać wyborców, że jest wierna lewicowym ideałom. Bo nie jest! Wstyd!



Julia Borzeszkowska (nz. w środku, w okularach) na marszu „Młodzi ponad podziałami” zorganizowanym przez uczniów szkół średnich Trójmiasta 6 lutego 2019 r.

Pozostałości z Solidarności

Duch i znaczenie pierwszej Solidarności zostały zniszczone, tak to czuje większość Polek i Polaków

Jan Opielka

Co by to było, gdyby się okazało, że Solidarność 1980 r. była swego rodzaju rewolucją, która może odmienić jakiś kraj? Co by było, gdyby ta świadomość naprawdę przenikła do naszych umysłów? I co, gdyby możliwość społecznej rewolucji i jej świadomość teraz znów się rozpałiła? Takie myśli przychodzą mi do głowy, gdy odliczam kolejne etapy Solidarności. Jestem z generacji, która z lat 1980 i 1981 ma zaledwie mgliste obrazy czołgów przejeżdżających przez ulice mojego miasta i znaczków Solidarności przypiętych

w rodzinnym domu do dywanika na ścianie nad tapczanem.

Młodzi chcą solidarności

Gryfice to typowa mała miejscowość, takie miastko, jak określił to Maciej Gdula, politolog i polityk Wiosny, w rozprawie „Dobra zmiana w Miastku” o Polakach i Polkach popierających PiS. Kilkanaście tysięcy mieszkańców żyje w miasteczku na Pomorzu Zachodnim. „Z tej Solidarności wszystko rozleciało się na drobne – mówi 66-letni emeryt, który z kolegą siedzi nad rzeką Regą. – Ci, którzy szli kiedyś w jednym szeregu, potem pozakładali różne odmiany

Solidarności i za bardzo chyba w politykę poszli. A teraz co? Nie biorą się ludzie, tak jak kiedyś solidarność była, nie widać tego. Pieniądże zgubiły ludzi”. Mężczyzna pamięta te czasy, gdy ideały nie były jeszcze wyśmiewane, gdy w „Tygodniku Solidarność” na pierwszej stronie przedrukowano tekst „Piosenki dla córki” Macieja Pietrzyka. Śpiewał „o tych ludziach, którzy poczuli / że są teraz właśnie u siebie / solidarnie walczą o dzisiaj / i o jutro także dla ciebie”. Dziś to zalatuje przestarzałym patosem. I niespełnionym marzeniem. „Ideały to już poszły dawno. Ludzie odrzucają to, co wiąże się z odpowiedzialnością – narzeka emeryt z Gryfic. – Młodzi mają inne cele – mercedesa, dom już w wieku 30 lat. Cóż, kończą studia, są mądrzejsi, niech robią tę Polskę”.

Robią więc. W Gdańsku, tam, gdzie może nie wszystko, ale wiele z Solidarności się zaczęło, po zamordowaniu prezydenta Pawła

Adamowicza w styczniu ub.r. za-
inicjowano kampanię społeczną
pilotowaną przez Europejskie Cen-
trum Solidarności (ECS). Ucznio-
wie i uczennice trójmiejskich szkół
średnich sformułowali 21 postulatów,
wyszli na ulice, manifestowali. Oto
niektóre punkty:

2. Nie chcemy, by politycy celowo
pogłębiali podziały w społeczeństwie.

3. Żądamy niezależnych, obiek-
tywnych mediów publicznych.

Ci, którzy szli kiedyś w jednym szeregu, potem pozakładali różne odmiany Solidarności i za bardzo w politykę poszli.

6. Domagamy się kształcenia oby-
watelskiego na wszystkich etapach
edukacji.

13. Żądamy równouprawnienia
płci!

16. Domagamy się, by placówki
szkolne w godzinach popołudnio-
wych oferowały zajęcia ogólnorozwo-
jowe, artystyczne i sportowe.

18. Chcemy, by młodzi ludzie an-
gażowali się w sprawy społeczne
i polityczne.

20. Domagamy się szacunku dla
środowiska naturalnego, które jest
dobrem wspólnym.

21. Nic o nas bez nas – młodych.

Jedną z uczestniczek akcji jest
Julia Borzeszkowska. 20-latka stu-
diuje dziś prawo, w kampanię zaan-
gażowała się jeszcze jako licealistka.
„To było 21 naszych postulatów na
XXI w. Poculiśmy wtedy, że jako
uczniowie powinniśmy zrobić coś ra-
zem. Myślę, że nadal inspirujemy się
tą starą Solidarnością. Współpraco-
waliśmy z różnymi liceami, samorzą-
dami uczniowskimi, organizowaliśmy
marsz. Wszystko w ramach zasady
działania ponad podziałami”. Julia
podkreśla, że wielu młodych ludzi
kontynuowało swoje zaangażowanie

młodych. Najlepsze prace zostaną
pokazane pod koniec sierpnia w ra-
mach Święta Wolności i Demokra-
cji, organizowanego przez miasto
Gdańsk. Koordynatorką projektu
jest Dorota Brzezińska. „Chociaż ze
smutkiem patrzę na to, co się dzieje
w Polsce, to ten projekt wzmocnił
moją nadzieję”, twierdzi. Brzeziń-
ska ma wiele lat doświadczenia
w działalności społecznej, edukacji
i integracji. 10 lat temu angażowała

się w projekt o wartościach tzw. ma-
łej solidarności. „Problem w tym,
że dzielimy się pokoleniowo i tym
samym zabieramy sobie możliwość
nauczenia się czegoś od siebie
nawzajem. Tymczasem pracując
z młodymi ludźmi, widzę, że oni
mają głęboki wgląd w różne aspekty
społeczne. Jednak starsi nie dają im
przestrzeni, aby to wyrazić”, zwraca
uwagę.

Młodzi uczniowie chcą działać.
Pytanie, czy działania organizowa-
ne wspólnie z instytucjami pań-
stwowymi lub samorządami mogą

Nie potrafimy ze sobą rozmawiać, bo dialog wymaga gotowości do refleksji nad własną pozycją i jej ewentualną zmianą.

doprowadzić do zmian. Prawdziwy
protest, dążący do fundamentalnej
zmiany lub obalenia czegoś, raczej
nie powstaje w ramach istnieją-
cych instytucji. Jeśli zatem Rafał
Trzaskowski mówi, że chce tworzyć
nowy ruch, wiele po tym oczeki-
wać nie można. „Protesty nie mogą
wychodzić z instytucji państwa czy
samorządów. Powstają, gdy w spo-
łeczeństwie rodzi się gwałtowne

Na pytanie, dlaczego dzisiejsze
protesty nie tylko w Niemczech nie-
zupenie się udają, nie owocują real-
nymi zmianami, Unfried odpowiada:
bo wszyscy jesteśmy uczestnikami
systemu, który krytykujemy. „Każdy,
kto udaje, że nie jest częścią społe-
czeństwa, które krytykuje, jest po
pierwsze nieautentyczny, a po dru-
gie jest zainteresowany nie poprawą
warunków, tylko odgrywaniem wła-
snej roli”. Jeśli udaje, że nie jestem
częścią problemu, nie widzę też po-
trzeby zmian u siebie – to wydaje się
jednym z głównych powodów tak sil-
nych podziałów w społeczeństwach.
Nie potrafimy ze sobą rozmawiać,
bo dialog wymaga gotowości do
refleksji nad własną pozycją i jej
ewentualną zmianą.

Czy mury runą?

Jak taka zmiana mogłaby wy-
glądać? Co pozostało z Solidar-
ności? Wiele osób nie chce o tym
rozmawiać. W Trzebiatowie, nieda-
leko Gryfic, spotykam 45-letniego
stolarza. Antoni Berski* jest zado-
wolony ze swojej pracy brygadzysty
w dużym zakładzie, ale dziedzictwa
Solidarności wokół siebie nie czuje.

Czy z tej prawdziwej solidarności coś pozostało? Nie. Ta prawdziwa kojarzy mi się z równością, z praworządnością, a w tej chwili tego brak.

na innych polach – ona sama nadal
działa w projekcie ECS. „Od tam-
tej pory czuję, że jeśli coś jest nie
tak, możemy coś z tym zrobić, oka-
zać swój sprzeciw, zrobić więcej.
Można, obywatelsko, jako zwykli
ludzie, zadziałać”.

Elementem kampanii jest konkurs
na plakat związany z 21 postulatami

uczucie sprzeciwu wobec istniejącej
rzeczywistości albo – odwrotnie –
poparcia dla jakiejś idei”, pisze Peter
Unfried w niemieckim miesięczniku
„Futurzwei”, poświęconym przy-
szłości. Protest musi mieć jasny
cel, mocne hasła i liderów, którzy
potrafią wyrazić obawy i potrzeby
protestujących.

„Czy z tej prawdziwej solidarności
coś pozostało? Nie. Ta prawdziwa
kojarzy mi się z równością, z prawo-
rządnością, a w tej chwili tego brak.
Dzieli się ludzi na dobrych, którzy
popierają teraz rząd, i złych, którzy
są przeciwni”. Berski jest i za, i prze-
ciw. „Bo trzeba przyznać, że PiS dla
społeczeństwa dużo zrobiło. Nawet
u nas widać, że zmniejszyła się bie-
da”. Nie zmienia to jednak faktu, że
brakuje sprawiedliwej
równości. „Jakby było
dalej tak, jak Solidarność
przewidywała, toby było
dobrze. Ale zepsuło się.

Normalny pracownik, który haruje na
to wszystko, zarabia grosze, tak jak
tutaj dziewczyny z Biedronki. A taki
prezes spółki nie wiadomo za co ma
miesięcznie tyle, ile one przez trzy la-
ta zarobią”.

Ludzie tacy jak Berski, pisma ta-
kie jak „Nowy Obywatel”, zwią-
zki zawodowe takie jak Inicjatywa

► Pracownicza – wskazują ten ekospołeczny wymiar Solidarności. Dziś jednak słowo solidarność wypowiedziane jest głównie jako hasło wsparcia dla poszczególnych grup, czy to zawodowych, czy mniejszościowych. Bo pozwalamy nas dzielić i nami rządzić. Dla władzy osoby LGBT to wygodny wróg zastępczy, na którego można przekierować lęki i frustracje elektoratu. Dla części liberalnej opozycji zaś to możliwość okazania solidarności z uciskanymi bez wchodzenia w kwestie socjoekonomiczne, które były przecież kluczowe przy powstaniu pierwszej Solidarności. Dziś, w czasach neoliberalnego kapitalizmu, są one odsuwane na margines, a realne, systemowe, klasowe konflikty są zastępowane sztucznymi, jak ten wokół społeczności LGBT. Jak bardzo to szcucie już zamąciło w głowach, zdradzają choćby słowa emeryta z Gryfic. „Mam nadzieję, że mój wnuk nie będzie musiał schodzić do podziemia jako hetero, że nie będzie musiał się ukrywać”.

Mur, twierdzą, niezrozumienie – czy mury runą? „Myślę, że w obecnych czasach i w naszym pokoleniu mało jest takiej codziennej solidarności – mówi Julia Borzeszkowska. – Młodzi ludzie zajmują się tylko sobą, każdy chce, żeby to jemu było dobrze. Na starszych patrzymy z przymrużeniem oka, bo oni urodzili się w innych czasach. My żyjemy

mimo wszystko wygodniej. Z historii rodziców i dziadków wynika, że ludzie byli bliżej. My też szukamy takiej młodzieżowej solidarności, choćby z osobami LGBT, ale i innymi grupami społecznymi – to są tacy sami ludzie”.

Solidarność a wykluczenie

W części solidarnościowej autobiografii „Zajeżdźmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźcy” Karol Modzelewski ukazuje powstanie ruchu jako wielką nadzieję po okresie stalinizmu, po Marcu '68, po tragicznym Grudniu '70. Tak, zakumulowana przez dekady frustracja,

Jak przywrócić Solidarności jej pierwotną treść, która przecież prześlągnięta była duchem równości?

zniewolenie, gniew – to chyba one stanowiły podstawę wspólnego, zdecydowanego zrywu, a później utworzenia wielkiego ruchu o unikatowym charakterze. Prof. Modzelewski pisze o Solidarności: „Pierwsza Solidarność była największym ruchem robotniczym w historii Polski, a może i w historii Europy. Byłem już wtedy człowiekiem dojrzałym i racjonalnie myślącym, ale w moich oczach ten ruch był ucieleśnieniem mitu, w którym wierzyłem od wczesnej młodości”.

Jak przywrócić Solidarności jej pierwotną treść, która przecież prześlągnięta była duchem równości? Sięgam po wspomnianego „Nowego Obywatela” i czytam o horrendalnych regionalnych różnicach w dostępie do służby zdrowia i – co za tym idzie – różnicach w długości życia obywateli i obywaterek. „Tam, gdzie likwidowano duże zakłady pracy, m.in. w województwach łódzkim czy zachodniopomorskim, tam zabrakło też pomostu do nowej rzeczywistości. W tych właśnie regionach widać większe wykluczenie mieszkańców, także dotyczące zdrowia. To smutny spadek po transformacji, o którym niechętnie

mówimy”, tłumaczy Maria Libura, kierowniczka Zakładu Dydaktyki i Symulacji Medycznej Collegium Medicum UWM.

Wykluczenie jako zbrodnia czasów. Solidarność, już z racji swojego znaczenia, nie wyklucza. Solidarność eliminuje granice międzyludzkie i nacjonalizm, tym samym pomniejsza rolę narodowości. Znamienne jest, jak wiele sympatii i konkretnej pomocy płynęło do Polski od osób i grup ludzi z krajów zza żelaznej kurtyny, tak samo jak teraz płynie z Polski do Białorusinów. Przy czym solidarność wcale nie jest bezgraniczna i taka być nie może wobec każdego, bo to wcześniej czy później doprowadzi do zguby. Solidarność wobec jednostki czy grupy ludzi jest uwarunkowana tym, czy oni przyjmują tę solidarność i sami również są solidarni.

Jak Henryk Wujec. To taka smutna koincydencja, że krótko przed 40. rocznicą powstania Solidarności zmarł w wieku 79 lat ten działacz, przez wielu opisywany jako „najszlachetniejszy ze szlachetnych”. Postacie Henryka Wujca i jego żony Ludwiki uświadamiają nam, że z biegiem lat tylko nieliczni potrafią oprzeć się pokusie władzy. Bo zawsze aktualne pozostaje pytanie: czy jest wystarczająco wolno, równo, solidarnie?

Jan Opiełka

* Nazwisko zmienione




WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL

RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ. WPŁAĆ NA KONTO PCK

16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Ojczyzna pograniczna

Nie uważałem w dzieciństwie, by PRL był Polską. Był on, owszem, ojczyzną, ale jakoś nie całkiem moją, jakoś niekompletną. Rodzina ojca była ze Lwowa – babcia, napotkawszy kiedyś na ulicy zbiórkę darów na Ziemie Odzyskane, krzychała, wymachując laską: „Ta oddajcie mi mój Lwów, to ja wam dam na Ziemie Odzyskane!”. Rzeczywiście: jak mogła istnieć Polska bez Lwowa?

Dziś widzę: mogła istnieć. I wiem, że PRL-u nie doznałem. Jednak wiem też, że moja dziecięca tęsknota za Lwowem była w istocie podświadomą tęsknotą za pograniczem. We Lwowie byli wszyscy: Polacy i Rusini, Ormianie i Żydzi, więc to chyba lwowskie geny mi podyktowały pojęcie polskości jako spiętrzających się pograniczu. A dziś już jestem pewien: pogranicza są istotą polskości, samą jej esencją. Przyjmując przed tysiącem lat chrześcijaństwo, staliśmy się słowiańskim pograniczem kultury łacińskiej, w dodatku w jej niemieckim wydaniu. A gdy po setkach lat wkraczaliśmy na Ruś, staliśmy się pograniczem Zachodu i Wschodu, Rzymu i Bizancjum.

Pogranicza są istotą i esencją, ale też zagadką polskości. Nie znają jednak tej zagadki nasi dzisiejsi rządcy. I nie usiłują jej poznać. Nie wiemy nawet, jaka jest tychże rządców świadomość kulturowa. Są okcydentalni – i to tak namiętnie, że sięgają aż za ocean, do USA. Choć nie tyle do USA, ile do jednej partii w USA, ba! do jednego człowieka (strach pomyśleć, co będzie, jeśli człowiek ten przegra wybory). Są katolicy – i to tak namiętnie, że tylko rzymskokatolicy (chyba nawet nie wiedzą, że katolicyzm ma też inne obrazy). Ale skoro są tak okcydentalni – to czemu się kłócą z Zachodem, z Unią Europejską? Wszak budowany przez nich ustrój upodabnia się raczej do despotii wschodnich. A skoro są tak rzymskokatolicy – to czemu nie przejmują się nauczaniem papieża? Ba! czemu nie stosują zaleceń Jezusa?! „Błogosławieni pokój czyniący”... Czy ktoś widział czyniącego pokój abp. Marka Jędraszewskiego?

Skoro zatem świadomość kulturowa naszych władców politycznych i naszych hierarchów katolickich (to chyba to samo?) jest nieznana lub żadna – trzeba odbudować polski patriotyzm, opowiedzieć na nowo Polskę. Trzeba jeździć w Polskę, wciąż od nowa z nią się zapoznawać. Ale jechać można dziś tylko wirtualnie. No to cóż, jedźmy. Co na początek? Szlak Duda-Morawiecki!

Bo oto całkiem niedawno, w Bolesławcu nad rzeką Bóbr, Andrzej Duda krzychał: „Niemcy chcą nam wybierać prezydenta”, „to jest podłość”. Bolesławiec – niemiecki Bunzlau – był miastem rodzinnym wielkiego poety niemieckiego baroku, Martina Opitza. W jego czasach miasto to nie należało

do Polski, ale Opitz zaciągnął się na służbę Rzeczypospolitej: został sekretarzem i historiografem króla Władysława IV i pisał po niemiecku panegiriki na jego cześć. Zmarł i został pochowany w Gdańsku – mieście podobnie jak Bunzlau niemieckojęzycznym (i protestanckim), ale wierniejszym Rzeczypospolitej niż tysiące polskiej, katolickiej szlachty. Wszak w czasie potopu Gdańsk bronił się przed Szwedami dłużej niż Jasna Góra, a po drugim rozbiore opierał się Prusakom przez miesiąc. I pomyśleć, że pietyzm wobec tej tradycji – zarazem polskiej, niemieckiej i protestanckiej – jest przyczyną ataków na panią prezydent Gdańska, Aleksandrę Dulciewicz. Oto pisowskie wykorzenienie.

A przed nami Tomaszów Lubelski. Dopiero co Mateusz Morawiecki cieszył się w tym mieście, że „coraz mniej obawiamy się tego wirusa” i że „już nie trzeba się go bać, trzeba pójść na wybory, tłumnie”. Mniejsza chwilowo o pana MM. Ciekaw natomiast jestem, czy dostrzegł on w samym centrum Tomaszowa górującą nad rynkiem cerkiew? Obraz to zwyczajny dla Roztocza, gdzie katolicyzm rzymski sąsiaduje z katolicyzmem greckim, a Polska z Rusią-Ukrainą. Te ziemie, podobnie jak Podkarpacie i Podlasie, to skrawki pozostałe po dawnej, polsko-ruskiej Rzeczypospolitej, ale skrawki na tyle ważne, że Przemyśl (Peremysl) czy Chełm (Chołm) były w średniowieczu, jeszcze przed czasami polskimi, stolicami udzielnych ruskich księstw. A podlaski Drohiczyń stał się miejscem jedynej w dziejach koronacji króla Rusi – Daniela Halickiego. Jest to zatem czy nie jest dziedzictwo również polskie?

Nie oczekuję od Dudy-Morawieckiego stałego zwracania uwagi na różnorodność i wielobarwność polskiego dziedzictwa. Oczekuję jednak, by kiedykolwiek i jakkolwiek zasygnalizowali, że coś z niego rozumieją, że polskie dziedzictwo, polska tradycja nie są im tak kompletnie obojętne, tak doszczętnie obce. Póki jednak tego nie zrobią (a przecież nie zrobią), trzeba PiS przeciwstawić inne pojęcie Polski. Polski Wielkiego Pogranicza. Czczony dziś przez prawicę Józef Piłsudski (skądinąd zabawny to paradoks) mawiał: „Polska to taki obwarzanek: co tylko ma, to po brzegach”. A wiele lat później Adam Michnik precyzował: „Ja mam ideę – tak ją nazwijmy – jagiellońską. To znaczy ideał Polski jako formuły szerokiej, gdzie jest miejsce i na prawosławną cerkiew, i na katolicki kościół, i na protestancki zbor, i na synagogę, i na meczet. I to wszystko razem jest dopiero Polską”.

Lubię te słowa, od lat przy różnych okazjach je cytuję. Ale rzeczywiście: trzeba odkryć Polskę. Naprawdę nadszedł czas, by opowiedzieć ją na nowo.

**Pogranicza są istotą polskości,
samą jej esencją.**

Nuncjusz jako zwornik systemu

Abp Salvatore Pennacchio jest gwarantem istniejącego porządku w polskim Kościele

Stanisław Obirek

Amerykański sowietolog węgierskiego pochodzenia Paul Hollander w książce „Political Will and Personal Belief. The Decline and Fall of Soviet Communism” z 1999 r. postawił przekonującą tezę, że radziecki komunizm upadł głównie dlatego, że jego przywódcy stracili wiarę w sam komunizm. Bez decyzji Michaiła Gorbaczowa i jego programu pierestrojki i głośności nie byłoby ani polskiej Solidarności, ani upadku muru berlińskiego. W tym kontekście wpływ Jana Pawła II na procesy dezintegracyjne bloku socjalistycznego należy uznać za marginalny. Choć oczywiście psychologiczne znaczenie jego wielokrotnych powrotów do Polski było ogromne, zwłaszcza dla katolików. W każdym razie to wszystko, zdaniem Hollandera, należy traktować jako marginalną otoczkę procesów, które rozegrały się w Związku Radzieckim. Podobne zdanie wyraził zapytany przeze mnie Andrzej Werblan. Według niego również znaczenie opozycji i rewizjonizmu w ramach komunizmu jest drugorzędne wobec *realpolitik* Gorbaczowa, który swoimi decyzjami przyczynił się w sposób decydujący do rozkładu bloku wschodniego.

Człowiek do pilnowania interesów Watykanu

Przypominam tę niezbyt popularną w Polsce tezę w kontekście debaty publicystycznej na temat nuncjusza apostolskiego w Polsce abp. Salvatore Pennacchia i jego ewentualnej roli w przemianie polskiego katolicyzmu. Otóż moja teza brzmi: nuncjusz nie tylko niczego nie zmienia, wręcz przeciwnie – jest gwarantem istniejącego porządku. Jego liczne powiązania z polskim episkopatem oraz wyraźna niechęć do podejmowania jakichkolwiek decyzji

związanych z nadużyciami niektórych przedstawicieli tej grupy jedynie potwierdzają tę oczywistą w zasadzie tezę. Wszelkie zdziwienia, oburzenia czy rozczarowania świadczą z jednej strony o naiwności, a z drugiej o nieznanym wewnętrznym mechanizmach kościelnych. Celem tego tekstu jest przybliżenie właśnie tych strukturalnych właściwości Kościoła katolickiego.

By to zrobić, muszę odwołać się do historii samej instytucji nuncjatury, której rola i cele właściwie są niezmiennie od chwili powołania jej do życia, czyli od okresu kryzysu chrześcijaństwa zachodniego w XVI w. Zadaniem nuncjuszy było gwarantowanie wpływów politycznych papieża i zabezpieczenie płynności zobowiązań finansowych poszczególnych krajów. I jedno, i drugie było gwałtownie kwestionowane od początku działalności reformatorów religijnych, poczynając od słynnego wystąpienia Marcina Lutra w 1517 r.

W Rzeczypospolitej Obojga Narodów działało podobnie jak w innych krajach Europy, a wpływy zarówno Lutra, jak i Jana Kalwina były znaczne,

kard. Stanisława Hozjusza w 1564 r. zakon jezuitów. To sprawy dobrze znane i udokumentowane. Mimo wszystko warto je przypomnieć, gdyż dzisiaj wielu polskich katolików zwykło patrzeć na swoje wyznanie niemal jak na naturalny wyznacznik polskiej tożsamości. Otóż jest to nie tylko niesłuszne, ale wręcz fałszywe. Przez stulecia katolicyzm nie był jedynym wyznaniem, a jego zależność od Rzymu była przez wielu postrzegana jako uciążliwa i utrudniająca rozwój rodzimej kultury. Nie to jednak jest przedmiotem mojej uwagi, tylko instytucja nuncjatury.

Kibic Napoli i duchowy syn św. Jana Pawła II

Największe zasługi w badaniach dziejów instytucji nuncjatury w Polsce ma Damian Wojtyśka, który w 1977 r. opublikował książkę „Papieżstwo – Polska 1548-1563”, a w 1990 r. rozpoczął wydawanie monumentalnej serii *Acta Nuntiaturae Polonae*, których do chwili obecnej ukazało się ponad 30 tomów, całość obliczona jest na 60 tomów. Dotyczą one przede wszystkim

Abp Kowalczyk, kard. Dziwisz i Jan Paweł II określili nie tylko skład osobowy episkopatu, ale również charakter polskiego katolicyzmu po roku 1989.

co budziło zaniepokojenie w Rzymie. Stąd gorączkowe działania pierwszych nuncjuszy skierowanych do Polski, by wpływy te osłabić i zagwarantować przyjęcie dokumentów soboru trydenckiego (1546-1563). Z punktu widzenia interesów państwa kościelnego sprawa była tym pilniejsza, że w polskim episkopacie bardzo popularna była idea soboru narodowego, który mógł się zakończyć utworzeniem niezależnego od Watykanu Kościoła narodowego. Ogromną rolę w utwierdzeniu papieskich wpływów odegrał sprowadzony przez

okresu od nasilenia ingerencji nuncjuszy w wewnętrzne sprawy Polski, czyli od połowy XVI w., do rozbiorów. Utrata przez Polskę politycznej niepodległości sprawiła, że nasz kraj przestał odgrywać jakąkolwiek rolę w polityce Watykanu. Papieżstwo na nowo zainstalowało nuncjaturę w naszym kraju dopiero w roku 1919. Jej działalność zakończył wybuch II wojny światowej, a kolejna reaktywacja miała miejsce po zmianie systemu politycznego w 1989 r., kiedy to nuncjuszem został Józef Kowalczyk (rocznik 1938). Była to



Nuncjusz czuje się wśród polskich biskupów jak u siebie. Nz. Abp Stawoj Leszek Głódź, abp Salvatore Pennacchio i abp Marek Jędraszewski w procesji ku czci św. Stanisława z Wawelu na Skalkę, 12 maja 2019 r.

sytuacja bezprecedensowa, że obywatel kraju zostaje jednocześnie delegatem papieskim. Tłumaczył ją fakt, że papieżem wtedy był również Polak. Kowalczyk sprawował swoją funkcję do roku 2010, jego następcą został Włoch Celestino Migliore. Najważniejszym osiągnięciem Kowalczyka było podpisanie w 1993 r. konkordatu z Watykanem, który dawał Kościołowi katolickiemu pozycję uprzywilejowaną. Nie muszę dodawać, że wszystkie nominacje biskupie z tego okresu to „zasługa” właśnie Kowalczyka. Zresztą jego wpływ na polski katolicyzm, mimo przejścia na emeryturę w 2014 r., nie zmniejszył się, podobnie jak innego hierarchy – kard. Stanisława Dziwisza, który przeszedł na emeryturę w 2016 r. Tych dwóch hierarchów, razem z Janem Pawłem II, określiło nie tylko skład osobowy polskiego episkopatu, ale również polityczny charakter katolicyzmu po roku 1989. Każda próba kwestionowania czy krytykowania biskupów jest odbierana niemal

jako osobisty atak na Jana Pawła II i podważanie jego roli. Katolicyzm w Polsce można określić jako ludowy o charakterze konserwatywnym, a politycznie jednoznacznie prawicowy. Nie może zatem dziwić tak wielka popularność koncernu medialnego o. Tadeusza Rydzyka, który znakomicie wpisał się właśnie w ten typ katolicyzmu. Również skargi na antysemitki i antysoborowy charakter tej rozgłosni nie wywoływały żadnej reakcji ze strony Watykanu. Migliore jako następca Kowalczyka, który został prymasem Polski, nie miał wiele do powiedzenia, choć wielokrotnie trafiały do niego skargi na mowę nienawiści obecną zarówno w mediach Rydzyka, jak i w innych lokalnych mediach katolickich.

Trzecim nuncjuszem został w 2016 r. również Włoch – Salvatore Pennacchio. Można powiedzieć, że w alei Szucha w Warszawie, gdzie mieści się nuncjatura, od 2005 r. nie odnotowano zmiany na tronie papieskim, gdyż pielęgnuje się tam przede wszystkim pamięć Jana Pawła II,

a zewnętrznym tego przejawem jest pomnik polskiego papieża stojący przed budynkiem nuncjatury. Właśnie ta sytuacja tłumaczy fakt, że biskupi polscy czują się bezpiecznie i żadne medialne doniesienia o nieprawidłowościach takich czy innych nie zakłócają ich spokoju. Ich rozumienie katolicyzmu w przestrzeni publicznej znajduje pełne poparcie w działaniach przedstawicieli papieża, nawet jeśli jest nim od 2013 r. Jorge Mario Bergoglio.

Szczególnie widoczne jest to w działaniach obecnego nuncjusza, który od początku swojej obecności w Polsce deklarował bliskie związki z polskim papieżem. Tak właśnie został zaprezentowany przez rzecznika episkopatu ks. Pawła Rytla-Andrianika, który przypominał wyznanie Pennacchia: „Uważam się za duchowego syna św. Jana Pawła II, który mnie wyświęcił na biskupa”. Co więcej, nuncjusz już w 2009 r. odwiedził

nasz kraj, a cel tych odwiedzin był jasno określony: nawiedzenie miejsc związanych ze św. Janem Pawłem II. Ale naturalnie abp Pennacchio to swój człowiek i wie, że w Neapolu w tamtejszym klubie gra dwóch Polaków. Jak to wyznał w jednym z wywiadów: „Mam zamiłowanie do piłki nożnej, w którą grałem w młodości. Obecnie, zważywszy wiek, a także wagę, mogę cieszyć się piłką nożną, oglądając transmisje telewizyjne lub – kiedy mam okazję – na stadionie. Naturalnie jako prawdziwy neapolitańczyk jestem kibicem Napoli, klubu, który właśnie zawarł kontrakt z dwoma bardzo dobrymi polskimi piłkarzami”.

Dwie twarze

Ale to nie o św. Janie Pawle II, a tym bardziej nie o piłce nożnej, chcą rozmawiać polscy katolicy z przedstawicielem papieża Franciszka w Polsce, lecz o bulwersujących opinię społeczną ekscesach i gorszących zachowaniach niektórych biskupów. Tymczasem nuncjusz wyraźnie od takich niemiłych spraw stroni. Znacznie chętniej ▶

► przyjmuje zaproszenia samych biskupów, i to w sprawach najróżniejszych, od święceń diakonatu Włocha, który prywatnie jest sekretarzem kard. Dziwisza, po huczne obchody setnej rocznicy reaktywacji nuncjatury urządzone przez abp. Jędraszewskiego w Wieliczce w listopadzie 2019 r. Rok wcześniej z równym przepychem odsłaniano pomnik Jana Pawła II w nuncjaturze. Bogata dokumentacja fotograficzna tych wydarzeń nie pozostawia

2019 r.), w którym nuncjatura apostolska w Warszawie otrzymała pismo zaadresowane do papieża Franciszka z korespondencją zawierającą świadectwo o molestowaniu seksualnym ze strony urzędującego polskiego biskupa wobec 15-latk, z której rodziną był zaprzyjaźniony. Tego samego dnia zawiadomienie zostało przesłane do Watykanu – gdzie ugrzęzło”. Opowiedziała o tym sama pani Monika redaktorowi „Gazety Wyborczej” Marcinowi

dalszy. Moim zdaniem bez nacisku mediów i prawników takiej odpowiedzi nie będzie.

Listy bez odpowiedzi

Podobna sprawa dotyczy innej barwnej postaci polskiego Kościoła – abp. Sławoja Leszka Głódzia. O pomoc do nuncjusza i papieża zwrócili się zdesperowani wierni diecezji gdańskiej oburzeni zachowaniem swojego ordynariusza. Grupa księży publicznie oskarżyła go o mobbing, przejawiający się wymuszaniem wygórowanych opłat za stanowiska w diecezji oraz wulgarnym odnoszeniem się do nich (ci księża również napisali o tym do nuncjusza). Jednak najważniejszy dla wiernych był brak reakcji biskupa na zarzuty pedofilskich przestępstw stawiane podległym mu księżom – Henrykowi Jankowskiemu i Franciszkowi Cybuli. Chodziło nie tylko o sprawę sprzed wielu lat, bo w ostatnich latach abp Głódź przeniósł na inną parafię ks. Michała M. skazanego za dwukrotny gwałt na 17-latce. W tych kwestiach gdańscy wierni też pisali listy do papieża i do nuncjusza i nie otrzymali choćby zdawkowej odpowiedzi. Gdy przyjeżdżali do nuncjatury, dowiadywali się, jak relacjonowała Wirtualna Polska, że „nuncjatura nie

Polski katolicyzm można określić jako ludowy o charakterze konserwatywnym, a politycznie jednoznacznie prawicowy.

wątpliwości – nuncjusz czuje się wśród polskich biskupów jak u siebie. Wtajemniczeni powiadają, że przejął polskie obyczaje (i cenniki), jeśli chodzi o uczestniczenie w podobnych uroczystościach, związanych zwykle ze święceniem czegoś (dzwonów, budynków, wspomnianych pomników) bądź wspomnianiem ważnych rocznic. Przyjął się bowiem w Polsce zwyczaj (zupełnie nieznan w innych krajach, w tym we Włoszech), że takie „koleżeńskie przysługi” kosztują określoną sumę, w zależności od rangi biskupa. Zwycię biskup otrzymuje 7 tys. zł, arcybiskup 8 tys., kardynał zaś 10 tys. Nuncjusz należy do najwyższej rangi, więc przy każdym takim gościnnym występie prawdopodobnie inkasuje 10 tys. zł.

Trudno się dziwić, że zgłoszenia gorszących zachowań poszczególnych hierarchów budzą w nuncjuszu zwyczajną niechęć do informatorów. Przykładem jest prawdziwa droga przez mękę molestowanej przez bp. Jana Szkodonia z Krakowa pani Moniki, co opisał Zbigniew Nosowski w reportażu „Przesłuchanie w nuncjaturze oczami osoby pokrzywdzonej” na łamach majowej „Więzi”. Lektura tego tekstu odsłania inną twarz jowialnego i serdecznie zaprzyjaźnionego z polskimi hierarchami urzędnika kościelnego. Jest to oblicze zimnego biurokraty, który nie ma zrozumienia dla ludzkiej krzywdy. Nosowski rozpoczyna reportaż od przypomnienia sprawy, która swój biurokratyczny żywot rozpoczęła rok temu: „Za trzy dni minie dokładnie rok od dnia (27 maja

Wójcikowi, do którego zwróciła się, jak napisał, „z bezradności”. Reportaż „Zły dotyk biskupa z Krakowa” (10 lutego 2020 r.) był szeroko komentowany w mediach, jednak ani ze strony nuncjatury, ani kurii krakowskiej nie doczekaliśmy się żadnego komentarza. Kilka dni później Wójcik, opisując kulisy pracy nad tekstem, ujawnił, że bp Szkodoń z nim rozmawiał, ale wyraźnie sugerował, że byłoby lepiej, gdyby dziennikarz o tym nie pisał. A jego wyjaśnienie jest wprost zdumiewające: „Biskup przyjął mnie w gabinecie. Rozmawialiśmy dobrą godzinę. Powiedział, że Monika mści

Nuncjusz wyraźnie stroni od rozmów z katolikami o gorszących zachowaniach niektórych biskupów.

się na nim za to, że nie wsparł jej duchowo podczas rozwodu. Że mści się pod namową zawziętego ojca”. Wszelkie próby kontaktu z bp. Szkodonem i abp. Jędraszewskim podjęte przez Nosowskiego (chciał wysłuchać drugiej strony) zakończyły się niepowodzeniem. Samo przesłuchanie w nuncjaturze to przykład skrajnego braku empatii i zrozumienia dla osoby pokrzywdzonej. A finał sprawy wygląda jak z powieści Kafki: „Do pani Moniki przyszło w tym czasie tylko jedno pismo: informacja z nuncjatury, datowana na 12 marca 2020 r. Radca prawny Mikołaj Drozdowicz zawiadamiał w nim, że »Nuncjatura przekazała komplet materiałów sprawy do kompetentnych organów Stolicy Apostolskiej«. Nosowski pyta wcale nie retorycznie, czy nastąpi ciąg

ma uprawnień, żeby występować jako strona w postępowaniach kościelnych. Nuncjatura może tylko przekazywać dokumentację do Watykanu, ale sama nic nie może”. Okazało się poza tym, że wcześniej żadna taka sprawa nie wpłynęła, bo dotychczasowe listy nie były oficjalne. Przewodząca grupie protestujących Justyna Zorn doświadczyła jednej pozytywnej rzeczy, dowiedziała się mianowicie, że „cappuccino u nuncjusza było świetne”. Jednak najciekawsze były rady, jakich abp Pennacchio udzielił delegacji domagającej się dymisji Głódzia. Otóż sugerował, by „złożyła oficjalną skargę na abp. Głódzia do Kongregacji Biskupów ds. Duchowieństwa w Watykanie”. Jak wiadomo, młyny watykańskie miały wolno, więc abp Głódź spokojnie doczekał do emerytury i rzecz stała się nieaktualna.

To tylko skromny przykład sposobu działania, a raczej niedziałania obecnego nuncjusza. Co innego pod wpływem presji medialnej i spektakularnych skandali, których nie można ukryć. 25 czerwca 2020 r. na stronie nuncjatury pojawił się krótki komunikat: „Ojciec Święty Franciszek mianował administratora apostolskiego *sede plena* diecezji kaliskiej w osobie

z negatywnych bohaterów filmu braci Sekielskich „Zabawa w chowanego” – ordynariusza kaliskiego bp. Edwarda Janiaka, wcześniej wrocławskiego biskupa pomocniczego, oskarżonego o ukrywanie nadużyć seksualnych podległych mu kapłanów. Tym razem Watykan zareagował. Zarówno komunikat, jak i wyjaśnienie potwierdzają moją tezę o sprawczej

Wobec hierarchów abp Pennacchio jest jowialny i serdeczny, dla ofiar księży pedofilów to zimny biurokrata bez zrozumienia dla ludzkiej krzywdy.

metropolity łódzkiego, abp. Grzegorza Rysia”. A na stronie diecezji kaliskiej również krótkie wyjaśnienie: „Bp Edward Janiak otrzymał polecenie przebywania poza diecezją kaliską na czas prowadzenia dochodzenia w sprawie zaniedbań. Oznacza to, że nie może w niej przebywać fizycznie, jak również w jakikolwiek sposób ingerować w kierowanie diecezją kaliską”. Sprawa dotyczy jednego

sile nuncjatury, która rzadko bywa wykorzystywana. Jednocześnie potwierdza się moje przekonanie, że bez medialnej presji zapewne papież nie podjąłby żadnej decyzji, a biurokracja watykańska zwlekałaby aż do emerytury bp. Janiaka.

Z drugiej strony w sprawie bp. Janiaka interweniował w Watykanie prymas abp Wojciech Polak, więc możliwości jej wyciszenia były

znacznie mniejsze. Gdyby nie to, być może abp Pennacchio nie musiałby podejmować żadnych działań. Zresztą trudno się dziwić, główne zadanie nuncjatury polega na zabezpieczeniu interesów politycznych i finansowych Watykanu. A te na razie są mocno zagwarantowane nie tylko przez konkordat, ale i przez wyjątkowo spolegliwych polityków. Byłoby więc działaniem doprawdy samobójczym, gdyby abp Pennacchio psuł w Watykanie znakomitą opinię, jaką cieszy się polski Kościół. Zresztą sam nuncjusz przekonał się o tym podczas pierwszego pobytu w ojczyźnie św. Jana Pawła II w pamiętnym roku 2009. Bo jak wyjął ks. Pawłowi Rytłowi-Andrianikowi, „Polska wywarła na nim bardzo dobre wrażenie, szczególnie jej historia i tradycja. Najbardziej jednak ujęła go wiara Polaków”.

Po co zatem cokolwiek tu zmieniać? Przecież nuncjusz apostolski w Polsce jest zwornikiem systemu, który świetnie funkcjonuje.

Stanisław Obirek

CHAD MICHAEL MURRAY
BRUCE WILLIS

JUŻ NA
BLU-RAY
I DVD

PRZETRWAĆ DO ŚWITU

FILM PRODUCENTÓW HITÓW
IRLANDCZYK
I BOGWIE ULICY

WP FILMWEB dla studenta.pl Militaria.pl Przegląd empik

Kapitalizm a natura ludzka

Inny kapitalizm jest możliwy.
Mniej egoistyczna jest jego wersja skandynawska

Andrzej Szahaj

Zdarza mi się czytać komentarze internetowe pod moimi tekstami poświęconymi kapitalizmowi. Nawet w tych życzliwych, zgadzających się z moimi krytycznymi diagnozami, powtarza się z uporem jeden wątek: zgodności kapitalizmu z naturą ludzką. Wydaje się, że jest to element dzisiejszego zdrowego rozsądku większości ludzi zamieszkujących nasz kraj. Jak to więc jest z ową naturą ludzką? Moja teza brzmi następująco: nie wiemy, na czym polega natura ludzka, nie wiemy też, czy w ogóle istnieje. Jej każdorazowe określenie jest projekcją czyichś życzeń, wyobrażeń oraz wdrukowanych w umysł schematów myślenia. W ostateczności zatem każda wizja natury ludzkiej to wyraz pewnego wyboru, często motywowanego jakimś interesem ideowym, przyjmowanego w wyniku splotu okoliczności za słuszny, albowiem zgodny z prawdą. To zawsze konstrukt kulturowy (przede wszystkim filozoficzny i polityczny), którego zadaniem jest najczęściej zamknięcie dyskusji o tym, co ważne dla ludzi, zanim jeszcze ona się zaczęła. Argument ludzkiej natury ma z reguły zamykać usta oponentowi, na zasadzie: możesz sobie mówić, co chcesz, to i tak nie ma znaczenia, bo taka to a taka natura ludzka zawsze w końcu przeważa. W ostateczności jest to zatem zawsze argument o charakterze ideologicznym, idzie bowiem o to, aby przekonać interlokutora, że jego sprzeciw wobec jakiegoś aspektu działania ludzi jest pozbawiony sensu, gdyż działają oni tak, jak działają, sterowani siłą, nad którą nie panują.

Jest to charakterystyczny zabieg ideologiczny, ponieważ każda ideologia dąży do tego, aby uczynić to, co otwarte i zmienne, czymś zamkniętym i trwałym, po to by już z góry zniechęcić kogokolwiek do zmiany *status quo*. W ten sposób ideologia

dąży do naturalizacji tego, co kulturowe, a więc do uznania jakiegoś jednego wariantu bycia człowiekiem za konieczność wręcz przyrodniczą. Jej głównym kryterium sukcesu jest takie rozpowszechnienie się jakiejś wizji natury ludzkiej, że ostatecznie staje się ona jednym z elementów tzw. zdrowego rozsądku pewnej społeczności. Oznacza to, że jest bezrefleksyjnie przyjmowana przez dominującą część owej społeczności jako coś oczywistego. W ten sposób zostaje jej zapewniony monopol w sferze myślenia o tym, co dobre i złe, jakie cele ludzkiego życia mają sens, a jakie nie, do czego warto dążyć, albowiem osiągnięcie tego czegoś jest możliwe, gdyż zgodne z naturą ludzką, a do czego dążyć nie warto. Wyobrażenie natury ludzkiej jest z reguły fragmentem większej całości, zespołu przekonań, które składają się na pewien w miarę spójny obraz dobrego życia i dobrego

główne składniki to egoizm, konieczność walki z innymi o swoje interesy, nieuchronna tendencja do porównywania się z nimi pod kątem osiągniętego statusu materialnego, brak zrozumienia dla tych, którzy przegrywają (sami są sobie winni). Towarzyszy temu przekonanie o bezlitosności życia i pogodzenie się z tym, że jest ono z natury niesprawiedliwe, a ludzie nierówni – wszystko to z grubsza przypomina ideową opcję tzw. socjaldarwinizmu, czyli przekonania, że świat jest areną nieustannej walki, w której wygrywają najlepiej przystosowani, czyli *de facto* najbardziej bezwzględni. Często zdają oni sobie sprawę, że wszystko to świadczy o tym, iż człowiek jest z natury raczej zły, a nie dobry, ale nic na to nie można poradzić. W tym sensie w Polsce triumfuje Thomas Hobbes, angielski filozof z XVII w., który stwierdził za Plautem, że *homo homini lupus*, człowiek człowiekowi wilkiem.

Nie wiemy, na czym polega natura ludzka, nie wiemy też, czy w ogóle istnieje.

społeczeństwa. Dlatego opanowanie przez jakieś wyobrażenie natury ludzkiej sfery zdrowego rozsądku świadczy o wyraźnej hegemonii tego wyobrażenia dobrego ustroju ekonomicznego i politycznego. Wiąże się z tym wrażenie braku alternatywy.

Z tej perspektywy takie ochocze powoływanie się na naturę ludzką przez polemizujących ze mną internautów oraz publicystów świadczy o tym, że dominujący w Polsce od 30 lat przekaz ideowy, nakazujący uznawać jedną z potencjalnych form ustrojowych (w sensie ekonomicznym i politycznym) za jedyną możliwą, świadczy o niewiarygodnym sukcesie pewnej narracji ideologicznej, która zdołała ukryć swoją stronniczość pod maską konieczności. O jej zawartości świadczy wyobrażenie natury ludzkiej przywoływane przez moich polemistów. Jego

Jego przekonanie, że człowiek jest z natury zły, określane fachowo terminem pesymizmu antropologicznego, nie było na szczęście jedynym, jakie się pojawiło w dziejach filozofii europejskiej. Wielki filozof francuski Jean-Jacques Rousseau twierdził coś odwrotnego: człowiek jest z natury dobry, skłonny do pomocy innym, życzliwy i pełen miłości. Psują go społeczeństwo, państwo i cywilizacja. Zarówno pesymizm antropologiczny Hobbesa, jak i optymizm antropologiczny Rousseau znajdowały potem licznych naśladowców. Z jednej strony, mieliśmy zatem chwalców bezwzględnego egoizmu, takich jak XIX-wieczny filozof niemiecki Max Stirner czy XX-wieczna skrajna liberałka amerykańska Ayn Rand, z drugiej – wierzących w dobroć ludzką i skłonność do pomocy wzajemnej, np. wybitnego anarchistę

rosyjskiego księcia Piotra Kropotki-
na. Co jednak ważniejsze, wizje na-
tury ludzkiej Hobbesa i Rousseau nie
są jedynymi, jakie zostały stworzone
w kulturze zachodniej. Szkocki filo-
zof Leslie Stevenson zidentyfikował
11 teorii ludzkiej natury, a i tak mam
wrażenie, że nie uchwycił ich wszyst-
kich (przypomnę tylko znane w kultu-
rze zachodniej filozoficzne określenia
człowieka jako *zoon politikon*, *homo
faber*, *homo religiosus*, *homo viator*,
homo socialis, *homo iuridicus*). Wy-
nika stąd jasno, że mamy wiele teorii
natury ludzkiej i żadnego sposobu,
aby się przekonać, która jest trafna.
Potwierdza to jeszcze raz moje przy-
puszczenie, że wizja natury ludzkiej
to zawsze projekcja pewnych prze-
sądzeń i oczekiwań, które pod płasz-
czykiem dociekania prawdy na temat
człowieka przemycają pewną wizję
tego, co dobre i złe (ewentualnie
podnoszą do rangi ogólności jakieś
określone kulturowo i historycznie
cechy ludzkiego zachowania).

Moje wątpliwości co do istnienia
natury ludzkiej potwierdza antropolo-
gia kulturowa, nauka, która udowod-
niła, że człowieczeństwo może wy-
stępować w bardzo wielu wariantach
i nie ma żadnego sposobu, aby któ-
ryś z nich uznać za bardziej naturalny
czy oczywisty (do odkrycia tej praw-
dy przyczynił się najwybitniejszy pol-
ski naukowiec z zakresu humanistyki
i nauk społecznych, fundator insty-
tucjonalnej antropologii kulturowej,
Bronisław Malinowski).

W świetle powyższego trzeba za-
pytać, skąd w polskim zdrowym roz-
sądku utrwalilo się owo wyobrażenie
natury ludzkiej, które rekonstruowa-
łem w pierwszej części eseju. Żeby
odpowiedzieć na to pytanie, trzeba
najpierw przyjrzeć się założeniom
filozoficznym opcji ekonomicznej
dominującej w polskiej transformaty-
cji. Był to neoliberalny wariant cze-
goś, co ekonomiści nazywają eko-
nomią neoklasyczną. Jednym z jej
fundamentów jest idea *homo oeco-
nomicus*, człowieka, który w każdej
sytuacji stara się przede wszystkim
maksymalizować swoją korzyść ma-
terialną, co ma skądinąd świadczyć
o jego racjonalności. Egoiści z na-
tury, skłonni wchodzić w jakieś
relacje z innymi, pod warunkiem że
przyniosą mu one pewien zysk.

Ekonomia neoklasyczna towarzy-
szyła zawsze jako pewna ideologia

kapitalizmowi, starając się skądinąd
ukryć swoją ideologiczność pod
przykrywką naukowości (stąd taka
w niej obfitość różnych modeli ma-
tematycznych). Absolutyzowała ona
pewien model zachowania, który
związany był z wytworzonymi głów-
nie w Anglii i Niemczech w XVIII w.
warunkami społecznymi, czyniąc go
wbrew świadectwom historycznym
jedynym możliwym (świadectwa
te pokazywały, że może istnieć np.
ekonomia daru, w której wymiana
towarowa odbywa się na zasadzie
ekwiwalentnej wymiany, a nie zysku,
czy też gospodarka dóbr wspólnych,
która nie zna prywatnej własności
ani zysku). Przenikanie pewnych jej
(przynajmniej – zwulgaryzowanych)
elementów do naszej praktyki gospo-
darczej przyczyniło się do uczynienia

Jak to jest możliwe, że w Polsce doszło do uznania egoizmu i walki wszystkich ze wszystkimi za coś naturalnego?

szczególnie bezwzględna i bezlitosna
przyjęta przez nas wersja kapitali-
zmu. To z kolei zostało uznane przez
większość z nas za coś oczywistego
i naturalnego. Słowem, nasze dzi-
siejsze wyobrażenia natury ludzkiej
to nic innego jak owoc wieloletniego
treningu życia w warunkach brutal-
nego turbokapitalizmu, socjalizacji
w rodzinie (dziecko jako inwestycja,
która powinna się zwrócić), neoliberalnej
edukacji szkolnej (nastawienie
na konkurencję, a nie współpracę,
kult indywidualnych osiągnięć
edukacyjnych uzyskiwanych często
kosztem radości życiowej i zdrowia
psychicznego) oraz dominujących
w mediach narracji ideowych po-
chwalnie i bezkrytycznie towarzyszą-
cych wprowadzaniu w życie jednej
z możliwych wersji kapitalizmu jako
wersji jedynej.

Ciekawe skądinąd, że wersja ta
zyskała taką popularność w kraju ka-
toliczkim. Jak to możliwe, że doszło
do tak powszechnego uznania ego-
izmu i walki wszystkich ze wszyst-
kimi za coś naturalnego, w sytuacji
gdy większość społeczeństwa wciąż
pozostaje pod wpływem przekazu
religijnego, w którym trudno od-
naleźć dla tych zachowań jakiegol-
wiek usprawiedliwienie? Możliwe
odpowiedzi są następujące: albo
przekaz ów stał się całkowicie rytu-
alny i nieomal nikt nie traktuje go już

serio (w tym sensie w Polsce byłoby
pełno deklaracyjnych katolików, ale
mało autentycznych chrześcijan), al-
bo jest on tak interpretowany przez
wiernych, że da się go pogodzić z ich
wyobrażeniem o naturze ludzkiej ja-
ko z gruntu egoistycznej. Prawdopo-
dobnie w każdej z tych odpowiedzi
tkwi ziarno prawdy. Sprawa ta wy-
magaby pogłębionego namysłu.
Dziś jedno nie ulega wątpliwości
– dominujące w polskim zdrowym
rozsądku wyobrażenia natury ludz-
kiej to także pokłosie naszej historii,
w której zmuszeni byliśmy do walki
o przetrwanie. Ale również naszej
skłonności do upokarzania innych,
wynoszenia się ponad nich, trakto-
wania słabszych z pogardą i prze-
konania, że inni są konkurentami do
posiadania dóbr, których wciąż nam

brakuje. To doskonale już opisane
przez polskich i zachodnich histo-
ryków dziedzictwo czasów pańsz-
czyzny. Wszystko to nie oznacza, że
jesteśmy skazani na to, aby swoimi
przekonaniami legitymizować bru-
talną wersję kapitalizmu, jaką nam
zafundowano nad Wisłą. Inny ka-
pitalizm jest możliwy. Z pewnością
jego wersja skandynawska w znacz-
nie mniejszym stopniu skłania do
przyjęcia, że walka wszystkich ze
wszystkimi jest czymś naturalnym,
a egoizm czymś oczywistym. Od
lat namawiam, aby potraktować ją
u nas serio jako możliwą do reali-
zacji alternatywę. Nie miałbym też
nic przeciwko temu, abyśmy puścili
wodze fantazji i starali się wyobrazić
sobie jakiś inny ustrój ekonomiczny
i społeczny, który, nie powtarzając
błędów tzw. realnego socjalizmu,
pozwoliłby na życie lepsze niż to,
które funduje nam turbokapitalizm.
W obliczu kryzysu wywołanego pan-
demią oraz kryzysu klimatycznego
sprawa ta wydaje się pilna. Odwa-
ga myślenia, połączona z pewną
ostrożnością co do możliwych skut-
ków wprowadzenia go w życie, jest
dziś potrzebna bardziej niż kiedykol-
wiek. Czy będzie nas na nią stać?

Prof. Andrzej Szahaj jest filozofem polityki i kulturo-
znawcą, wykładowcą Uniwersytetu Mikołaja Kopernika
w Toruniu

Kryzys to szansa

Istotą jest zmiana przekonania
„Nie mogę teraz tego realizować”
na „Jak mogę to realizować”

Rozmawia Anna Brzeska

Panie doktorze, nie jest dobrze. Pandemia znów się nasila, a rząd niewiele z tym robi. Co najmniej 10 mln ludzi w kraju jest rozczarowanych wynikami wyborów. Znikąd nadziei na lepsze jutro. Co robić?

– Trochę się czuję, jakby zadano mi pytanie: „Panie premierze, jak żyć?”. Dostajemy tu bowiem informację, że problemem jest wszystko, ale to też znaczy, że nie wiadomo, jak z tego wyjść. Bo i wybory, i pandemia, i jeszcze kryzys ekonomiczny, do tego zablokowana edukacja – gigantyczny problem dla dużej grupy ludzi. Niepewność, choćby tego, jak będzie teraz wyglądała pierwsza klasa lub matura, wyzwala lęk. Jednocześnie ludzie mierzą się z lękiem o zdrowie i życie. Mnożenie efektów pandemii właściwie się nie kończy. **Mamy więc określony pierwszy problem – lęk.**

– Sygnałem, że ludzie się boją, jest to – choć brzmi to absurdalnie – że uciekają od lęku, bo długo nie da się z nim żyć. Próbują się ratować w różny sposób, potrzebują mechanizmów obronnych. Czasem trochę wypierają, że to jest poważne, czasem wierzą w teorie spiskowe mówiące, że pandemia jest oszustwem. Niekiedy zaś próbują racjonalizować tę sytuację. Pewnym oddechem od pandemii są wakacje, oderwanie się od obowiązków, złapanie słońca. I – co ciekawe – niektórzy z nas znaleźli dodatkową otuchę, nadzieję, moment, w którym mogli sobie powiedzieć: „Przynajmniej tyle możemy”, właśnie podczas wyborów.

Sądziłam, że one były właśnie gwoździem do trumny.

– Rzeczywiście, po wyborach ok. 10 mln osób w Polsce poczuło rozczarowanie. Ale czy to obudziło w nich lęk? Bardziej złość i frustrację.

DR MATEUSZ ZATORSKI

– psycholog



Wspólną emocją, która mogła się pojawić w efekcie zarówno pandemii, jak i wyborów, jest niepewność. Ale mnie interesowałoby – może są takie badania – jak ma się reakcja na wybory do reakcji na pandemię. Czy mamy tu efekt synergii – lęk i złość inicjują powstanie jeszcze innej emocji – czy może jest odwrotnie.

Czyli że jedna emocja znosi drugą?

– Raczej osłabia. To oczywiście hipoteza. Podczas wyborów ludzie mogli się oderwać od myślenia o pandemii. Lub odwrotnie – pandemia osłabiła ich emocje w stosunku do wyborów i przez nią mniej ważne było dla nich, kto będzie prezydentem. Nie jest więc wcale oczywiste, że te emocje się nakładają, są w jakiejś interakcji. Jeśli potraktować Polaków, naród, jako jedną osobę, która przychodzi do gabinetu terapeuty i mówi: „Nie jest dobrze”, to najpierw warto się przyjrzeć, jaki jest kolor różnego rodzaju emocji. To znaczy przyjrzeć się, jakie emocje skłaniają osobę do takich wniosków. Trzeba tę osobę zrozumieć i pokazać jej emocje, których doświadcza. Mówi: „Boję się”. Mamy więc lęk. Co jeszcze prócz lęku?

Zniechęcenie, frustrację i marazm

– patrząc po sobie i paru osobach

z mojego otoczenia, podzielających moje poglądy. Poczucie braku sprawczości.

– Może to być również poczucie wstydu albo wiele innych.

Czyli pierwszym krokiem jest nazywanie bądź zidentyfikowanie tego, co mamy w głowie. Co dalej?

– Drugą ważną kwestią jest określenie, jakie barwy mają te emocje – i jaka emocja jest przypisana do konkretnej przyczyny. To tak, jakby klient pokazywał nam różnego rodzaju barwy – czerń, bo rozpacz i lęk, szarość – jeśli coś tam we mnie jeszcze się tli, zieleni może z kolei już nie ma. Patrząc na to okiem psychologa klinicznego, pracując z taką osobą, proszę, by zobaczyła, ile barw mamy pomiędzy szarością a czernią. Bo tam też widzimy jeszcze inne emocje. Z samą pandemią wiążą się przecież różne odcienie lęku. Czym innym jest niepokój o wykształcenie dziecka, czym innym strach przed śmiercią własną lub bliskiej osoby, a jeszcze innym obawa o utrzymanie rodziny.

Uporządkowanie i rozdzielenie emocji pomaga przynajmniej pozbyć się jednego – poczucia przytłoczenia wszystkim naraz.

Dr Mateusz Zatorski – adiunkt w Zakładzie Psychologii Klinicznej i Zdrowia SWPS w Poznaniu. Prowadzi zajęcia poświęcone m.in. osobowości, a także zaburzeniom psychicznym i somatycznym. Jako psycholog kliniczny pracuje z pacjentami z zaburzeniami psychosomatycznymi oraz pozostającymi w kryzysach rozwojowych, sytuacyjnych i egzystencjalnych. Prowadzi projekty badawcze z pogranicza medycyny i psychologii (psychotransplantologia), jak również uważności i refleksyjności.

– Do tego zmierzam – chodzi o to, by przypisać emocje do różnych wydarzeń. Podobnie będzie z emocjami dotyczącymi życia politycznego. Na przykład osoba, która w pierwszej turze głosowała na kandydata X, może po wyborach czuć częściową ulgę, że „przynajmniej nie wygrała lewica”.

Czy takie szukanie pozytywów w każdej sytuacji to kolejny krok w naprawianiu naszej głowy?

– Pytanie, czy ta sytuacja w ogóle ma być naprawiona.

Założmy, że cierpimy i chcemy coś z tym zrobić.

– Trzeba zadać sobie pytanie, na czym mi zależy. Na tym, żeby podgrzewać mój lęk, cierpienie czy frustrację? To przecież nasz wybór, czy je pielęgnujemy, czy spróbujemy je przekonstruować. I tu nie chodzi o to, by się samooszukiwać, wmawiać sobie: „Nie jest tak źle!”, „Wcale się nie boję!”. Chodzi raczej o to, by

Wstrzymałbym się natomiast z radami typu „przeczekaj” czy „reaguj”. Bo czy mam prawo mówić komuś wprost: „A teraz zrób to”? Owszem, muszę to zrobić w kontekście interwencji kryzysowej, jeśli ratuję jego życie. Nie mogę jednak powiedzieć, że skoro jest sfrustrowany wynikiem wyborów, powinien wyjechać z Polski.

Założmy zatem, że już jestem świadoma, że czuję bezsilność, frustrację, brak sprawczości i zniechęcenie, i wiem, z czego one wynikają. Mam również świadomość wtórnej kontroli. Ale co dalej?

– Najgorsza rzecz, jaką można zrobić, to poddać się bierności. Refleksja, rozważanie możliwości to elementy ważne, ale też zdecydowanie powinny prowadzić do działania. Rozważanie bez końca kierunków drogi jest psychologicznie bardzo ryzykowne.

Najgorsza rzecz, jaką można zrobić, to poddać się bierności.

zrozumieć i uświadomić sobie, co się z nami dzieje. Dalsze działania trzeba oprzeć na kontroli wtórnej.

Co to takiego?

– Często mamy poczucie utraty kontroli nad tym, co nas otacza. Jeżeli dotyczy to spraw ważnych i wiąże się z przekonaniem, „że muszę odzyskać kontrolę”, rodzi frustrację. Trzeba jednak dobrze się zastanowić, nad czym faktycznie możemy mieć kontrolę i ile ta kontrola będzie nas kosztowała. Na przykład nie mamy kontroli nad tym, co się dzieje w państwie lub w związku z efektami pandemii, ale na to, jak reagujemy na tę sytuację, już tak. Mając świadomość, co się z nami dzieje, podejmujemy kontrolę wtórną. Czyli zadajemy sobie pytanie: „Jak mam o tej aktualnej sytuacji myśleć i co konkretnie mogę zrobić?”. Pamiętajmy przy tym, że pośpiech, lęk czy inne negatywne emocje rzadko są dobrym doradcą. W sytuacjach skrajnych – owszem – gdy trzeba szybko wybrać między walką a uciekaj. Jednak w sytuacji długoterminowej już nie. Wtedy musimy zatrzymać się w tym procesie. Człowiek powinien więc zadać sobie trzy pytania: „Co przeżywam?”, „Jak mogę to przeżywać świadomie?”, „Z czym to jest związane?”.

Przenieśmy się na moment w czas, w których wydaje się, że wszyscy moglibyśmy już tylko się położyć z bezsilności. Niech to będzie okupacja. Aspekt tamtych czasów, który zawsze najbardziej mnie interesował, to motywacja do codzienności, do „normalnego” życia. Dlaczego ludzie podejmowali decyzję o posiadaniu dzieci, skoro ich bezpieczeństwo było zagrożone już od urodzenia? Dlaczego dbali o wygląd i otoczenie, skoro poczucie zagrożenia i tymczasowości były powszechne? Po co się

Trzeba zadać sobie pytanie, na czym nam zależy. Na podgrzewaniu lęku i cierpienia? To nasz wybór, czy je pielęgnujemy.

kształcili, skoro nie wiedzieli, czy dożyją jutra? Mimo stanu permanentnego zagrożenia robili coś. I robią to do dziś ludzie na całym świecie znajdujący się w podobnie dramatycznej sytuacji. W filozofii egzystencjalnej znalazłem coś, co w części odpowiada na moje wątpliwości.

Co takiego?

– Pojęcie osnovy egzystencjalnej. Mówiąc ludzkim językiem, są to określone warunki, w których żyje człowiek. Może to być np. twoja choroba albo sytuacja zewnętrzna, jak przywołana tu okupacja.

Albo pandemia.

– Właśnie. Egzystencjaliści mówili bardzo radykalnie, że ona nie zwalnia nas z tego, by realizować własne cele. Twierdzili, że jeśli ich nie realizujemy, jest to wyłącznie nasza wina. Możemy nie mieć wpływu na osnovę egzystencjalną, ale pozostając bierni, oddajemy swoją aktywność komuś innemu. Mówili, że jesteśmy odpowiedzialni za to, co realizujemy i za swoją wolność. I tej odpowiedzialności nie zdejmujemy z nas również zmiana osnovy egzystencjalnej, która może się dokonać w ciągu sekundy. Oczywiście łatwo to powiedzieć, trudniej realizować. Ale poczucie odpowiedzialności za własną wolność powinno być dla nas punktem wyjścia do działania.

Jak to zastosować w praktyce?

– Gdy ktoś zapyta: „Po co mam teraz coś robić, skoro i tak nic to nie da?”, trzeba mu zadać pytanie: „No dobrze, a gdyby nie było tak, jak jest teraz? Założmy, że nie ma pandemii, a wybory wygrywa twój kandydat. Co byś wtedy robił?”. Wymieniłby pewnie jednym tchem swoje plany. Wtedy można powiedzieć: „Teraz pomyśl o tym, jak możesz to realizować w aktualnej sytuacji”. Czyli w osnowie egzystencjalnej. Istotą jest więc zmiana przekonania: „Nie mogę teraz tego realizować” na: „Jak mogę to aktualnie realizować?”. To znaczy odpowiedzieć na pytania: „Jak mogę?”, „Co mogę?”, „Ile mogę?”. Nie jesteśmy zwolnieni z realizowania celów, nawet jeśli będzie to trudniejsze i nie uda się w takim stopniu jak wcześniej.

Może ta trudność powinna nas napędzać?

– Zawsze myślę w kategoriach: zwycięstwo jest przyjemne, ale potrafi niebezpiecznie usypiać naszą refleksyjność i aktywność.

Założmy jednak, że ktoś uświadomił sobie to wszystko, o czym tu mówimy, i nic mu to nie pomogło.

– Zmiana, oparta m.in. na wspomnianej kontroli wtórnej, nie jest łatwym i szybkim procesem. Za wszystkim, o czym mówiłem, musi iść nie tylko świadomość i refleksja, ale też czynnik behawioralny, czyli ▶

► sprawdzanie, jak przyswajam rzeczywistość w działaniu i zachowaniu. Być może okaże się po namyśle, że to, co robiliśmy do tej pory, w nowej rzeczywistości wyda nam się pozbawione sensu. Zadajmy sobie wtedy pytanie, co potrafimy robić innego, w czym innym możemy znaleźć przyjemność czy spełnienie.

Nie jesteśmy zwolnieni z realizowania celów, nawet jeśli będzie to trudniejsze.

Nie ma niczego złego w zmianie, jeśli czujemy, że w jakimś obszarze się wypaliliśmy.

– Tak i trzeba mieć odwagę to powiedzieć. To może być właśnie decyzja o wyjeździe z kraju czy rzuceniu pracy, jeśli obecne czasy nie sprzyjają jej wykonywaniu. Nie neguję słuszności takiego wyboru. Tylko aby go dokonać, trzeba być świadomym.

Co pan ma na myśli, mówiąc o świadomości?

– Dla mnie budowanie świadomości czegoś to dokładanie kolejnych puzzli wiedzy – po drugiej ich stronie jest doświadczenie. Budowanie świadomości to proces, któremu sprzyja oglądanie rzeczywistości z różnych perspektyw. Weźmy

decyzję o byciu lub pozostaniu dziennikarzem w nowej rzeczywistości społeczno-politycznej – dotyczy to oczywiście osób, dla których jest ona trudna do zaakceptowania. Patrząc na ten zawód zarówno z perspektywy wpływu na nią, jak i moich potrzeb, kompetencji czy wreszcie możliwości pisania gdzie indziej lub czegoś innego niż do tej pory. Taka analiza i decyzja wymaga czasu, często odwagi oraz czerpania informacji z różnych

źródeł. Ale dopiero na podstawie takiego procesu, refleksyjnej analizy ja-rzeczywistość, mogę podjąć decyzję, co dalej z moją pracą, rolą społeczną, powołaniem.

Rozmowa czy terapia? Czy można wskazać, kiedy powinniśmy szukać pomocy specjalistycznej, a kiedy możemy sami sobie coś poukładać?

– Do specjalisty powinniśmy iść, gdy cierpienie jest po pierwsze nie do zniesienia, a po drugie przynosi bardzo negatywne konsekwencje

o kryzysie – egzystencjalnym czy tożsamościowym. Nie wymaga on leczenia, ale refleksji, przewartościowania pewnych spraw, wskazania, jak wykorzystać nasze możliwości, z jednoczesnym zachowaniem czujności, czy nie przechodzi on w zaburzenie lub nie wynika z przeszłych, nierozwiązanych problemów. Może to zrobić psycholog lub terapeuta, ale z kryzysem możemy próbować poradzić sobie sami. Podstawową sprawą jest jednak, by od niego nie uciekać i nie udawać, że nic się nie stało.

Jak więc możemy to zrobić na własną rękę?

– Czy zrobimy to, czytając książki, które nas kiedyś zainspirowały, czy głębiej porozmawiamy z przyjaciółmi – ważne jest, by kryzysu nie zamiatać pod dywan, bo wtedy rzeczywistość może przynieść efekty w postaci zaburzeń. Trzeba się zastanowić, dlaczego zrobiłem krok do tyłu. Czy dlatego, że nie mogę zrobić nic innego, czy może po to, by zrobić zaraz dwa kroki do przodu?

Warto się zastanowić, dlaczego zrobiłem krok do tyłu. Bo nie mogę zrobić nic innego, czy żeby zrobić dwa kroki do przodu?

dla naszego codziennego funkcjonowania. Jeśli zatem przez dłuższy czas (powyżej dwóch tygodni): mam bardzo obniżony nastrój, radykalnie spada mi energia, brakuje mi jej do jakiegokolwiek aktywności i nie potrafię regenerować sił psychicznych przez rzeczy, które do tej pory mnie cieszyły, prócz tego mam problemy ze snem – powinienem prosić o pomoc eksperta. Podobnie gdy czuję, że coraz więcej codziennych, niezagrażających wcześniej zdarzeń jest dla mnie powodem do lęku, z którym nie mogę sobie poradzić sam, lub doświadczam przewlekłego napięcia emocjonalnego, które wpływa już na moje funkcjonowanie somatyczne. Bezwzględnie proszę o taką pomoc, gdy pojawiają się zachowania, które mają znamiona autodestrukcyjne. Mówiąc o ekspercie, mam na myśli lekarza psychiatrę, psychologa klinicznego lub certyfikowanego terapeutę.

Co, jeśli nie mamy aż takich objawów?

– Wtedy niekoniecznie wymagamy pomocy i mówimy raczej

Ja bym starała się sobie przypomnieć, co mi pomogło w poprzednich kryzysach. Każdy z nas jakiś zapewne przeszedł.

– Doskonała ścieżka myślenia. Kontekst się zmienił, ale pani doświadczenia i sposoby radzenia sobie mogą się okazać bardzo ważne. Ja z chęcią spotykam się z ludźmi w kryzysie, bo widzę ten stan jako ogromną szansę, np. na dowiedzenie się o sobie czegoś, czego do tej pory nie wiedziałem. Ludzie mają szansę wyjść z kryzysu silniejsi. Czy wyjdą z tego, będąc w kontakcie z psychologiem, czy czytając literaturę, czy dyskutując z przyjaciółmi, czy myśląc o sytuacji w głębszy sposób, to zależy od ich potrzeb i kompetencji. Mogą też potrzebować spojrzenia na ten kraj z innej perspektywy. Może tą nową perspektywą będzie inne państwo, może zdanie innego człowieka. Ważna jest zmiana kontekstu. Bo wyjścia są dwa – albo biernie podlegamy kontekstowi, albo aktywnie go kształtujemy. Naszą myślą i zachowaniem.

Anna Brzeska



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Rzeź prusaków

Im bliżej mi do nieistnienia, tym bardziej sobie cenię dar życia. I od jakiegoś czasu niczego nie potrafię zabić, z wyjątkiem komara i karalucha (i jest pewien polityk, którego bym zadusił). W naszym wynajętym domku w S. pojawiły się prusaki, więc bliscy krewni karaluchów. Ale krewnych też mi jakoś trudno zabijać, więc heroicznie dzieliłem dom z prusakami, do chwili gdy odkryłem, że jeden uparł się, by spędzić ze mną noc pod tą samą kołdrą. Tego było za wiele. Na fali obrzydzenia ukatrupiłem tajdaka. I od tego się zaczęło. Buszowałem po domu, szukając ofiar. Kiedy rozgniatałem owady, słychać było takie... pyk, a ten odgłos zaczął sprawiać mi przyjemność. Nazajutrz poskarżyłem się na prusaki właścicielce domku, zaczęła mnie gorączkowo przekonywać, że to żuki. Nie uwierzyłem. Nie zamierzałem mieć wyrzutów sumienia. Nazajutrz zabiłem pająka, potem dwie mrówki.

S. to mała kaszubska wieś, moje dzieci bawią się świetnie z tutejszymi, a te już niczym się nie różnią od miejskich. Nie tylko są wyposażone w smartfony i laptopy. Podobnie jak nasze są przytulane i hołubione przez rodziców. I wszystko się z nimi negocjuje. Są pewnie regiony Polski, gdzie nie zaszło to tak daleko, ale już wszędzie dzieci stają się podmiotem. To wielka rewolucja, która zmieni świat. Jak? Nie wiem. Myślę, że nowe pokolenie będzie bronić wolności, skoro zostało w wolności wychowane. A z drugiej strony będzie bardzo narcystyczne. Ciekawe, jak się ułoży gra między tymi różnymi stanami.

Henio Wujec nie żyje, tyle mam wspomnień z nim związanych, jeszcze z lat 70. Człowiek niezwykły, z wiejskiej rodziny, z wykształcenia fizyk, heroiczny działacz opozycji. Pamiętam dzień w czasie pierwszej

Solidarności, gdy szykował się strajk generalny i groziła sowiecka inwazja. Spotkanie z kilkorgiem osób w mieszkaniu Heleny Łuczywo, naszej sąsiadki. Był też Andrzej Gwiazda, wtedy jeszcze zupełnie normalny. I Henio Wujec, a ten, gdy dowiedział się, jak poważna jest sytuacja, do razu pobiegł chować powielacz. Zawsze praktyczny i rzetelny. Mieszkaliśmy w pobliżu, ja na Sadybie, on na bliskich Stegnach. Stworzyliśmy tam gęstą konspiracyjną sieć. Widziałem zawsze nocą w dali światło w oknach jego mieszkania, a też światła w innych oknach, gdzie były bliskie mi mieszkania. Ciepłe znaki w mroku tamtych czasów. Już nigdy nie będzie mi tak ciepło, jak było wtedy. Henio był dobry do szpiku kości. I zawsze był sobą. Innych władza zmieniała, jego nie. Po jego śmierci wszyscy mówią o tej jego dobroci, jakie to już niemodne słowa, ale nie ma lepszych na określenie charakteru Henryka.

I druga śmierć, nie równoległa, bo z innych zasobów emocji i pamięci – nie żyje Ewa Demarczyk. Jej piosenki, ich jesienny nastrój, złota melancholia, łśnienie głosu to było tło mojej młodości. Z jej śmiercią więc kawałek mojej przeszłości ciemnieje. Przez ostatnie dziesięciolecia milczała, nie było wiadomo, gdzie mieszka, zaszyła się w sobie. Kiedy inne piosenkarki śpiewają piosenki Ewy Demarczyk, to zęby mnie bołą.

Jaka kompromitacja postów opozycji, jaki wstyd, że ręka w rękę z PiS przyznali sobie podwyżki. Nie mógł być gorszy czas na taki ruch. A PiS za bardzo to nie zaszkodzi, jego elektorat jest w stanie fanatycznej wiary, gdy wyznawcy opozycji są krytyczni, wątpią, kontestują, więc wielu z nich zniechęci się do swoich partii. Boję się, że przy okazji nadwątlili to ten cały

kapitał, który zdobył Trzaskowski, i wyparuje ta energia. Karygodny błąd opozycji, kolejny dowód, jak słaba jest taktycznie, intelektualnie i moralnie. PO teraz się wycofuje, przeprasza, ale trudno jej będzie z tego się wylizać. Bardzo wielu moich znajomych bardzo się gniewa. Nic tak nie boli jak zawiedziona miłość.

Wiele lat temu, w roku nie pamiętam którym, byłem w Mińsku z kolegą Markiem Karpiem, twórcą i szefem Ośrodka Studiów Wschodnich. Przy okazji wzięliśmy udział w manifestacji antyrządowej. Była tylko garstka ludzi. Białorusini, z którymi wtedy rozmawialiśmy, skarżyli się, że w tym wiejsko-kołchozowym kraju musi wyrosnąć wiele pokoleń, zanim coś się zmieni. Wyrosło przez te lata jedno. I teraz setki tysięcy ludzi wyszły na ulice. Młodzież pociągnęła starszych. Głęboko i serdecznie mnie to porusza. Nie wiem, czy obalą teraz Łukaszenkę, ale co się narodziło, już nie umrze. Powstała nowa Białoruś. Taki pierwszy wielki, świeży bunt to zawsze piękny czas. Tak było, gdy powstawała Solidarność. Potem bunt się stabilizuje, starzeje, degeneruje i brzydnie. A czasami przegradza się w upiora, jak nasza obecna Solidarność.



Na wakacje z wirusem

Bezpieczne strefy na plażach i posiłki w pokojach
– turystyka próbuje żyć z pandemią

Mateusz Mazzini

Jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się, że naznaczone koronawirusem lato będzie wyglądać inaczej. W szczycie zachorowań w Europie na przełomie marca i kwietnia wiadomo było, że branża turystyczna przymusowo zamknięcie odczuje najmocniej. Przestraszeni widmem zachorowania, odizolowani w swoich krajach i często pozbawieni źródła przychodu potencjalni klienci nie wiedzieli, jak będą mogli – i chcieli – spędzać wakacyjne miesiące. Z pomocą niemal od razu przyszedł świat architektury i designu, który zaczął bombardować nas pomysłami sanitarnie bezpiecznych i innowacyjnych rozwiązań dla turystyki. Internet zaroził się od spekulacji i futurystycznych wizualizacji współistnienia człowieka z pandemią.

Jeśli będzie trzeba, możemy nawet dezynfekować piasek.

Zobaczyliśmy więc zrobione z pleksi i plastiku klatki dla plażowiczów, wyznaczające bezpieczny teren do nadmorskiego relaksu. Najpopularniejszy, przynajmniej w sieci, był projekt włoskiej firmy Nuova Neon 2, zakładający budowę trójwymiarowej osłony plażowej z pleksi o wymiarach 4,5 x 2 x 2 m, z wejściem tylko z jednej strony. Zaraz po nim pojawiły się pomysły przezroczystych kul wiszących nad stolikami w restauracjach, rzekomo izolujących od siebie klientów i stanowiących barierę dla wydychanego przez nich powietrza. Do tej listy dopisać można składane niczym origami siedzenia w samolotach, tworzące fizyczną barierę pomiędzy pasażerami, czy fontanny z płynem dezynfekującym, rozpraszające go po dużych powierzchniach lokali użytkowych, basenów, korytarzy.

Żaden albo prawie żaden z tych awangardowych projektów nie został

wprowadzony w życie. Również dlatego, że sami turyści szybko przezwyciężyli strach związany z COVID-19. Jak to już wielokrotnie w historii bywało, chęć utrzymania naszych rytuałów społecznych i zachowań grupowych okazała się silniejsza niż zagrożenie biologiczne. Podróżnicy ruszyli więc do kurortów – przynajmniej do tych, do których mogli. A branża turystyczna znalazła sposób, by ich do tego zachęcić. Jednocześnie napotkała problemy, których w czasie kwarantanny nie przewidywała.

Mimo relatywnie wysokich statystyk nowych zachorowań plaże w Hiszpanii, Chorwacji czy na greckich wyspach są pełne urlopowiczów. Wbrew spekulacjom nie ma na nich plastikowych osłon, wiszących kul czy innych wynalazków pomagających zachować dystans społeczny. Są natomiast najzwyczajniejsze, wyznaczone

na piasku materiałowymi taśmami, indywidualne strefy opalania się. Mają z reguły ok. 8 m kw., dzięki czemu mieszczą się na nich dwa leżaki, parasol, stolik. Tworzą rzędy po kilka czy kilkanaście, z dostępem do morza lub wspólnej ścieżki. W ramach tych stref turyści mogą robić, co chcą – ważne, żeby ich nie opuszczali. Ponieważ każda przypisana jest najczęściej do konkretnego numeru pokoju w hotelu, trudno swój leżak pomylić z cudzym. Jeśli natomiast taka bariera wciąż komuś nie wystarcza, może wykupić dodatkową przestrzeń w sąsiedztwie swojej strefy. Zyska w ten sposób pewność, że wokół nie będzie wycupcywać nikt, kto może przekazać wirusa.

Takie rozwiązania zastosowano już w wielu hotelach na hiszpańskich wyspach: Majorce, Minorce, Ibizie czy Teneryfie. Znaleźć je można też w Grecji i na adriatyckim

wybrzeżu Włoch. Dotyczą one jednak głównie plaż prywatnych, dzierżawionych lub należących do kompleksów hotelowych. W takich miejscach dużo łatwiej kontrolować nie tylko zachowania plażowiczów, ale przede wszystkim ich liczbę. A co z plażami publicznymi, gdzie wejść może każdy i gdzie trudno o jakiegokolwiek udogodnienia sprzyjające dystansowaniu się?

Tu pojawia się większy problem, zwłaszcza pod względem obliczeń. W Barcelonie próbowano go rozwiązać, ustawiając przy wejściach na miejskie plaże pracowników ratusza z tzw. klikaczami, czyli licznikami osób znajdujących się jednocześnie na obszarze kąpieliska. Ta metoda okazała się jednak nieefektywna, bo ludzie na plażę szybko wchodziłi i równie szybko z niej wychodzili, ręczne liczenie nie zawsze zdawało egzamin. Dlatego pracowników postanowiono zastąpić elektroniką. Fotokomórki podłączone do liczników też jednak dawały się oszukać, zwłaszcza rodzinom przemycającym na plażę dzieci. Dodatkowym kłopotem okazał się dość prozaiczny fakt, że na plażę dostać się można nie tylko wejściami oficjalnymi. Dlatego monitorowanie stanu faktycznego trzeba było przenieść już na teren kąpielisk. Do tej pory w większości hiszpańskich miast, w których istnieją miejskie plaże, zagęszczenie na nich określa się, licząc plażowiczów już odpoczywających. Wiadomo przy tym, że są to dane czysto szacunkowe, bo trudno przecież zliczyć chociażby bawiące się w wodzie dzieci.

Ważniejsze od całkowitej liczby osób na plażach jest jednak zachowywanie odpowiednich odległości. Zwłaszcza jeśli – co zresztą też trudno wyegzekwować – wypoczywający nie są rodziną lub na co dzień ze sobą nie mieszkają. Receptą ma być, jakkolwiek dziwnie to zabrzmie, przyspieszona cyfryzacja nadmorskiego wypoczynku. Federbalneari,



Własny ręcznik, zachowanie odległości i dezynfekcja – zalecenia dla plażowiczów na Majorce, sierpień 2020 r.

włoskie zrzeczenie operatorów plaż i dostawców usług turystycznych, testuje w tej chwili pilotażowe oprogramowanie do rezerwacji miejsc na piasku. Żeby móc na nim wypoczywać, będzie trzeba podać dane osobowe, w tym miejsce zamieszkania, oraz dane towarzyszy relaksu. Po wypełnieniu formularza wygenerowany zostanie kod QR, który osoba dokonująca rezerwacji będzie musiała mieć przy sobie na plaży. W każdej bowiem chwili może do niej podejść strażnik miejski, policjant czy inny przedstawiciel władzy i poprosić o porównanie danych z kodu z dokumentami tożsamości. Jeśli nie będą one zgodne, plażowiczów ma czekać kara – nawet 1,5 tys. euro. I choć wprowadzenie takiego systemu wydaje się trudne i czasochłonne, Federbalneari jest zdeterminowane, by plan wprowadzić w życie. „Zrobimy wszystko, by zapewnić ludziom bezpieczeństwo na plażach i zachęcić ich do wypoczynku. Jeśli będzie trzeba, możemy nawet dezynfekować piasek”, powiedział Mauro Della Valle, wiceprezydent zrzeczenia, w wywiadzie dla dziennika „Il Fatto Quotidiano”.

Pandemiczne restrykcje wymusiły nowe rozwiązania nie tylko na plażach. Z podobnymi wyzwaniami zmagają się właściciele hoteli i pensjonatów. Dla nich problemem było przede wszystkim ograniczenie

przestrzeni, gdzie zbierało się jednocześnie wiele osób: jadalni, korytarzy, basenów. Jak pogodzić bezpieczeństwo sanitarne z podawaniem posiłków wysokiej jakości? Dla mniejszych pensjonatów oraz bardziej luksusowych hoteli rozwiązaniem okazało się serwowanie ich bezpośrednio do pokoi. W ten sposób hotelowa kuchnia i obsługa działa praktycznie jak kurierzy dowożący jedzenie z restauracji. Zamawianie za pomocą specjalnych

Dla pensjonatów i hoteli rozwiązaniem okazało się serwowanie posiłków do pokoi.

aplikacji lub ręcznie wypełnianych formularzy, bezdotykowa dostawa, pukanie do drzwi i zostawianie jedzenia na progu – tak dziś wyglądają obiady czy kolacje w wielu bardziej ekskluzywnych ośrodkach turystycznych. Model ten, jak pokazują pierwsze doniesienia z tego sezonu, szczególnie popularny jest na południu Francji i w Portugalii.

A co z tymi, którzy technicznie nie dadzą rady podać wszystkich posiłków turystom do pokoi? Cóż, ci są skazani na dzielenie klientów na tury przy korzystaniu z jadalni. Pomiedzy jedną a drugą rundą odbywa się zaś dezynfekcja sali. Niektórzy hotelarze musieli i tak ograniczyć liczbę gości, których w tym roku przyjmą, bo ich

ośrodki zwyczajnie nie pozwalają na zachowanie reżimu bezpieczeństwa. W innych, np. na hiszpańskiej Ibizie, zatrudniono nowych pracowników, zajmujących się tylko transportem dań z kuchni do stolika czy pokoju. To wszystko jednak oznacza dodatkowe koszty, których sektor turystyczny w tym roku wolałby uniknąć. Dlatego najczęściej, zamiast inwestować w ludzi i sprzęt, zdaje się po prostu na ostrożność i zdrowy rozsądek wczasowiczów.

Pandemiczne wyzwania nie kończą się bynajmniej wraz z wyjazdem gości. Trzeba po nich posprzątać, a tegoroczne odpady są szczególnie niebezpieczne. Dlatego w wielu miejscach, m.in. w Portugalii, na Sycylii i w Andaluzji, lokalne władze rozważają wprowadzenie obowiązkowej segregacji „śmieci pandemicznych”: rękawic, maseczek, przyłbic. Chcą, żeby hotelarze zbierali je i utylizowali osobno, minimalizując nie tylko zagrożenie pandemiczne, ale też szkodliwy wpływ koronawirusa na środowisko. Maseczki dryfujące u wybrzeży kurortów to już bowiem klasyka tegorocznych wakacji. Jak widać, zmieniło się wszystko poza ludzkim zachowaniem. ■

Leszek Konarski

Ostatni raz Ewa Demarczyk wystąpiła publicznie 8 listopada 1999 r. w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Po tem miał być koncert w Kaliszu, który z winy artystki został odwołany. Nawet członkom swojego zespołu muzycznego nie powiedziała, dlaczego tak postąpiła. Do żadnego z nich nigdy potem nie zatelefonowała, nie podziękowała za współpracę. Żadnemu muzykowi nie przekazała swojego numeru telefonu. Na ponad 20 lat zamknęła się w domowej twierdzy.

Jak ognia bała się wywiadów i kontaktu z dziennikarzami. Nie wiem, jakich argumentów użył w 1998 r. Edward Miszczak z TVN, że zgodziła się z nim porozmawiać przed kamerą na krakowskim Rynku Głównym. Pożaliła się na wszystkich – to nie ona zerwała współpracę z kompozytorami, to nie ona sama odeszła z Piwnicy pod Baranami. To nie jej wina, że tak rzadko występuje, że nie ma już swojego teatru. To wina tych innych, którzy jej nie rozumieją.

Dziesięć lat temu, gdy zbliżały się 70. urodziny Ewy Demarczyk, podjąłem próbę jej odzyskania. W Piwnicy pod Baranami, który to kabaret rozstawiła na cały kraj, nikt nie miał do niej telefonu, słyszano tylko, że mieszka pod Krakowem, chyba w Wieliczce. Powiedziano mi, że kontakt z nią mają dwie osoby: siostra Lucyna i impresario Paweł Rynkiewicz. Do siostry nie radzili dzwonić – nie da kontaktu do Ewy, a jeszcze okrzyki. Paweł Rynkiewicz odpowiedział, że chętnie się spotka i porozmawia na temat piosenek Demarczyk, ale nie powie absolutnie nic o jej życiu prywatnym, nie umożliwi kontaktu. Numeru telefonu nie mieli też kompozytorzy jej najśłynniejszych piosenek, Zygmunt Konieczny i Andrzej Zarycki. Chyba łatwiej było rosyjskim youtuberom dodzwonić się do Andrzeja Dudy, niż mnie porozmawiać z Ewą Demarczyk.

Jarosz miał nosa

Tym, który odkrył wielki talent Ewy Demarczyk i namówił ją do śpiewania, był Rajmund Jarosz, dzisiaj emerytowany aktor krakowskich teatrów. W latach 1960-1965 grał w Teatrze Ludowym, potem w Rapsodycznym i do 2008 r. w Starym. Jarosz był też

Ciche odejście gwiazdy

Jeśli Ewa Demarczyk nie napisała czegoś o sobie, to chyba nigdy nie poznamy dramatu jej życia

jednym z założycieli Piwnicy pod Baranami i reżyserem w kabarecie studentów Akademii Medycznej Cyrulik. Spotkałem się z nim kilka dni po wiadomości, że 14 sierpnia, w wieku 79 lat, zmarła legenda sceny estradowej.

– W 1961 r., na próbę w teatrzyku Cyrulik, w którym reżyserowałem spektakl, przyszedł grający w nim student medycyny Andrzej Truchliński, późniejszy chirurg, wraz z niepozornie wyglądającą 20-letnią dziewczyną. Powiedział, że jest na pierwszym roku architektury, skończyła średnią szkołę muzyczną, ma na imię Ewa i byłaby zainteresowana występami w kabarecie. Akurat rozchorowała się jedna ze studentek wygłaszająca monolog. Termin był krótki, bo spektakl był następnego dnia. Ewa nauczyła się tekstu przez noc i wyszła na scenę. Słuchając monologu w jej wykonaniu, poczułem, że coś w tej kobiecie jest, ma wielką ambicję, emocjonalnie podchodzi do treści. Potem, gdy zaczęła w naszym kabarecie śpiewać, zauważyłem, że ma piękny, dramatyczny głos, ale nieustawiony. Zasugerowałem, że gdyby zdała egzamin do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, to tam fachowcy jej głos wyszlifują. Ale powiedziała mi, że jej matka nie zgodzi się na zmianę kierunku studiów. Wraz z kolegą poszliśmy do jej rodziców. Ojciec, rzeźbiarz, absolwent ASP, zgodził się, matka, krawcowa, długo oponowała, ale w końcu ustąpiła.

Już po kilku miesiącach nauki w szkole aktorskiej Rajmund Jarosz



Na III Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie, 1963 r.

zauważył ogromne zmiany w głosie Ewy Demarczyk. Czuł, że dziewczyna ma talent i trzeba ją pokazać publiczności. Taką okazją był zbliżający się koncert połączony z wyborem Miss Juwenaliów 1962 w Hali Gwardii, dzisiaj Wisły. Organizator imprezy, Hieronim Kubiak, przewodniczący Komisji Kultury Rady Uczelnianej ZSP, dzisiaj profesor, tłumaczył Jaroszewi, reżyserowi koncertu, że musi mieć same gwiazdy. Co do Joanny Rawik nie było wątpliwości, ale potem miała wystąpić Ewa Demarczyk z kabaretu Cyrulik, o której Kubiak nie słyszał. „Przekonasz się, że mam rację”, argumentował Jarosz i mimo wielkiej awantury nie ustąpił. Występ Joanny Rawik spodobał się publiczności, ale gdy na scenę weszła debutantka Ewa Demarczyk i zaśpiewała po polsku przebój Adriana Celentana „24 tysiące pocałunków”, sala wstała z miejsc i bardzo długo klaskała. Narodziła się nowa gwiazda.

– Po koncercie podszedł do mnie Andrzej Truchliński i powiedział: „Rajmund, miałeś nosa”. Wtedy zdałem sobie sprawę, że w Cyruliku Ewa Demarczyk już się nie mieści. I rzeczywiście, na następny nasz koncert w Klubie Pod Jaszczurami przyszli moi koledzy z Piwnicy pod Baranami, Piotr Skrzynecki i Zygmunt Konieczny. Występem Ewy byli oczarowani, powiedzieli, że taki głos jest im potrzebny i chcą mieć Ewę w swoim kabarecie. Zgodziłem się na jej przejście, bo to był dla niej wielki krok w karierze. Ewa początkowo nie była przekonana, czy robi dobrze.

Polska Édith Piaf

W Piwnicy pod Baranami Ewa Demarczyk zadebiutowała 24 czerwca 1962 r. Premiera spektaklu „Siedem dziewcząt pod bronią” odbyła się w klubie literatów przy ulicy Krupniczej. Demarczyk została zapowiedziana jako dziewczyna z Cyrulika i zaśpiewała skomponowaną przez Zygmunta Koniecznego piosenkę „Karuzela z madonnami”. Publiczność była zachwycona.

W kabarecie kierowanym przez Piotra Skrzyneckiego Demarczyk śpiewała teksty Tuwima, Baczyńskiego, Leśmiana, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, do których muzykę komponował Zygmunt Konieczny. To on był autorem jej największych przebojów, takich jak „Tomaszów”, „Groszki i róże” czy „Grande Valse Brillante”. Niektóre wcześniej śpiewali w tym kabarecie inni wykonawcy, ale dopiero dramatyczna i elektryzująca interpretacja spowodowała, że stały się znane. Demarczyk występowała zawsze w czarnej sukience, z oczami podkreślonymi czarną kredką, na tle czarnych dekoracji, dlatego zaczęto mówić o „Czarnym Aniele” polskiej piosenki.

Wszyscy członkowie krakowskiego kabaretu pamiętają, że współpraca z Ewą Demarczyk nie należała do łatwych. Była bardzo wymagająca, próby muzyczne z jej udziałem trwały całymi godzinami, co chwilę przerywała granie, coś poprawiała. Wszelkie formy sprzeciwu kończyły się awanturą. Do tego była bardzo niepunktualna, i to nie tylko na próbach. Zdarzało się, że spektakl z jej udziałem był o godzinę spóźniony.

Dzięki Demarczyk krakowska Piwnica pod Baranami zyskała opinię jednego z najlepszych kabaretów w kraju. W 1963 r. na festiwalu w Opolu za wykonanie „Karuzeli z madonnami”, „Czarnych aniołów” oraz „Takiego pejzażu” zdobyła prawie wszystkie główne nagrody. W 1964 r. na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie dostała drugą nagrodę za „Grande Valse Brillante”. Potem śpiewała w paryskiej Olympii, w Carnegie Hall w Nowym Jorku, Chicago Theatre, Queen Elizabeth Hall w Londynie i Theatre Cocoon w Tokio. Czy to w Australii, Brazylii, czy w Kanadzie po jej koncertach dziennikarze pisali o zjawiskowej polskiej Édith Piaf.

Mimo tylu sukcesów w 1972 r. Ewa Demarczyk rozstała się z Piwnicą pod Baranami. Gdy w 1998 r. Edward Miszczak spytał, dlaczego odeszła z kabaretu Piotra Skrzyneckiego, odpowiedziała, że ona nie odeszła, sugerując, że to ci inni ponoszą winę.

Same odejścia

Najpierw Ewa Demarczyk rozstała się z Zygmuntem Koniecznym, choć wydawało się, że stanowią idealny duet. Poszło o ich debiutancką płytę, która odniosła wielki sukces, sprzedano 100 tys. egzemplarzy. Ale wcześniej artystce nie spodobała się okładka i 10 tys. kopert trafiło na makulaturę. Demarczyk skrytykowała też jakość nagrań, za wszystko obarczając winą Koniecznego. W wywiadzie dla TVN z 1998 r. mówiła, że to nie ona odeszła od Koniecznego. Czyli znów wina drugiej strony.

Przy każdym odejściu paliła za sobą mosty, wszystkich uznawała za ludzi, którzy jej szkodzą.

– Nie wiem, czy akurat ten debiutancki album był powodem rozstania – zastanawia się Rajmund Jarosz. – Znam Koniecznego i wiem, że jest bardzo dokładny w tym, co robi, punktualny i bardzo mu zależało, aby komponować dla Demarczyk. On tego nie powie, ale myślę, że miał już dosyć jej niepunktualności i fochów.

Potem Demarczyk rozstała się z kompozytorem Andrzejem Żaryckim, który napisał dla niej muzykę do takich utworów jak „Ballada

o cudownych narodzinach Bolesława Krzywoustego”, „Skrzypek Herco-wicz” i „Na moście w Avignon”. Ale nie, ona od nikogo nie odchodziła, to oni ją porzucali.

– Żarycki to również człowiek bardzo spokojny – mówi Rajmund Jarosz. – Wielka szkoda, że się rozstali, bo to bardzo dobry kompozytor. Może nie chce o tym mówić, ale musiał mieć dosyć tej współpracy.

Była bardzo wymagająca, próby muzyczne z jej udziałem trwały godzinami.

I wreszcie, po 10 latach, Ewa Demarczyk rozstała się z Piotrem Skrzyneckim. Też nie do końca wiadomo, o co poszło, żadna ze stron nie chciała o tym mówić. Gdy w 1997 r. Skrzynecki leżał w szpitalu i lekarze nie dawali mu szans, artyści Piwnicy pod Baranami, kierowanej teraz przez Marka Pacułę, postanowili zorganizować i dedykować mu wielki koncert. Gdy Pacuła spytał Skrzyneckiego, czy występ sprawiłby mu wielką przyjemność, wymienił Demarczyk. Ale ona odmówiła, choć wtedy jeszcze występowała, nie przyszła także na pogrzeb dawnego szefa Piwnicy.

– Skrzynecki bardzo lubił sobie przypisywać wszystkie sukcesy – tłumaczy Rajmund Jarosz. – Tymczasem to o Demarczyk mówiła cała Polska, ona rozsławiała ten kabaret. Myślę, że tu chodziło o zazdrość.

W 1986 r. z pomocą artystce przysły władze Krakowa i zafundowały jej własny Teatr Muzyki i Poezji Ewy Demarczyk, który najpierw mieścił się przy ulicy Floriańskiej, potem Królowej Jadwigi, a od 1995 r. w budynku dawnego kina Wisła przy Gazowej. Demarczyk dostała etat dyrektora, miasto płaci-

ło za 12 etatów, Ministerstwo Kultury zakupiło kosztowny sprzęt nagłaśniający. Potem okazało się, że budynek przy Floriańskiej miasto przekazało Kościołowi i teatr musiał się wyprowadzić. Lokal przy Królowej Jadwigi nie nadawał się na spektakle, a ten przy Gazowej też należało opuścić, bo przejął go spadkobierca właścicieli. Władze Krakowa zaproponowały połączenie teatru Demarczyk z Teatrem Ludowym, na co artystka nie wyraziła zgody. Dlatego w 2001 r. podjęto

► decyzję o likwidacji Teatru Muzyki i Poezji Ewy Demarczyk. Ale to nie problemy lokalowe były powodem likwidacji. Przez 15 lat teatr organizował w ciągu roku ledwie od kilku do kilkunastu koncertów. Nie przygotowywano kalendarza imprez ani repertuaru. Radni obliczyli, że przez 15 lat działalności jej teatru Demarczyk pokazała się osobiście na scenie zaledwie 12 razy. Rozstała się więc z władzami Krakowa, też twierdząc, że to władze jej szkodzą.

Pomocną rękę wyciągnął burmistrz oddalonej o 50 km od Krakowa Bochni. Zaoferował nieodpłatne użyczenie nieczynnego przedszkola. Samorząd zgodził się na wyremontowanie budynku na koszt gminy, ale nie na jego utrzymanie – za to miało płacić Stowarzyszenie Miłośników Teatru Ewy Demarczyk. W Bochni Teatr odbył kilkanaście prób, dał jeden występ na rynku i na tym skończyła się przyjaźń Ewy Demarczyk z władzami miasta.

Odejsie ostatnie

Przy każdym odejściu Ewa Demarczyk paliła za sobą mosty, wszystkich uznawała za ludzi, którzy jej szkodzą, nie potrafiła jej zrozumieć. Zrywała kolejne kontakty ze współpracownikami, muzykami, przyjaciółmi. Może dwóm lub trzem osobom zostawiła numer telefonu i pozwoliła dzwonić. Z początkiem 2000 r. zamknęła się dobrowolnie w domowym areszcie. Postanowiła całkowicie zniknąć z życia publicznego. Tak spędziła ostatnie 20 lat. Jeśli w tym czasie nie napisała czegoś o sobie, to chyba nigdy nie poznamy jej dramatu.

Odeszła wielka artystka, która, jak obliczono, w repertuarze miała nie więcej niż 30 piosenek, wydała zaledwie dwie płyty. Mimo że od lat nie śpiewała niczego nowego, wciąż była znana. Może tak bardzo uwierzyła w swój wizerunek „Czarnej Madonny”, że paraliżował ją strach przed ewentualnym niepowodzeniem nowego utworu? Nie wiem, czy kiedykolwiek poznamy przyczyny jej heroicznej wewnętrznej walki o wszystko i z wszystkimi.

Pogrzeb Ewy Demarczyk odbędzie się 26 sierpnia o godz. 14 na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Artystka spocznie w Alei Zasłużonych.

Leszek Konarski

W Łodzi dzieje się

Miasto meneli czy miasto hipsterów

Rozmawia Dawid Drózd

Macie łódzki kompleks?

Wojciech Górecki: – Nigdy nie czułem się gorszy dlatego, że jestem z Łodzi. Wręcz przeciwnie – byłem i jestem z tego dumny. W latach 90. oznaczało to jednak, że jest się z miasta, które znajduje się w zapaści i ma gigantyczne problemy. Wiadomo było, że taka osoba miała pod górkę. Wielu wstydziło się Łodzi. W reportażu przytaczamy np. felieton z początku lat 90. reżysera Marka Koterskiego, który mieszkał przez jakiś czas w Łodzi. Opisuje w nim zadanie, które wymyślił studentom Filmówki. Mieli napisać, co zrobić z Łodzią. Najbardziej podobał mu się pomysł spryskania miasta z helikopterów białą farbą i urządzenia gułagu dla politycznych. Innym było ustawienie buldożerów i zrównanie miasta z ziemią. Mówił, że nie pójdzie na ulicę Piotrkowską, bo czuje się, jakby dostawał w twarz, a ludzie wyglądają jak z depozytu izby wytrzeźwień.

Bartosz Józefiak: – Teraz ten kompleks już chyba nie jest obecny. Nadal wiele osób wyjeżdża z Łodzi, ale nie z poczucia wstydu. Przeciwnie – ludzie żałują, że muszą opuścić miasto. Poznałem licealistkę, która mówiła mi, że bardzo lubi Łódź. Wyjeżdża jednak, bo kierunek studiów, na który chce iść, jest tylko w Warszawie. Coraz więcej słyszę głosów: „Chciałbym zostać, ale nie mogę”.

Dlaczego Łódź kojarzy się ze wstydem, co najgorsze?

W.G.: – Jak ujął to Bartek, w Łodzi dzieje się to, co w całej Polsce. Tylko że dzieje się bardziej. Głównym powodem problemów miasta jest kryzys, który je dopadł po 1989 r. W Rosji funkcjonuje określenie monomiasto. To ośrodek, który powstawał wokół zakładu pracy – był



WOJCIECH GÓRECKI I BARTOSZ JÓZEFIAK

– autorzy reporterskiej książki
„Łódź. Miasto po przejściach” (Czarne)



żywcielem większości rodzin. Jeśli upadł, to całe miasto szło na bezrobocie. Podobnie było w Łodzi. Nie była ona co prawda skupiona wokół jednego zakładu, ale wokół jednej branży, czyli przemysłu włókienniczego, już tak. Łódź rozwijała się w tym kierunku od lat 20. XIX w. W okresie międzywojennym i w PRL uzależnienie od jednej branży jeszcze się pogłębiło. Kiedy branża zaczęła mieć problemy, miała je cała Łódź. Upadały fabryki, było

20-procentowe bezrobocie, panowała skrajna bieda. Warunki mieszkaniowe były gorsze niż w innych miastach. Jeszcze na przełomie lat 80. i 90. doszło do kilku tragicznych wybuchów gazu. Okazało się, że należy pilnie wymienić 100 km sieci gazowej. Od tamtej pory sporo zrobiono, ale wieloletnich zaniedbań nie da się tak szybko naprawić.

W 1992 r. Łódź niemal zbankrutowała. Jak to możliwe, że miasto doprowadzono do takiego stanu?

W.G.: – Łódź przeżywała kryzys już pod koniec XIX w. i na początku XX w. W 1892 r. był tzw. bunt łódzki – robotnicy protestowali przeciwko złemu traktowaniu ich przez majstrów, żądali wyższej płacy i krótszego dnia pracy. Protest został krwawo stłumiony przez carskie wojsko, zginęło wielu ludzi. Później o prawa robotnicze włókniki i włókniarze walczyli w rewolucji 1905 r. W PRL klasa robotnicza była ważna dla władzy, ale włókniki (bo przemysł lekki był silnie sfeminizowany) nie były grupą zawodową, która mogła przestraszyć władzę. Nie mogły też – tak jak stocznioowcy czy górnicy – zablokować całego miasta, wstrzymując pracę, bo miały na głowie rodziny. Trudno było w tych warunkach coś wywalczyć.

B.J.: – Władze centralne nigdy nie były wielbicielami Łodzi. Nie inwestowało się w nią – poza okresem, kiedy Platforma Obywatelska była u władzy i minister Cezary Grabarczyk walczył o to, aby postawić nowy dworzec Łódź Fabryczna i wybudować autostradę. Łódź ma poczucie osamotnienia i pozostawienia przez władze. Moi rozmówcy często mówią, że np. Wrocław był wspierany po powodzi, a ich miastu, które doświadczyło klęski ekonomicznej, nie pomagano.



Wojciech Górecki – historyk, znawca Kaukazu i Azji Centralnej. Autor reportażu „Planeta Kaukaz”, „Toast za przodków”, „Abchazja” i „Buran. Kirgiz wraca na koń”. „Miasto po przejściach” to jego powrót po przeszło ćwierćwieczu w rodzinne strony.

Bartosz Józefiak – absolwent Polskiej Szkoły Reportażu. Współpracuje z „Dużym Formatem”, „Tygodnikiem Powszechnym”, portalem weekend.gazeta.pl. Dwukrotnie nominowany do Nagrody „Newsweeka” im. Teresy Torańskiej w kategorii „Najlepsze w Internecie”. Mieszka w Łodzi.



Pomnik jednorożca powstał w ramach budżetu obywatelskiego.

Jak więc Łódź poradziła sobie z kryzysem?

W.G.: – W latach 90. nie miała na siebie żadnego pomysłu i rozpaczliwie chwyciła się wszelkich brzytw. Jedną z inicjatyw, którym patronowały ówczesne władze, było sięgnięcie do korzeni wielokulturowej historii Łodzi. Wymyślono np. Światowe Spotkanie Łódzian – pierwsza edycja tej imprezy odbyła się w 1992 r., a gośćmi byli m.in. znakomity tłumacz Karl Dedecius i wybitny producent filmowy Artur Brauner. Wielu uczestników Spotkania odwiedzało miasto po raz pierwszy od II wojny światowej. Takie inicjatywy

miały rozkręcić turystykę, zainteresować Łodzią ludzi z całego świata. Poza tym Łódź korzystała z położenia w centrum Polski. Jego symbolem jest dla mnie Centrum Hurtowe Ptak założone przez Antoniego Ptaka. Gdy powstawało na początku lat 90., wyglądało absurdalnie – bazar w szczerym polu, przy pustej drodze z Łodzi

do Piotrkowa Trybunalskiego, między Rzgowem a Tuszymem. Z każdym rokiem bazar się rozrastał, aż stał się największym targowiskiem w kraju. Kupcy, pośrednicy i hurtownicy z całej Polski przyjeżdżali tam po towar.

B.J.: – Ponadto w latach 90. powstało mnóstwo małych firm szwalniczych. Ludzie mieli maszyny do szycia, a włókniki, które były bezrobotne – fach w rękę. Szyły więc za niewielkie pieniądze. Niektóre firmy istnieją do dziś. Przykładem są Rajstopy Adrian – założycielka, Małgorzata Rosołowska-Pomorska, wykupiła na początku jedną maszynę, później kolejne i udało się rozkręcić interes. Teraz to jedna z największych firm zajmujących się projektowaniem i sprzedażą rajstop w Polsce.

Jaki pomysł na rozwój miasta miały później władze?

W.G.: – Takie na większą skalę pojawiły się dopiero na przełomie stuleci. Jeszcze w latach 90. przywrócono ruch na lokalnym lotnisku, któremu nadano imię Władysława Reymonta, autora „Ziemi obiecanej”. Tłoku tam jednak nie ma, choć gdy kilka lat temu remontowano jeden z pasów startowych na Okęciu i przekierowano tam część połączeń, obsługa stanęła na wysokości zadania. A w 2009 r. postawiono Atlas Arenę, gdzie odbywają się duże koncerty i imprezy. Przyjeżdżają na nie ludzie z całej Polski.

B.J.: – Wykorzystano też środki unijne – zainwestowano w monumentalne budowle, takie jak wspomniany dworzec Łódź Fabryczna



Pomysł na zagospodarowanie przestrzeni pofabrycznych, czyli Manufaktura i OFF Piotrkowska Center.



► bądź kompleks EC1, dawna elektrownia, w której znajdują się Centrum Nauki i Techniki, Planetarium czy Narodowe Centrum Kultury Filmowej.

Ponadto pomysłem na rozwój miasta jest wykorzystanie budynków pofabrycznych. W latach 90. fabryki uważano nie za zabytek, tylko za pomnik PRL, który trzeba wyburzyć. Dopiero później zauważono, że pofabryczne przestrzenie są piękne i funkcjonalne. W 2006 r. otwarto Manufakturę, ogromne centrum handlowo-rozrywkowe. W ostatnich latach zrewitalizowano kolejne fabryki – powstały Monopolis, OFF Piotrkowska, ekskluzywne apartamenty w fabryce Karola Scheiblera.

Nie brakuje też chyba wydarzeń kulturalnych.

B.J.: – Pojawiają się ciekawe inicjatywy artystyczne. Łódź ma bardzo

Łódź jest nienadęta, wyluzowana, bez spiny. Nie ma podziałów klasowych.

silną scenę muzyczną – zastąpiły of-fowe kapele, takie jak nieistniejące już Cool Kids of Death czy 19 Wiosen, ale także popularniejsza Coma czy popowi gwiazdorzy jak Michał Wiśniewski. Mamy znanych raperów – Zeusa, O.S.T.R., zespół Dwa Sławy. W twórczości wszystkich tych artystów przebija różnie rozumiana „łódzkość”. Albo zawierają w tekstach nazwy ulic lub miejsc w Łodzi, albo wyczuwa się „szorstkość”, smutek związany z tym, jak to miasto wyglądało w latach 90., postindustrialny smak tej muzyki. Cool Kids of Death śpiewali np.: „Urodziłem się w Łodzi / Nie w Nowym Jorku / Moje miasto to syf / Czasami myślę,

że żyję w piekle / Czasami myślę, że to zaszczyt”.

Moją ulubioną imprezą w Łodzi jest natomiast Międzynarodowy Festiwal Komiksu i Gier – największa taka impreza w Polsce i tej części Europy. Zaczynała się w katakumbach Łódzkiego Domu Kultury. Kilku gości przychodziło i grzebało w kartonach z komiksami. Pamiętam, że na spotkanie z twórcami „Jeża Jerzego” – komiksu ukazującego się od 1996 r. w magazynie „Ślizg” – przyszło zaledwie kilkanaście osób. Miałem wrażenie, że wszyscy się znają. Środowisko zainteresowane festiwalem było bardzo małe. Teraz to ogromna impreza w Atlas Arenie – trzeba stać w kolejkach, żeby kupić bilet. Przyjeżdżają tu sławy z całego świata.

W „Ajlawju” Marka Koterskiego z 1999 r. bohater grany przez Cezarego Pazurę wychodzi z ob-skurnego dworca Łódź Kaliska, potyka się i krzyczy: „Łódź, k...”.

W 2017 r. nakręcono spot, w którym Pazura wychodzi z nowego Dworca Fabrycznego. Wypowiada tę samą kwestię, ale z podziwem. Przekaz: Łódź wstała z kolan. Ile w tym prawdy?

B.J.: – Dworzec Fabryczny to idealny przykład, że wstawanie z kolan jest pozorne. Ogromna, megalomańska inwestycja za grube miliony z Unii – największy dworzec w Polsce. Problem w tym, że prawdopodobnie nigdy taka przepustowość nie

będzie tam potrzebna. Zaprojektowano go tak, by przyjął tylu pasażerów, co Warszawa Centralna. Zwykle jednak świeci pustkami. Miasto wpakowało też wiele pieniędzy w EC1, które nie jest oblegane przez mieszkańców. Pięknie odnowiono Piotrkowską. Wystarczy jednak skręcić w którąś inną ulicę, żeby zobaczyć, że Łódź w pewnych kwestiach jest nadal tym samym miastem. 19 tys. mieszkań nie ma toalety, 89% kamienic komunalnych nadaje się do generalnego remontu. W Łodzi nadal ludzie zarabiają najmniej i żyją najkrócej w Polsce.

Co z tym można zrobić?

B.J.: – Społecznicy mówią, że powinniśmy inwestować w jakość

życia, np. w renowację kamienic. W zeszłym roku zawaliły się trzy kamienice. To efekt wieloletnich zaniedbań – Łódź po 1989 r. miała najwięcej kamienic w Polsce, które znajdowały się w gestii miasta. Były one w fatalnym stanie, bo w PRL ich nie remontowano. Teraz policzono, że na remonty wszystkich kamienic w Łodzi potrzeba 13 mld zł – takiej kasy nie ma żadne miasto w Polsce. W związku z tym Łódź zaapelowała do władz kraju o wsparcie finansowe. Na razie nie dostała pieniędzy i przy obecnej sytuacji politycznej nie zapowiada się, żeby dostała.

Wiele osób wyjeżdża z Łodzi, ale nie z poczucia wstydu. Przeciwnie – żałują, że muszą opuścić miasto.

Jakie nastroje panują wśród mieszkańców? Narzekają czy doceniają inwestycje miasta?

B.J.: – Przebija narracja, że Łódź się zmienia: „Ta Piotrkowska taka piękna. Ale się dzieje!”. Ale gdy dopytujemy, co się zmieniło w ich życiu, mówią, że zarabiają tyle samo albo mniej i w sumie myślą o wyjeździe. Realnie w życiu ludzi niewiele się zmienia, ale mają poczucie dumy z miasta. Cieszą się, że w Atlas Arenie grają Deep Purple czy The Cure – nawet jeśli nigdy nie pójdą tam na żaden koncert. Jeśli przyjedzie rodzina z Trójmiasta czy z Wrocławia, to mają gdzie ją zabrać, co pokazać. To bardzo ważne. Taką narrację przyjęli też PR-owcy prezydent miasta Hanny Zdanowskiej – podczas jej kampanii przekaz był taki: „Możecie być już dumni ze swojego miasta!”. I łodzianie w to uwierzyli.

Usłyszałem kiedyś opinię, że Łódź albo się kocha, albo nienawidzi.

B.J.: – Łatwiej być patriotą we Wrocławiu, który dynamicznie się rozwija, niż w mieście, które przez lata kojarzyło się z biedą i patologią, wszyscy się z niego śmiali. Ale ci, którzy tu zostali, tym bardziej są patriotyczni – to objawia się nawet w oznakowaniu miasta przez kibiców Widzewa i ŁKS. Dla wielu to vandalizm, ale dla łodzian przejaw patriotyzmu, część tożsamości mieszkańców. Łódź szeroko rozstawiła akcja artysty Janusza III Wazy, który tworzył zabawne napisy na murach, np. „Widzew myśli, że sushi to ziemniaki”.

Kibice mają dystans do stereotypu biednego i patologicznego miasta. Moje ulubione napisy na murach to: „Twierdza patologii” i „Zakute łby, otwarte serca”. Dlaczego łodzianie tę reputację przekuwają w coś pozytywnego?

W.G.: – Nieważne, że masz problem, ważne, co z nim zrobisz. Każdą słabość można przekuć w siłę. Przypomniał mi się film „Borat”, pokazujący prześmiewczo Kazachstan. Film wywołał tam furję. W 2012 r. doszło nawet do incydentu, który zaognił sprawę. Na mistrzostwach świata w strzelectwie na ceremonii otwarcia

się z tego śmiać. Urzędnicy też to podłapali.

Pokazem takiego luzu było postawienie pomnika jednorożca?

B.J.: – Pomnik akurat powstał w ramach budżetu obywatelskiego. Łodzianie sami zagłosowali na ten projekt. Ale urząd miasta przyjął tę propozycję, co pokazuje, jak wyluzowane są władze. Przykładem dystansu do niechlubnych stereotypów był też Wielki Roast Łodzi w 2019 r. Roast to impreza, w której biorą udział stand-uperzy (artyści prowadzący monolog mający rozbawić publiczność). Wyśmiewają się z siebie nawzajem, często jadą po bandzie – ich żarty są niepoprawne politycznie. Rafał Pacześ, jeden z najpopularniejszych stand-uperów, jest



Nowy dworzec okazał się za duży jak na potrzeby miasta.

reprezentantów Kazachstanu przywitano hymnem, ale nie prawdziwym, tylko tym z „Borata”. W tekście tego fałszywego hymnu pada np. stwierdzenie, że w Kazachstanie „są najczystsze prostytutki w regionie” i że „Kazachstan to największy kraj na świecie”. Oburzenie było ogromne. W pewnym momencie ktoś jednak poszedł po rozum do głowy – wielu ludzi na świecie dzięki „Boratowi” dowiedziało się, że w ogóle jest takie państwo. Kazachowie zaczęli mieć większy dystans do filmu. Biura podróży zaczęły nawet po cichu – bo odwołanie się wprost budzi jednak niesmak – reklamować kraj hasłami: „Przyjedź, zobacz ojczyznę Borata”. Zorientowano się, że to może być haczyk reklamowy. Myślę, że podobnie jest z Łodzią.

B.J.: – Bo łodzianie są wyluzowani! Jak słuchasz czegoś od 20 lat, to nie pozostaje ci nic innego, jak

łodzianinem i często żartuje z miasta. Urząd miasta wszedł z nim w kooperatywę i zrobił event, którego bohaterem była Łódź. Cała Atlas Arena została wykupiona. Najpierw stand-uperzy przez bitą godzinę obrażali Łódź i Hannę Zdanowską, a później sama Zdanowska wyszła na scenę. Bardzo ostrymi żartami obrzucała stand-uperów. Naśmiewała się np. z tuszy Lotka. Mówiła, że jego matka dzwoni do niej co tydzień i pyta, czy ma mieszkanie dla jej syna, tylko żeby było z pełną lodówką. Wyobrażacie sobie innego prezydenta, który poszedłby w taką formę promocji?

Taka jest Łódź – nienadęta, wyluzowana, bez spiny. Nie ma podziałów klasowych – w sobotę na Piotrkowskiej kibice, biznesmeni i hipsterzy potrafią się bawić w jednej przestrzeni i czują się ze sobą dobrze.

Dawid Dróżdż, łodzianin

KURTYNA W GÓRĘ



TRUDNA MIŁOŚĆ

Od razu wyjaśniam: trudna miłość do baletu. Natalia Maria Wojciechowska wraca do pierwszej fascynacji, kiedy jako dziewczynka zetknęła się z „Jeziołem łabędzim”. Szła na nie kuszona perspektywą lodów z posypką po spektaklu, tymczasem uległa magii sztuki i zaprag-

nęła sama czarować lekkością ruchu na puentach. Znalazła się więc w szkole baletowej, która miała się okazać szkołą przetrwania. Wtedy miłość do baletu zmieniała się w koszmar poniżej, psychicznych i fizycznych tortur. Jak mimo wszystko przy balecie wytrwała – opowiada w tym spektaklu, który łączy sceny baletowe, lekcje treningowe i pokazy sztuki we fragmentach „Carmen” i „Jeziora łabędziego” z klasycznym monodramem spowiedzi.

Sylwester Biraga skomponował spektakl, którego rytm ubarwiają wysmakowane fragmenty wideo i sugestywna scenografia. Zasluga reżysera jest też wsparcie artystki, solistki baletowej i choreografki, ale przecież nie zawodowej aktorki dramatycznej, która demonstruje niemałe możliwości aktorskie, kiedy ujawnia ekstremalne emocje towarzyszące jej baletowej edukacji.

Przedstawienie łączy walory wizualne z motywem przemocy i walki z ograniczeniami własnego ciała w żmudnej, a czasem złudnej drodze do doskonałości artystycznej. Pada tu oskarżenie pod adresem modelu edukacji baletowej. Na pewno nietypowy monodram o wychodzeniu z błędnego koła przemocy.

Tomasz Miłkowski

Sławomir Kowalski, „Puenty”, reżyseria Sylwester Biraga, choreografia Natalia Maria Wojciechowska i Sylwester Biraga, Teatr Druga Strefa w Warszawie, premiera 23 lipca 2020

KTO DZWONI?

Nawet dzwonek telefonu można się bać. Taki wniosek wypływa z dramatu próbującego się asymilować w Szwecji Jonasa Hassena Khemiriego. Pochodzący z Tunezji autor przedstawia kilka etapów strachu, jakim reagują osoby o arabskim wyglądzie na to, co je spotyka zaraz po bezsensownym akcie terroru. Na scenie Teatru WARSawy czwórka młodych aktorów stara się pokazać, że społeczność imigrantów tylko z pozoru żyje normalnie. W każdej chwili spodziewa się agresji, czasem nawet odchodzi od zmysłów. Temat bardzo aktualny, bo odnosi się do wszystkich mniejszości.

Bronisław Tumilowicz

Jonas Hassen Khemiri, „Dzwonie do moich braci”, przekład Halina Thylwe, reżyseria Marta Malinowska, Teatr WARSawy, premiera 15 sierpnia 2020



MIĘDZY OKŁADKAMI



Ruth Ware
Pod kluczem
tłum. Anna Tomczyk
Czwarta Strona, Poznań 2020

Jeśli bohaterką jest niania, spodziewamy się starań o zdobycie serca podopiecznych i konfliktu z pracodawcami. Tu od razu orientujemy się, że coś poszło nie tak, skoro niania pisze z aresztu do adwokata, a oskarżona jest o zamordowanie dziecka. Rowan odpowiedziała na ogłoszenie zapracowanej pary architektów. Szczodre wynagrodzenie, auto do dyspozycji, mieszkanie w pięknym domu w Szkocji, jedno z rodziców z reguły na miejscu. To aż zbyt piękne. Błyskawicznie okazuje się, że reguła właśnie została złamana i opiekunka zostaje sama z czterema dziewczynkami, od niemowlaka do nastolatki – a zbuntowana jest nie tylko ta ostatnia – w tzw. inteligentnym domu na odludziu. Wszystko jest sterowane, aplikacja wręcz wychowuje dzieci – zamiast matki tablet. Elincourtówny nie akceptują Rowan, co gorsza, wydaje się, że sam dom stara się ją wypłoszyć. Luzu nie będzie ani przez moment, aż chcielibyśmy dać bohaterce odrobinę wytchnienia, ale nic z tego, to my wciąż będziemy wstrzymywać oddech.

Aleksandra Pańko

Ananda Devi
Smutny ambasador
tłum. Krzysztof Jarosz
Wydawnictwo w Podwórkę,
Gdańsk 2020

Zbiór nowel „Smutny ambasador” to kolejna pozycja tworzącej po francusku indo-maurytyjskiej pisarki Anandy Devi, wydana przez kameralne wydawnictwo z Gdańska. W 11 opowiadaniach mamy zderzenie Wschodu i Zachodu opisywane z perspektywy zagubionych, zanurzonych w melancholii bohaterów. Realistyczny obraz świata przedstawionego ma wiele rys i pęknięć, przez które prześwituje świat magiczny, mityczny, nierealny lub choćby taki, którego tożsamość trudno jednoznacznie ustalić. Poszczególne nowele napisane są pomiędzy gatunkami literackimi, także same łączą się ze sobą i uzupełniają w zaskakujący sposób – ale to już przyjemność odkrywania przeznaczona dla uważnego czytelnika.

Rafał Piłkuła

FESTIWAL



8. DUŻY FESTIWAL CZYTANIA/ BIG BOOK FESTIVAL

Książki skutecznie opierają się pandemii, wbrew alarmistycznym głosom ludzie czytają i będą czytać. I są spragnieni nowości. Tych zaś dostarczą trzy dni i 36 niezwykłych wydarzeń, w których będzie można uczestniczyć w różnych lokalizacjach na Starym Mokułowie, ale w większości także online. Na festiwalu pojawią

się m.in. Mikołaj Łoziński, Julia Fiedorczuk, Magdalena Parys, Jakub Małecki, Krzysztof Varga, Maria Peszek, Agnieszka Grochowska, Ten Typ Mes i Tomasz Organek. Dziesięcioro autorów będzie miało premiery swoich książek. Szczegółowy program: bigbookfestival.pl.

WARSZAWA, 28-30 SIERPNIA

SERIAL

KRAINA LOVECRAFTA

HBO GO i HBO, poniedziałki, godz. 20.10

Lata 50., Południe Stanów Zjednoczonych, przez które samochodem podróżują weteran wojny w Korei Atticus, jego młodsza przyjaciółka aktywistka Letitia i starszy wuj George. Muszkieterów znów jest trzech, ale tym razem są czarni i muszą się mierzyć z czymś więcej niż bandyctwo. Gdzie się pojawiają, tam wzbudzają niechęć. Padają wyzwiska, a ulubionym sposobem powitania przybyszy staje się upokarzanie ich, w czym prym wiedzie policja – bezkarna i potworna. I gdy nabieramy pewności, że rasizm będzie najgorszym, co zobaczymy i usłyszymy, twórcy wprowadzają na ekran przeciwników wyjątkowo zgodnych w tym, że kolor skóry nie ma znaczenia, bo każdy człowiek smakuje dokładnie tak samo. W pierwszym odcinku to wampiryczne potwory, w kolejnych tajemne stowarzyszenie czy dom pełen upiórów. Strach się bać! Również dlatego, że twórcy (m.in. Jordan Peele znany z głośnego „Uciekaj!”) postarali się, by serial nie był oparty na banalnej opozycji dobra i zła. W „Krainie Lovecrafta” na widok czarnych nawet dobrzy ludzie uwalniają najgorsze instynkty.

Artur Zaborski



26. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce LESZEK MOŹDŻER – POLISH TRIO

Niepowtarzalny styl wykonawczy, ciągle poszukiwanie nowych wyzwań artystycznych i eksplorowanie nowych muzycznych terytoriów – do tego przyzwyczaił nas Leszek Moźdżer. Początkowo związany był z yassową formacją Miłość, w kolejnych latach pojawiał się w wielu jazzowych konfiguracjach: od zespołów Zbigniewa Namysłowskiego, Tomasza Stańki, Michała Urbaniaka i Adama Pierończyka do Marcusa Millera.

Z wielkim sukcesem realizował się w projektach solowych i w międzynarodowym triu, które współtworzą kontrabasista Lars Danielsson i perkusista Zohar Fresco. Ostatnio zaś koncertuje i nagrywa płyty z orkiestrą Holland Baroque. Koncert tego pianisty światowej klasy zamyka już tegoroczną edycję Jazzu na Starówce. Do zobaczenia i usłyszenia za rok, oby w zdrowszych czasach!

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 29 SIERPNIA, GODZ. 19

(ap)

NA EKRANACH



POJEDYNEK NA GŁOSY

reż. Peter Cattaneo, prod. Wielka Brytania, już w kinach

Co robią żony żołnierzy, które na czas misji mężów w Afganistanie przeprowadzają się do specjalnej bazy na północy Wielkiej Brytanii? Tęsknią, śpiewają w chórze, kłócą się i budują lepiej lub gorzej funkcjonującą żeńską społeczność. Różnice charakterów dają o sobie znać, nie tylko przy wyborach liderki, ale też gdy trzeba sobie poradzić z tęsknotą za drugą połówką. Peter Cattaneo („Goło i wesolo”) odmalowuje na ekranie panoramę kobiecości, indywidualizując każdą postać. Jest wobec swoich bohaterek empatyczny, ale potrafi też z nich zażartować. Może sobie na to pozwolić, bo w obsadzie ma Kristin Scott Thomas i Sharon Horgan, od których nie da się oderwać oczu, nawet gdy zabierając się do kultowych szlagierów, fałszują jak uczestnicy „Szansy na sukces”. Niektórych może irytować bezkrytyczne podejście do żołnierzy jako bohaterów ojczyzny, ale w tej letniej komedii nie ma co się doszukiwać stanowisk ekipy ani socjologicznych komentarzy. Lepiej się skupić na piosenkach, które – jak wiadomo – są dobre na wszystko. Tak jak ten film.

Artur Zaborski

Kolumny przygotowała
Agata Gogolewicz

KEIR DULLEA JOHN RHYS-DAVIES JAIME RAY NEWMAN JOSEPH RUNNINGFOX

JOSH HARTNETT BERENICE MARLOHE JOHN MALKOVICH

LECH MAJEWSKI DOLINA BOGÓW

*„Lech Majewski to artysta totalny: reżyser, poeta,
malarz, filozof, rzeźbiarz, kompozytor.
Ma niesamowite życie wewnętrzne...”*

BERENICE MARLOHE (*Dolina Bogów, Skyfall*)

W KINACH OD **21** SIERPNIA

ANGELUS SILESUS • ROYAL ROAD ENTERTAINMENT • "DOLINA BOGÓW" • Casting MARY VERNIEU • VENUS KANANI • Zdjęcia LECH MAJEWSKI • PAWEŁ TYBORA
Muzyka JAN A.P. KACZMAREK • Montaż ELIOT EMS • NORBERT RUDZIK • Scenografia CHRISTOPHER R. DEMURI • LECH MAJEWSKI • Kostiumy EWA KOCHAŃSKA •
EVA MINGE • CAROLYN LEONE • Charakteryzacja DOMINIKA DYLEWSKA • Dźwięk ZBIGNIEW MAŁECKI • LECH MAJEWSKI • Kierownicy produkcji MICHAŁ KOWALIK • ZUZANNA LOPES
Producenci wykonawczy OLGA KAGAN • MAŁGORZATA DOMIN • PETER SAFRAN • NATALIA SAFRAN • Koproducenci JAN HARLAN • LORENZO FERRARI ARDICINI • CARLA ROSEN-VACHER •
ALYSSA SWANZEY • PIOTR GALON • DANIEL MARKOWICZ • MAREK ŻYDOWICZ • ROBERT BANASIAK • JAROSŁAW PERDUTA • DARIUSZ WIEROMIEJCZYK • EWA SADKOWSKA •
FILMOTEKA NARODOWA - INSTYTUT AUDIOWIZUALNY • SILESIA FILM • DOLNOŚLĄSKIE CENTRUM FILMOWE • FUNDACJA TUMULT/CAMERIMAGE • LUMICONFX • LIGHTCRAFT •
CENTRUM TECHNOLOGII AUDIOWIZUALNYCH • Film współfinansowany przez POLSKI INSTYTUT FILMOWY • Producenci liniowi DOMINIKA MANDLA • BROOKE REDMON
Producenci LECH MAJEWSKI • FILIP JAN RYMŚA
Scenariusz i reżyseria LECH MAJEWSKI



ROYAL ROAD
ENTERTAINMENT



FINA



SILESIA
FILM

SLASKI
CENTRUM
FILMOWY

DCF



UTAH
FILM COMMISSION



KRÓLOWIE



LUMICONFX

LIGHTCRAFT



TUMULT



SILESIA
FILM



STERN
PICTURES



CANAVISION

SAG-AFTRA

WP

VIVA!

KING

P

WYDAWNICTWO
KULTURA

FILMWEB

Classic

kazar

PAKO LORENTE



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Widma wolności

Upał. Żona opuściła markizę, okno uchylone, ale sinfonia wiertaria się rozlega; miasto w nieustannej przebudowie, trwa powszechna remontada. Najpierw jakby róg okrętowy dawał sygnał u wejścia do portu – gruby, niski, wibrujący ton. Żaden inny mnie tak nie denerwuje, to pewnie atawizm z czasów, kiedy przodkowie latali boso po gumnie, bo dźwięk przypomina ryk niewydojonej krowy, a na taki lament chłopska natura każe się zerwać z wiadrem do obory. Lecz cóż to: gdy tylko bas ucichnie, zaraz gdzieś z oddali odpowiada mu inna, wyższa tonacja wiertarkowa, czyli one mają gody, nawołują się, to jest ptasia ruja świrdrów, orgia młotów pneumatycznych...

Zamykam drzwi na balkon i inna orgia, inna opuszczona, a nawet porzucona markiza mi się przypomina: w kinach studyjnych gości właśnie kolejne wybitne dzieło katalońskiego rozrabiaki sztuk wizualnych, Alberta Serry. „Liberté” to hipnotyczny nokturn, rozgrywany w XVIII w. w lasach brandenburskich, gdzie libertyni wygnani z francuskiego dworu próbują znaleźć schronienie u niemieckiego księcia lubieżnika. Tyle akcji – reszta jest milczeniem okraszonym jękami rozkosznej udręki lub przeciwnie, perwersyjną gawędą rodem z ksiąg D.A.F de Sade’a, gdzie

Kiedy rozum jest w odwrocie, zbudzone demony grasują i liczą na krwawe żniwo.

bez emocji wylicza się najbardziej wyuzdane akty erotycznych transgresji. Postacie skradają się w ciemności jak widma, człapią bocianimi krokami i nasłuchują, szukając ofiar lub oprawców, te role zresztą ulegają stałej rotacji podczas orgii trwającej od zmierzchu do świtu. Film uwodzi od pierwszego, niemal surrealistycznego obrazu lektyki w gęstwinie, która wygląda na porzuconą, ale chwilę potem okazuje się, że w najlepsze rozbrzmiewają w niej wszeteczne opowiadki. Chłopi o plugawych gębach przyglądają się z ukrycia zabawom arystokracji wyzwolonej od Boga, prawa i moralności, pokornie czekając, aż dostanie się i im okruczeństwo z pańskiego stołu. Serra pokazuje libertynizm w fazie wyczerpania, zmierzchu oświecenia w przeddzień wielkiej rewolucji; lejtymotywy tego seksualnego maratonu jest impotencja, postacie próbują się stymulować na najrozmaitsze sposoby, ale nie zawodzi ich tylko język – ostatecznie toną więc w erotycznym gawędziarstwie. Film jest genialnie oświetlony – światło księżycy, czasem tylko odbite od pudru, peruki, nagich pośladków lub wiadra spermy spływającej po bładym

ciele markizy. W dziele libertynskim nie mogło zabraknąć bodaj najdłuższej w historii kina sceny flagellacji – ukłón w stronę Sade’a, który był jej namiętnym piewcą nie tylko jako perwersyjnej przyjemności, lecz także jako drwiny z praktyk bogobojnych biczowników.

Film z cicha przemyka przez ekrany opustoszałych sal studyjnych, nakłania więc, by nie pozwolić mu umknąć. Skrajnie wolnościowa, ekstremalna postawa Serry, który tworzy swoje dzieła bez scenariuszy, korzystając z ofiarnej postawy natury i członków ekipy, jest wymierzona w pewnym sensie przeciw widzowi, na pewno zaś atakuje jego „strefę komfortu”. „Liberté” można odczytać jako rodzaj „smutnej komedii”, w której postaci korzystają z wolności do ostatka, a zatem drwią też z samych siebie.

Parodia zdaje się niezawodną bronią wobec wszelkich opresywnych postaw; teraz, kiedy za wywieszenie flagi tęczowej można w naszej Kartoflanii oberwać także policyjną pałą (kolejny brunatny psychopata wpełchnięty przez Glińskiego na stanowisko kierownicze w instytucji kultury właśnie z dumą zaprezentował nowy nabytek CSW – tęczę wpisaną w rząd policyjnych pał), pozostaje robić sobie jaja. Mistrzostwo w tej dziedzinie wykazał ostatnio Krzysztof Gonciarz, który niestawną ciężarówkę z homofobiczną szczekaczką dogonił własną furgonetką i „stalkował” ją przez kilkadziesiąt godzin, gadając od rzeczy i nakłaniając do pieszczot. Szkoda, że autor wycofał się po kilku dniach ze strachu przed konfrontacją. Czy za chwilę wszyscy „ze strachu przed konfrontacją” podkulimy ogony?

Pamiętam lęk z czasów wczesnoszkolnych, kiedy w drodze do szkoły musiałem z duszą na ramieniu przechodzić przez jedną z zakazanych ulic miasta, na której dosłownie można było oberwać nawet za niewłaściwe spojrzenie – na ścianie widniał wymalowany farbą napis „wpierdol całodobowo”. Zaglądam czasem do komentarzy na prawackich portalach i, odsączywszy boty i trolle, znajduję w nich puls kaczystowskiej części narodu. Otóż ostatnio tętni on zgodnie z sercem Łukaszenki – bodaj po raz pierwszy opinie internautów tak jaskrawo odbiegają od linii redakcyjnej. Okazuje się, że ludowi smoleńskiemu nie podobają się wolnościowe starania Białorusinów, którzy zamiast wspierać swojego wodza, spieszą się ku UE=LGBT=brukselskiej zaradzie. Tak to systemowy antyintelektualizm w pewnym momencie przeobraża się w antyracjonalizm w ogóle, a kiedy rozum jest w odwrocie, zbudzone demony grasują i liczą na krwawe żniwo. Jeśli wyczuja nasz strach, zaczną się nim żywić.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Z niczego

Co jest potrzebne, żeby zmieniać świat

Anna Książek

Z niczego może być niewłaściwym określeniem na to, skąd bierze się zmiana. Z czego więc? Z niedoceny umiejętności, z zaproszenia na kawę, z otwartości, z kreatywności, z niepodlegania przyjętym schematom. Ale nie z pieniędzy. Bo choć fundusze niewątpliwie są potrzebne do zmiany, to nie one stanowią jej kluczowy element.

Ze śmieci

W fawelach w Bogocie **Andrea Latas** zaczęła pracować wiele lat wcześniej. Niezrażona agresją, biernością, kradzieżami, walczyła o młodzież. Czasem jako wolontariuszka, czasem we współpracy z lokalnymi organizacjami pozarządowymi. Kochała muzykę, postanowiła więc zarażać młodych ludzi swoją pasją, dać im przestrzeń na wyrażanie rzeczy niewyraźnych słowami. Kupno instrumentów nie wchodziło jednak w grę, nie mieli na to funduszy. Przyjrzeni się zatem śmieciom zalegającym na ulicy. Pięciolitrowa butelka z mocno naciągniętym plastikiem nadawała się na bęben. Z rurek dało się zrobić flet. Mieszając wiedzę uzyskaną z internetu z wielogodzinnymi eksperymentami, zaczęli tworzyć gitary, cymbały, a także typowe kolumbijskie instrumenty: marimby, queny czy okaryny. Z czasem zabrali się do nagłośnienia (mieszanka kabli z zepsutych sprzętów, mikrofon ze starej suszarki) i wytwarzania prądu (za pomocą rowerów stacjonarnych).

Wkrótce instrumenty ze śmieci stały się sposobem nie tylko na pracę z młodzieżą z faweli, ale i na zarabianie pieniędzy na kolejne projekty. Zapraszana na koncerty i festiwale grupa Latin Latas, bo takiej nazwy zaczęli używać, mierzyła się z krytyką, pobłażliwym traktowaniem i oczekiwaniem, że skoro grają na śmieciach, to i za darmo. Akustycy z ironicznym uśmiechem pytali, gdzie wpiąć kabel w to pudło, po czym, nie wierząc

własnym uszom, kilka godzin później przychodzili przeprosić – nie sądzili, że ktoś może wydobyć z kartonu tak profesjonalny dźwięk.

Artyści z faweli nie są pierwszym zespołem na świecie grającym na instrumentach ze śmieci, podążającym za filozofią *zero waste* (zero odpadów). Są jednak jedynym, który łączy aspekt ekologiczny z edukacyjnym. Prowadzą warsztaty, organizują kampanie, tworzą instrumenty dopasowane do rodzaju śmieci, jakie można znaleźć w danej faweli. Grają dla osób z obu stron barykady – dla rządu, ale i na spotkaniach byłych partyzantów z FARC. Kolumbijska wojna domowa oficjalnie zakończyła się zawarciem pokoju w 2016 r., po 52 latach walk pomiędzy rządem wspieranym przez AUC (Zjednoczone Siły Samoobrony Kolumbii) a lewicowymi rebeliantami, przede wszystkim FARC (Rewolucyjnymi Siłami Zbrojnymi Kolumbii). Kilka lat pokoju to zbyt mało, by wybaczyć, zbudować zaufanie, zburzyć barykadę dzielącą społeczeństwo przez kilka pokoleń. Zarówno prowadzone przez Latin Latas warsztaty, jak i tworzona przez nich muzyka to nie tylko kwestia promowania filozofii *zero waste*, tworzenia alternatywy dla dzieci i młodzieży ze slamsów, ale też kolejny krok w stronę budowania realnego pokoju i dialogu, tak bardzo potrzebnego w zdruzgotanym wojną kraju.

Andrea, założycielka i dusza zespołu, mieszka godzinę drogi od Bogoty, w domu zbudowanym samodzielnie – również ze śmieci. Oprócz użyteczności ważna jest dla niej estetyka. Wszystko do siebie pasuje, trudno uwierzyć, że pochodzi z przypadkowego źródła, z odpadów. Andrea ma kilkanaście psów, uprawia własne owoce i warzywa, samodzielnie wytwarza energię. Jedynie elementy niezgodne z wybraną filozofią to samochód (nie ma innego sposobu dostania się do Bogoty) i mięso od czasu do czasu (lekarz z powodu powtarzającej się migreny zachęcił ją, by porzuciła weganizm).



Andrea Latas: W faweli w Bogocie brakowało pieniędzy na instrumenty. Za to wszędzie leżały śmieci.

Czasem wyjeżdża za granicę, by odpocząć od atmosfery strachu, która mimo zakończonej wojny jeszcze unosi się w powietrzu. Wraca jednak, bo to tu chce zmieniać, budować, tworzyć mosty między światami, pokazywać, że wszystkie podziały są pozorne. Nie ma nas i ich. Nie ma ludzkości i natury. Wszyscy jesteście jednym.

Z umiejętności

Postanowił, że do 2024 r. skończy z biedą 5 mln filipińskich rodzin. I jest na dobrej drodze, by to osiągnąć. **Antonio Meloto**, zwany również Tito Tony (Wujek Tony), był odnośnym sukcesem biznesmenem. Jak wiele innych osób w jego sytuacji żył w otoczonej murem osiedlu, odseparowanym od powszechnej biedy Manili, stolicy Filipin. Za każdym razem, gdy jego dzieci wychodziły poza mury tego dobrowolnego getta, drżał o ich bezpieczeństwo. Powoli dojrzewała w nim myśl: nie tędy droga. Bezpieczeństwa nie buduje się poprzez stawianie murów, trzeba raczej budować mosty, wyciągnąć rękę do tych, którzy są w potrzebie. W 2003 r. założył Gawad Kalinga, która przez kilka lat działała jak typowa organizacja pozarządowa, bazując na dotacjach zależnych od dobrej woli darczyńców. Okazało się jednak, że



Antonio Meloto postanowił, że do 2024 r. skończy z biedą 5 mln filipińskich rodzin.

Pierwsze doświadczenia przyniosły jednak wiarę i motywację, przyciągnęły kolejne osoby z Filipin i całego świata, a te, dzieląc się wiedzą i umiejętnościami, przyczyniały się do budowy imperium Gawad Kalinga, które dziś wspiera ponad 10 tys. społeczności zorganizowanych w niewielkie wioski lub osiedla, w sumie 350 tys. rodzin. W ich działania zaangażowanych jest 4 tys. wolontariuszy. Najpierw zabezpieczają ziemię – ta na Filipinach jest nieustannie zagrożona powodziami, huraganami, trzęsieniami. Gdy ludzie są bezpieczni, zaczynają pracę nad relacjami, poznając możliwości i umiejętności mieszkańców, pomagając w pilnych sprawach, budując nadzieję na przyszłość.

Z rozmowy

Zapraszała na kawę, by poznać ich historie. A czasem po prostu stawała razem z nimi w niekończącej się kolejce. Stali tak godzinami, dniami czasem, w minusowej temperaturze, po jakikolwiek papier, potwierdzenie, że mogą tu zostać. Nie znali języka, nie wiedzieli, co dalej. **Cornelia Röper** – mieszkanka Berlina, absolwentka zarządzania zrównoważonym biznesem i specjalistka w dziedzinie tworzenia społeczności online – nie mogła znieść własnej bezsilności. Nie wiedziała jednak, jak



w ten sposób na skończenie z biedą potrzeba będzie co najmniej stulecia.

Antonio zaczął eksperymentować z biznesami społecznymi. Chodził do tych najbiedniejszych, nie przez przypadek głównie do kobiet, i pytał: co potraficie? Każdą umiejętność przekładał na potrzeby rynku. Potraficie robić masło orzechowe? Świetnie, założymy fabrykę masła, zachęcimy lokalnych farmerów do ponownej produkcji orzeszków ziemnych, dając im jednocześnie pracę. Szybciej sprawia wam radość? Nie istnieje obecnie żadna filipińska firma produkująca pluszowe zabawki, wszystko przychodzi z Chin. Wciąż życie w tradycyjny sposób, kultywując zwyczaj śpiewania przy ognisku, leczenia za pomocą ziół, gotowania potraw z typowych filipińskich warzyw? Otwórzmy agencję turystyczną,

Cornelia Röper z Berlina stworzyła w internecie platformę Wefugees wspierającą uchodźców.

pokażmy ludziom z innych krajów bogactwo waszego życia.

Tak powstały First Harvest, Plush and Play, MAD travel oraz kolejnych 30 biznesów społecznych, które, bazując na niedocenianych umiejętnościach najbiedniejszych, tworzą miejsca pracy, dają ludziom nie tylko pieniądze, ale przede wszystkim poczucie godności i nadzieję.

Na początku sprzedali pięć stoików masła orzechowego, robionego na oko, bez trzymania się receptur, kilka nieco krzywo uszytych maskotek, wycieczkę do zaufanej wioski.

► pomoc, nie miała możliwości wyjazdu do obozu dla uchodźców, zresztą co by to dało tym ludziom w środku Berlina? Zaczęła przychodzić coraz częściej. Słuchać dramatów, ale i pytać: czego wam potrzeba? Informacji – odpowiadali. Nie wiemy, dokąd pójść, kogo pytać, nie znamy języka, okolicy. Na część ich pytań nie mogli odpowiedzieć nawet pracownicy organizacji pomocowych, a wystarczyłoby zwrócić się do sąsiadów. Gdzie wysłać dzieci do przedszkola? Gdzie kupić najtańszy chleb? Gdzie jest najbliższy posterunek policji?

Stworzyła platformę w internecie, Wefugees – *We* jako podkreślenie, że wszyscy jesteśmy uchodźcami, lub skrót od *Welcome*, witajcie. Na początku podzieliła logujących się na tych, którzy zadają pytania, i tych, którzy odpowiadają, z czasem zrezygnowała jednak i z tych podziałów. Każdy mógł spytać. I każdy mógł odpowiedzieć – podczas przerwy w pracy, wieczorem, nad ranem, pomagając choć trochę, gdy czas i warunki nie pozwalają na pomoc

większą, a sumienie nie dawało spokoju. Odpowiedzi są zawsze widoczne, mogą z nich skorzystać inne osoby, można je zanegować, zmienić, coś dodać, wyjaśnić.

Z czasem narodziła się potrzeba spotkania, podziękowania na żywo. Najpierw ktoś zaproponował: pojedę z tobą obejrzeć mieszkanie. Potem ktoś zarezerwował większy stół w barze. Zainicjował konwersacje po niemiecku. Zaprosił eksperta, by opowiedział, jak szukać pracy, a po spotkaniu opowiadali sobie o życiu, dziękowali, już nie tylko udzielając informacji.

Tak zrodziła się społeczność, choć nie to było początkowym celem. Społeczność narodzona z wielu godzin spędzonych wspólnie w kolejkach, na mrozie, z zaciekawienia drugim człowiekiem i otwartości na jego potrzeby.

Rozmawiałam z ponad 300 osobami z 36 krajów. Ludźmi, którzy podobnie jak Andrea, Antonio czy Cornelia na swój własny sposób angażują się w działania społeczne i ekologiczne,

zmieniając świat na lepsze. Spytałam każdą z tych 300 osób: co jest potrzebne do zmieniania świata? Nikt nie odpowiedział, że pieniądze. Nikt nie wspominał o znajomościach, zasobach czy wsparciu systemu. To nie znaczy, że one nie są potrzebne. Znaczą tylko, że da się zacząć bez nich.

Do zmieniania świata, jak twierdzili rozmówcy, potrzebna jest raczej empatia. Umiejętność dostrzeżenia i prawdziwego wysłuchania drugiego człowieka. Potrzebna jest cierpliwość i wytrwałość, by nie poddać się przy kolejnej porażce. Zdolność pracy w grupie, bo samemu na dłuższą metę niewiele da się zrobić. A przede wszystkim potrzebne jest działanie. Każdy z nas ma czasem świetne pomysły. Wymyślone niczego jednak nie zmieniają. Dopiero wprowadzone w życie, choćby powoli, choćby w niewielkiej skali, mają szansę zmieniania świata na lepsze. A jeśli działać zacznie wystarczająco dużo osób – z niczego jesteśmy w stanie stworzyć nową rzeczywistość.

Anna Książek

37. TURNIEJ MAŁYCH FORM SATYRYCZNYCH '2020

12 WRZEŚNIA 2020 R. GODZINIA 16.00, SALA WIDOWISKOWA BOK W BOGATYNI.

WYSTĄPIĄ:

- KABARET TRZECIA STRONA MEDALU
- WŁADYSŁAW EDELMAN
- ZESPÓŁ KWIATKOWSKI I BANK
- SZYMON ŁĄTKOWSKI
- GRUPA ON ON ON



KONCERT REŻYSERUJE
I PROWADZI
ARTUR ANDRUS



GWIAZDA TEGOROCZNEGO
FESTIWALU BĘDIE RECITAL
**ZBIGNIEWA
ZAMACHOWSKIEGO**

POZNAMY LAUREATÓW NAGRÓD „KRÓLA ŁGARZY A.D. 2020”, „KSIĘCIA ŁGARZY A.D. 2020”
ORAZ DLA WYBRANCA PUBLICZNOŚCI NAGRODY „SZCZUPŁEGO ANDRZEJA A.D. 2020”

SERDECZNIE ZAPRASZAMY NA KONCERT DO BOGATYŃSKIEGO BOK (LICZBA OSÓB OGRANICZONA),
BILETY DO NABYCIA W KASIE BOK W BOGATYNI OD 17 SIERPNIĄ W CENIE 30ZŁ

Gdzie PiS ma dyplomację

Wponiedziałek, 17 sierpnia, minister Jacek Czaputowicz rozmawiał (telefonicznie) ze Swiatłaną Cichanouską. W środę, 19 sierpnia, na temat sytuacji na Białorusi rozmawiał z premierem Albanii oraz ministrami spraw zagranicznych Słowacji i Szwecji. Także w środę przyjął Walera i Weranikę Capkałów, działaczy opozycji demokratycznej z Białorusi. Waler Capkała był jednym z pretendentów na kandydatów w niedawnych wyborach prezydenckich, ale nie został zarejestrowany. Natomiast Weranika Capkała była członkinią sztabu wyborczego Swiatłany Cichanouskiej.

No a w czwartek złożył rezygnację.

Innymi słowy, rozmawiał ze Swiatłaną Cichanouską i z małżeństwem Capkałów *de facto* jako były minister, właśnie odchodzący. I teraz pytanie zasadnicze: czy ktoś się zastanawiał, jak czują się jego rozmówcy, którzy traktowali go poważnie, myśleli, że rozmawiają z kimś, kto ma znaczenie w obozie władzy, a zostali wystawieni do wiatru? Czy ktoś zastanawiał się, co myślą inni partnerzy Polski, obserwując takie zachowanie?

W takim oto stylu Jacek Czaputowicz skończył urzędowanie jako szef MSZ. Złożył rezygnację przed południem, a już parę godzin później znane było nazwisko jego następcy. Znaczący się, wszystko już było wcześniej ustalone.

Tym ustalonym, nowym szefem polskiej dyplomacji okazał się nie Krzysztof Szczerski, tylko Zbigniew Rau. Były wojewoda łódzki, szef sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, PiS-u. I to taki pisowiec, których Kaczyński lubi najbardziej – z profesorskim tytułem, ale zajadły i waleczny.

Czyli znowu Kaczyński pokazał Dudzie, gdzie jego miejsce.

Już kilkadziesiąt minut po ogłoszeniu nazwiska Raua przypomniane zostały w mediach jego wpisy na koncie na Facebooku. A pisał tam m.in., że jest przeciwny „ideologii LGBT” (to dziś takie wyznanie wiary pisowca) oraz „cywilizacji śmierci”. I dowodził, że Europa Zachodnia po rewolucji obyczajowej roku 1968 doszła do legalizacji zoofilii, eutanazji najstarszych i schorowanych, postulatów legalizacji aborcji do końca ciąży oraz postulatów legalizacji pedofilii. A teraz zaczyna myśleć o... kanibalizmie.

W osobie Raua mamy więc na czele MSZ nie dyplomatę, lecz bojownika, który chce walczyć z Europą Zachodnią i z dominującą w niej, w jego mniemaniu, lewicową poprawnością. Tak oto figuranta Czaputowicza zastępuje pisowiec autentyczny.

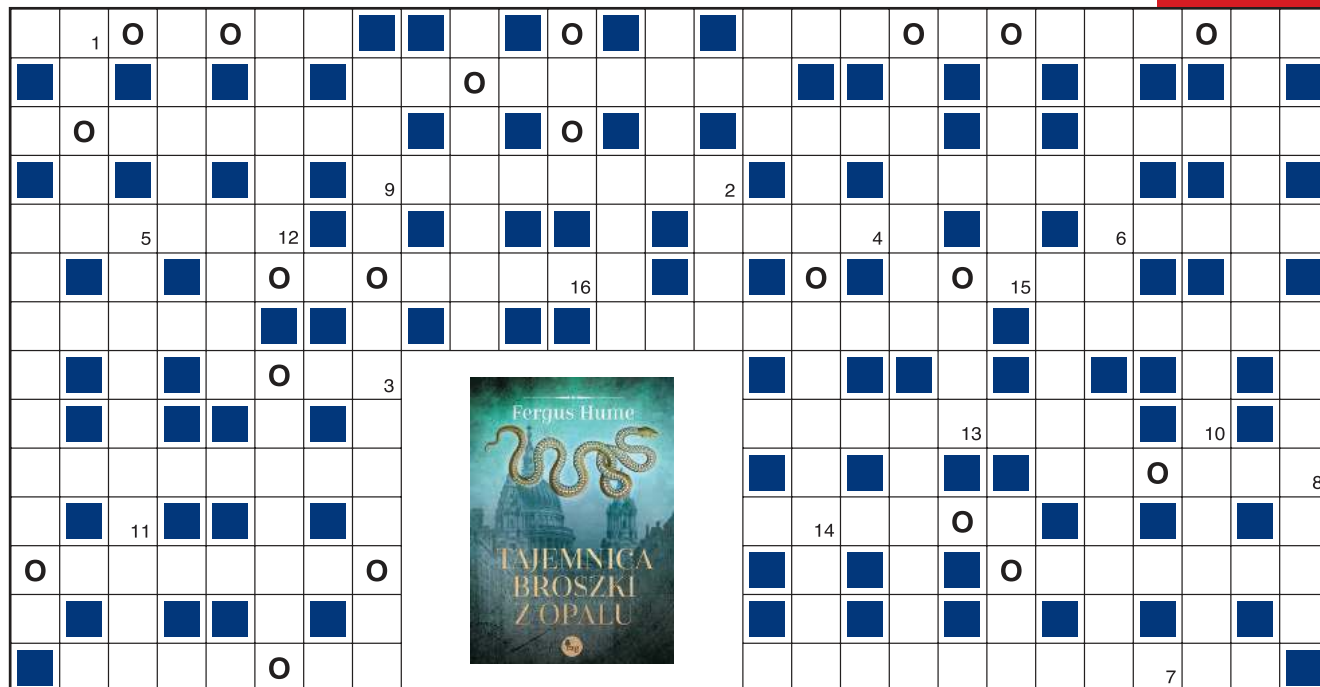
I w ten sposób (czyż to nie jest pisowskie?) korpus kierowniczy w MSZ, czyli minister i wszyscy wiceministrowie, to absolutni dyletanci, jeśli chodzi o dyplomację, dla których obecna funkcja jest pierwszym stanowiskiem w MSZ. Nigdy wcześniej tam nie pracowali. Dla ludzi Prawa i Sprawiedliwości, tej rzeszy działaczy, to... wielka zaleta. Wśród pisowców krążą legendy o MSZ-owskich dynastiach, o tym, że dominują tam postkomuniści, geremkowcy, platformersi, sami wrogowie. I że trzeba zrobić tam porządek. Takie rzeczy są powtarzane, oni w te głupoty wierzą. Podobnie jak w to, że dyplomacja to chodzenie na przyjęcia. I że zadaniem dyplomatów jest popularyzowanie filmu „Smołęńsk” i w ogóle pisowskiego poglądu na świat. Czyli polscy dyplomaci mają działać mniej więcej tak, jak działali dyplomaci libijscy w czasach płk. Kaddafiego.

Zbigniew Rau do tego wyobrażenia idealnie pasuje.

Attaché

Białoruś się budzi. Po sfalszowanych wyborach prezydenckich tysiące Białorusinów wyszło na ulice, by zademonstrować swój sprzeciw. Nz. kobieta z transparentem „Jesteśmy nieuzbrojeni”.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery O ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 16 utworzą końcowe hasło.

- Bezpieczeństwa Wewnętrzne lub Centralna Wywiadowcza
- propagowanie hasła, zdobywanie zwolenników
- krzew owocowy o kolczastych pędach
- zwykłą podczas hossy
- stan, którego gubernatorem był Clinton

- wmawianie czegoś samemu sobie
- sprężysta siatka do skoków gimnastycznych
- jego konstrukcja bardzo prosta
- szorstkość powierzchni lub dźwięku
- nazywana stanem odmiennym
- biegły w nich Harry Potter

- do zasilania reflektora roweru
- sobkostwo
- zasłona ustawiana przed kominkiem
- król rock and rolla
- zaśpiewała „May It Be” do „Drużyny Pierścienia”
- był nim Tadeusz Kotarbiński
- nieukrywanie niczego, dostępność dla ogółu
- zespół doktryn mistycznych w judaizmie
- masz go diable
- używany do transportu towarów np. statkiem
- w nim lądują usunięte pliki
- gaz szlachetny, od łacińskiego obcy

- usługiwał jasnie panu
- zbytek, nadwyżka
- modelki miewają je po samą szyję
- najszybszy z trzech tańców mazurkowych
- z Melanezją, Mikronezją i Polinezją
- Northanger, cystersów lub westminsterskie
- Nogajka po rozpadzie Złotej
- zespół bloków mieszkalnych
- przekręt, szwindel
- o Obozie Zjednoczenia Narodowego z czasów sanacji
- „...Dalloway” Virginii Woolf
- straszenie zwierzyń lub onieśmielanie
- i tło muzyczne, i kosmetyk
- PiS nie chce powiązania z nią środków unijnych

- przybycie pociągiem, autem
- poprawia zdjęcia
- plemienna, rodowa albo kozacka
- do utrzymywania na kursie lub do jego zmiany
- pośrednik w zawieraniu małżeństwa
- naturalna łatwość zachowania się, robienia czegoś
- układ, ustrój
- zielone liście cebuli
- i szczyt, i królowa
- robienie przejścia, usuwanie przeszkód
- długa, luźna bluzka, rzymska spodnia szata
- przyprawowa przódziemnomorska krzewinka z rodzaju macierzanka
- w nich tkwiła siła Samsona
- ...i hańba!

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-975”. Do rozlosowania książki „Tajemnica broszki z opalu” ufundowanej przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 sierpnia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-972” z 9 sierpnia: **Moc jest wewnątrz nas.**

Nagrody otrzymują: Robert Garczyński z Częstochowy, Grzegorz Jóźwik z Legnicy, Wincenta Płatek z Ełku, Halina Skoczylas z Warszawy.

PENETRACJE

RES HUMANA

ALEKSANDER
KWAŚNIEWSKI,
BYŁY PREZYDENT

Dzisiaj lewica nie ma jednego lidera. Już wiemy, że nie jest nim Robert Biedroń. Włodzimierz Czarzasty należy do starszego już pokolenia. Zdaje sobie sprawę ze swoich dużych możliwości, ale i ze swoich ograniczeń. Zobaczymy, jak będzie się rozwijał Adrian Zandberg, bo to jest postać niewątpliwie interesująca. Na lewicy jest dobra cała grupa polityków. W klubie poselskim znalazło się sporo ciekawych ludzi w dobrym wieku (około czterdziestki) – szczególnie kobiet. Liderzy to rzadki dar. Nie da się ich sztucznie wymyślić, inżyniericznie zbudować. Nie rodzą się na kamieniu. Oni po prostu powstają.

POLSKA

PROF. ANDRZEJ
CHWAŁBA,
HISTORYK

Atak Piłsudskiego na Kijów, święte miasto Rusi Kijowskiej, wywołał gniew tysięcy Rosjan, w tym „białych” generałów rosyjskich walczących do tej pory z komunistami. Wyprawa spowodowała niesamowity wzrost antypolskich nastrojów w Europie. Polaków postrzegano jako agresorów, którzy podnieśli dłoń na pierwszy kraj robotników i chłopów, który podpisał pokój z Niemcami w 1918 r. Nie było manifestacji pro polskich, natomiast nie brakowało masowych demonstracji pro sowieckich. Z powodu strajków nie docierał do nas sprzęt wojenny. Wyprawa kijowska doprowadziła do wizerunkowej klęski.

STYL

JERZY OWSIAK,
SZEF WIELKIEJ ORKIESTRY
ŚWIĄTECZNEJ POMOCY

Masz tytuł doktora *honoris causa*, który przyznał ci Uniwersytet Jagielloński.

– To autentyk. Nie żadna ściema drukowana w Chinach, jak certyfikaty maseczek, które sprzedała nam poważna firma. To też nagroda dla ludzi, którzy ze mną pracują. Moje nazwisko jest tylko szyldem. Przemówienie z okazji przyznania tego doktoratu opierało się na wykładzie o Fafiku z „Przekroju”, czasopisma mojej młodości. Złote myśli Fafika do dziś mi się sprawdzają. Że każdy Fafik ma swoją drogę, ale przede wszystkim – swojego pana. Fafik uznaje za pana tego, kogo sam w tej roli obsadzi. Może moim jest Dżidzia? Na pewno jest moim drogowskazem i wsparciem. Nikt nie zna mnie lepiej od żony.

charaktery
magazyn psychologiczny

ANETA
MAZURKIEWICZ,
PSYCHOLOG

Dorośli nie radzą sobie z własną złością, bo gdy byli dziećmi, nikt im nie pokazał, jak to robić, w efekcie czego przekazują tę nieumiejętność własnym dzieciom i tak od pokoleń błędne koło złości toczy się dalej. Z dzieci, których nikt nie nauczył, jak się złościć, wyrastają dorośli, którzy tego nie potrafią. Dorośli, którzy nie potrafią się złościć, wychowują dzieci, których nikt nie potrafi nauczyć, jak zdrowo wyrażać złość.

Aby język giętki...

STANISŁAW TYM O RZĄDZIE

Rząd nieutalentowanych dyletantów dalej będzie przykrywał problemy dziurawym partyjnym kocem.

JERZY STUHR O PIOTRZE GLIŃSKIM

To jest człowiek po prostu bez pojęcia.

ADAM WAJRAK O ULUBIONYM DRZEWIE

Bardzo lubię graby, bo są takimi twardezielami, są takie pokrzywione, poskręcane jak bajkowe smoki. W dziuplach grabów żyje mnóstwo ptaków, ich nasionami odżywiają się grubodzioby.

AGNIESZKA GRAFF O PODZIAŁACH

Nie umiemy już rozmawiać w poprzek podziałów, nie umiemy spojrzeć na podziały z ukosa, nie umiemy opuścić.

REMIGIUSZ MRÓZ O PISARSTWIE

Autor podczas pisania książki nie boi się niczego, a po jej wydaniu – wszystkiego.

MAREK NIEDŹWIECKI

O „SZTANDARZE MŁODYCH”

Zaczął drukować Listę Przebojów Trójki, więc miałem gotowce.

BOŻENA DYKIEL O DYPLMACJI

Któżnie nauczyły mnie małżeńskiej dyplomacji i tego, że są sprawy dyskusji niewarte. Wolę być szczęśliwa, niż mieć rację.

ADAM MAŁYSZ O STARYCH NARTACH

Mam ok. 1,5 tys. par nart, w tym tak stare, że nawet trudno określić, kto na nich jeździł.

TOMASZ SEKIELSKI O OTYŁOŚCI

Ludzie otyli są stygmatyzowani i wyszydzani, przykleja im się łatkę leniwych nierobów, którzy myślą tylko o żarciu.

MARTA ŻMUDA-TRZEBIATOWSKA O INTUICJI

To moje drugie imię. Słucham jej. Odrzucam podszepty innych ludzi. Wolę słuchać siebie.

MAGDA MOŁEK O PLANACH

Z mediów dowiedziałam się, że już nie będzie mojego programu „W roli głównej” (TVN Style), ale byłam na to przygotowana.

DOROTA WELLMAN O MAGDZIE MOŁEK

Jesteśmy „siostrami” dla siebie i wobec innych kobiet.



Członkowie brazylijskiego plemienia Kayapo zablokowali amazońską autostradę, domagając się pomocy w walce z pandemią i zaprzestania dewastacji dżungli.

Strzeżonego...

Na całym świecie duchowni różnych wyznań twórczo minimalizują w swoich wspólnotach ryzyko zakażenia koronawirusem. Wielebna Eileen Harrop, pochodząca z Singapuru anglikańska pastorka posługująca w hrabstwie Durham, zaczęła udzielać komunii z wykorzystaniem długich pałeczek (w związku z tym używa grubszych hostii, gdyż są łatwiejsze do uchwycenia). Z kolei ks. Miłosz Wardziński, proboszcz ze wsi Gronowo pod Toruniem, za dbał o bezpieczeństwo parafian, instalując dozowniki do wody święconej. Rozsądnie, gdyż aniołowie stróżę mają w tym roku zbyt dużo do roboty.

Dla krezusa na wirusa

Chiński biznesmen zamówił w izraelskiej firmie jubilerskiej maseczkę ze złota wysadzaną diamentami. Bogacz mieszkający na co dzień w USA zażyczył sobie, by była gotowa przed końcem roku oraz najdroższa na świecie. Szykowany dla niego środek ochrony osobistej, wyposażony w filtry N99, zostanie wykonany z 18-karatowego białego złota i ozdobiony 3,6 tys. białych i czarnych diamentów; jego wartość szacowana jest na 1,5 mln dol. – Nie wszystko da się kupić za pieniądze, ale na pewno da się za nie kupić bardzo drogą maseczkę chroniącą przed COVID-19 – filozoficznie podsumował otrzymane zlecenie współwłaściciel marki Yvel, Isaac Levy.

Nieznajomość słownika szkodzi

25-letni Robert Berger z Huntington w stanie Nowy Jork upozorował samobójstwo, by uniknąć więzienia za posiadanie skradzionego samochodu i próbę kradzieży



ciężarówki. Oszustwo wyszło na jaw przez błąd ortograficzny – w sfałszowanym akcie zgonu, przekazanym Temidzie przez narzeczoną mężczyzny, błędnie zapisano nazwę departamentu zdrowia stanu New Jersey. Warto dodać, że w czasie gdy Berger rzekomo przebywał na łonie Abrahama, został aresztowany w stanie Pensylwania, m.in. za posługiwanie się nieprawdziwymi danymi osobowymi. Robercie, jesteś pod każdym względem niepoprawny!

Dokąd na mecz?

Łomża VIVE Kielce to nowa, dość osobliwa nazwa 17-krotnego mistrza Polski w piłce ręcznej (i zwycięzcy Ligi Mistrzów w 2016 r.). Wbrew pozorom klub nie ma dwóch siedzib – w przypadku Łomży chodzi nie o miasto, lecz o markę piwa należącą do spółki Van Pur, będącej nowym sponsorem szczypiornistów. Kontrakt podpisano na cztery lata z możliwością przedłużenia, co pozostaje podsumować krótkim i szczerym: na zdrowie!

O ustach się nie dyskutuje

Naukowcy z Zakładu Medycyny Estetycznej Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku obalili przekonanie o tym, że kobiety o pełnych ustach są postrzegane jako wyjątkowo atrakcyjne. Z ich eksperymentu wynika, że zarówno paniom, jak i panom bardziej podobają się damy o mniejszych wargach. Co ciekawe, w odniesieniu do dżentelmenów preferencje są odwrotne, tj. większa część obserwatorów woli kawalerów „całusnych”. Badania podlaskich medyków potwierdziły także, że między Bugiem a Odrą coraz bardziej upowszechnia się kanon urody lansowany przez japońskie komiksy: z nienaturalnie dużymi oczyma oraz małymi ustami i nosem.





Gdy sowa uszata walczy
o zdobycz z błotniakiem
łąkowym, inne ucinają sobie
drzemkę w promieniach
porannego słońca.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igelska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest,
Bronisław Tumilowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pysznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski,

Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chilecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega
sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów
opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest
zabronione. Przekroczono po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie
niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi
odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Prezes to ma klawe życie

Ciekawi jesteście, ile czasu potrzebowaliby poszczególni prezesi największych globalnych korporacji technologicznych, aby zarobić równowartość waszej rocznej pensji? Frustrującej odpowiedzi na to pytanie chętnie udzieli internetowy kalkulator dostępny pod adresem: simpletexting.com/tech-ceo-salary. Obok wyniku pojawi się informacja, ile dany miliarder inkasuje w ciągu roku, miesiąca, a nawet minuty (w przypadku szefa firmy Amazon ta ostatnia kwota przekracza odpowiednik 554 tys. zł). Z góry przepraszamy wszystkich, których zdołowaliśmy na początku tygodnia.

Kup, jeśli ci kiła niemiła!

Australijska marka prezerwatyw Lifestyles w pomysłowy sposób promuje swoje produkty, a przy okazji prowadzi edukację zdrowotną. Stworzona przez nią platforma Publicly Traded jest inspirowana działaniem giełd papierów wartościowych, a jej sercem jest indeks STI (od angielskiego terminu *sexually transmitted infections*, czyli choroby przenoszone drogą płciową). Jego notowania zależą od liczby wyszukiwań w Google'u poświęconych AIDS, kile, rzeżączce itd. – kiedy w danym regionie rośnie zainteresowanie tą tematyką, ceny kondomów idą tam w dół. W Polsce taka kampania sama szybko znalazłaby się na indeksie...

CIASNE RAMY INFORMACYJNE?

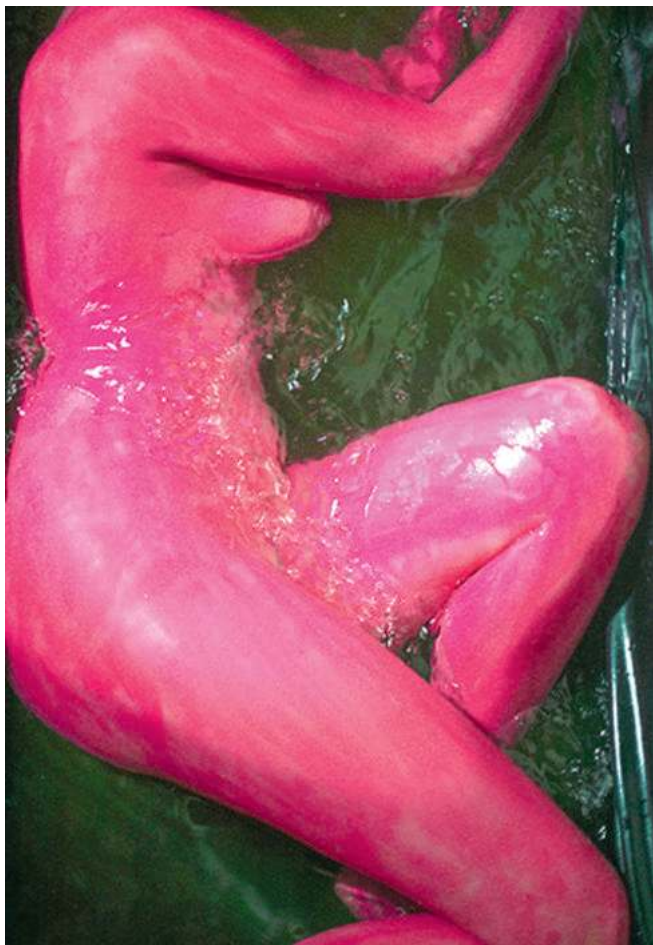


PRZEŁAM JE Z NAMI

TYGODNIK

ANGORA

PRZEGŁĄD
PRASY
KRAJOWEJ
I ŚWIATOWEJ



Kasia Bielska

CIAŁA NIEUŁOŻONE

Trzon wystawy stanowią zdjęcia zrobione przez fotografkę Kasię Bielską w ciągu kilku pierwszych miesięcy tego roku. Spośród niemal 60 osób, które odpowiedziały na jej ogłoszenie opublikowane na Instagramie, artystka wybrała 10 i zaprosiła każdą oddzielnie na intymną sesję zdjęciową. W ogłoszeniu postawiła dwa warunki. „Po pierwsze, oczekiwałam surowej szczerości, a po drugie – wykluczyłam modeli i modelki. Bo to odbiera prawdziwość. W zdjęciach szukałam momentów, w których ciało jest zawieszone między gestami, nieułożone, bo już wyszło z jednej pozy, ale nie zdążyło jeszcze przybrać następnej – tłumaczy. – W takich momentach ciało jest piękne w swojej bezbronności”.

Instytut Fotografii Fort
Warszawa, ul. Racławicka 99
do 13 września



FOT. KASIA BIELSKA/MATERIAŁY PRASOWE



teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Dobrobyt

reż. Árpád Schilling

3, 4 i 5 września

Spektakl wyłącznie dla widzów od 18. roku życia.

Historia młodej pary, która otrzymuje zaproszenie na weekendowy pobyt w ekskluzywnym spa. Hotel położony w nadmorskim, zimnym klimacie, otoczony surową przyrodą, to zhierarchizowany system, w którym każdy zna swoje miejsce. Młody mężczyzna szybko dostosowuje się do wewnętrznych zasad hotelu, a obietnica płynących z tego korzyści przesłania jego trzeźwy osąd. Przeciw podporządkowaniu się występuje jednak kobieta – jej opór wywołuje nieoczekiwane następstwa.

foto: Szymon Rogulski

Wyborcza
media

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

cojestgrane24



www.powszechny.com

STODOLA

more
than
live
music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY



ASAF AVIDAN

ANAGNORISIS TOUR 2020

KLUB KWADRAT, KRAKÓW
8.02.2021

KLUB PROXIMA, WARSZAWA
10.02.2021

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL